



Sylvia Trojanowska

*Szkola
latania*

V I D E O G R A F

Sylvia Trojanowska

*Szkola
latania*

VIDEOGRAF

Prolog

Nigdy nie myślałam, że będę błogosławiła coś, czym przez większość dotychczasowego życia najnormalniej w świecie gardziłam. Nie chciałam na to patrzeć, dotykane ograniczałam do minimum, a mówienie o tym wyeliminowałam ze swojego życia niemal całkowicie. Kto by przypuszczał, że dzięki zniechęconym „obwisłościom”, nadprogramowym kilogramom i cellulitowi, w niczym nieprzypominającemu apetycznej skórki pomarańczy, zaznam tego, czego jako szczupła dziewczyna, bez konieczności pójścia na drastyczną i kompleksową terapię odchudzającą, nigdy bym nie doświadczyła.

Jeszcze nie tak dawno byłam nastolatką z olbrzymimi kompleksami, z olbrzymią nadwagą i olbrzymim apetytem na niemal wszystko, co mogło być zjedzone. Ciągłe przeżuwanie, przegryzanie i popijanie... Byłam po prostu uzależniona od jedzenia! Gdy osiągnęłam swoje dno, miałam wrażenie, że zostałam napompowana jakąś galaretą, z lubością falującą w moim nadmiernie rozciągniętym ciele. Nie czułam się sobą, tylko kimś całkiem obcym. Wtedy chciałam po prostu zniknąć, rozpaść się na tysiąc drobnych kawałków, które bezpowrotnie rozprzchnęłyby się w otchłani codziennego życia. Marzyłam, by coś przerwało moje podłe istnienie, wysysając powietrze z płuc i krew z żył.

Czy można się z czegoś takiego cieszyć? Czy można dziękować niebiosom za obelgi i wyzwiska, które słyszy się pod swoim adresem, gdy objętościowo wyróżnia się z otoczenia? Czy można traktować

zakwalifikowanie do grona otyłych jako coś najlepszego, co się w życiu przytrafiło? Choć wydaje się to nieprawdopodobne, to można. A ja jestem osobą, która właśnie za to jest wdzięczna losowi.

1. Dno

Nazywam się Katarzyna Laska, choć laska ze mnie żadna i od kiedy jestem świadoma swego wyglądu, nazwisko to traktuję bardziej jako ironię losu. Jak można się nazywać Laska i wyglądać jak pączek, wielki, przerośnięty pączek, na dodatek oblany podwójną warstwą lukru? Katarzyna Pączek... Tak, w zasadzie to chyba „Pączek” bardziej pasowałoby do mnie niż „Laska”, ale cóż... Jestem Laska, Katarzyna Laska. Swe klasyczne imię zawdzięczam matce, która marzyła, bym była tak piękna i bogata, jak jej ulubione aktorki: Catherine Deneuve i Katharine Hepburn. O, ironio! Gdzie mi do nich!

To było dokładnie 19 października 2013 roku. Mój ojciec, jak każdej jesieni, wyprawiał huczne urodziny, spraszając do domu, odziedziczonego po swoich rodzicach, wszystkich ulubionych krewnych. Zjechały się wobec tego ciotki i wujowie, kuzynki i kuzynowie – łącznie

trzydzieści cztery osoby. Byli niezwykle głośni i rubaszni, i mieli jedno wspólne zainteresowanie – jedzenie. Z zapalem rozprawiali o tym, co znajdowało się pod ich widelcem, licytując się między sobą wiedzą na tematy masarskie, piekarnicze czy cukiernicze. Drobiazgowo opisywali, co ciekawego udało im się zjeść ostatnimi czasy oraz rozplýwali się w zachwytach nad daniami, które dopiero planowali skosztować. Prześcigali się w barwnych opowieściach o tym, gdzie skosztowali najlepiej przyrządzoną golonkę i w której to restauracji zachwycili się grillowanym turbotem. Pokazywali sobie zdjęcia najprzeróżniejszych specjałów i na ich podstawie dokonywali werdyktów, bawiąc się, całkiem bezpodstawnie, w wytrawnych krytyków kulinarnych.

Jedzenie – temat przewodni podczas trzydaniowego śniadania, czterodaniowego obiadu i skromnej, bo dwudaniowej, kolacji. Prawili nad tym godzinami, mlaskając i nierzadko bekając, tłukąc sztućcami i stukając szklankami oraz kieliszkami. Nie przejmowali się, że byli otyli – wszyscy, bez wyjątku – że z krzesel, na których siedzieli, wylewały się im fałdy tłuszczu, że mieli po kilka podbródków, a rozmiar 3XL to dla niektórych stanowczo za mało. Najważniejsze było wielkie żarcie.

Dopóki ten temat królował, czułam się bezpiecznie. Nie musiałam się odzywać, bo wystarczyło, że od czasu do czasu kiwnęłam głową, okazując pozorne zainteresowanie, by wszystkich usatysfakcjonować. Najgorsze były jednak chwile, kiedy najgłośniejsza oratorka rodzinnych zjazdów, siostra mojego ojca, Matylda, zaczynała prezentować swoje tezy dotyczące wyższości otyłości nad byciem, jak to ona mówiła, „wyblakłym cieniem zdrowo wyglądającego osobnika rasy ludzkiej”. Co zrozumiałe, należała do grona zagorzałych miłośniczek rubensowskich kształtów, a na dodatek najbardziej ukochała sobie moje wybudujące fałdy. Budząc zazdrość i poniekąd nienawiść innych kuzynek, musiałam prezentować „swoje wdzięki”, a ciotka wzdychała i wyjękiwała ochy i achy nad moją figurą, która według niej powinna służyć za wzorzec dla innych.

– Należałoby cię, moja droga Katarzyno, zgłosić do konkursu miss – powiedziała po wypiciu kilku lampek ukochanego chianti, wprawiając mnie w osłupienie. „Ja? Na miss? Jaką miss?”.

– Te wszystkie chude, zabiedzone, niedożywione szczapy... – Parsknęła z obrzydzeniem. – ...zrozumiałyby, czym jest prawdziwe piękno. Buzię to ty masz wybitnie urokliwą. Te policzki... A usta? Tylko spójrzcie – jakby jej ktoś tego boluksu wstrzyknął.

– Botoksu, ciociu Matyldo – wtrąciła jedna z kuzynek, natychmiast żałując swojej śmiałości.

Ciotka obrzuciła ją karcącym spojrzeniem.

– Bo-to-ksu, oczywiście – podkreśliła, powracając do swojego pretensjonalnego tonu. – Tylko że w naszej rodzinie żadne cholerstwo nie jest potrzebne, żeby posiadać piękne usta, bo my po prostu je mamy! – wiwatowała i uniosła wypełnioną po brzegi lampkę, dając tym samym sygnał do wypicia kolejnego toastu.

Miałam nadzieję, że rubinowy trunek zadziała na moją korzyść i ciotka przeniesie swoją uwagę na kolejną osobę, że zajmie się analizą wyglądu jakiejś innej nadziei rodu Laska, ale... pomyliłam się.

– No, no, no! Ty mi nigdzie, Katarzyno, nie uciekaj – przywołała mnie, kiedy próbowałam oddalić się do kuchni. – Nic nie rozumiesz! – westchnęła. – Ty powinnaś cały wieczór tu stać i być podziwiana, bo nikt... – Walnęła pięścią w stół, sprawiając, że wszyscy umilkli i z przerażeniem na nią spojrzeli. – ...nikt się z tobą nie może równać, nikt!

Zapadła cisza, przzerwana nieopatrznie przez wujka Ryszarda, który, najciszej jak potrafił, kichnął. Ciotka Matylda łypnęła na niego i, cmoknąwszy, rzekła:

– Oby to było na zdrowie, Ryszardzie! – Po czym głośno odchrząkując, dodała: – Kichanie zazwyczaj oznacza pusty żołądek. Zjedz coś, na miłość boską!

Ryszard, nie zwlekając ani sekundy, rzucił się na najbliższy półmisek i zappełnił swój porcelanowy talerz solidną porcją okraszonej majonezem sałatki warzywnej.

Po chwili sztucce innych gości zaczęły odgrywać swoje serenady, a rozmowy stały się słyszalne. Milczenie niepisanej głowy rodu dodawało skrzydeł nawet najbardziej płochliwym uczestnikom familijnego zjazdu, którzy najpierw szeptem, a potem całkiem donośnie debatowali z innymi biesiadnikami.

– Nieśmiała jest trochę... – rozbrzmiał ponownie głos ciotki.

Wzdrygnęłam się i podniosłam wzrok, błagając jednocześnie w myślach, aby zainteresowanie moją osobą jak najszybciej się skończyło.

– Ale to akurat bez problemu da się zmienić. Gorzej z tymi oczami... jakieś takie mocno błękitne, jakby nie nasze... To pewnie po nich – rzuciła z niechęcią, mając najwyraźniej na myśli rodzinę mojej matki. – Reszta jednakże doskonale pasuje na miss.

– Nie wydaje mi się – odezwał się mój ojciec, wprawiając wszystkich w zdziwienie, bo zabieranie głosu nie było jego domeną.

– Nonsens, Robercie! Co ty możesz wiedzieć o prawdziwych kobietach? Nigdy gustu nie miałaś i na prawdziwą nie trafiłaś. Ja znam się na rzeczy, jak nikt z naszej rodziny, i mówię, że Katarzyna jest idealna. Trochę trzeba by ją podszlifować, manier nauczyć, bo przecież wzorców na co dzień to ona nie ma skąd brać, i wystarczy. Powtarzam ci, Robercie, materiał z niej wyśmienity.

W odpowiedzi na wywody ciotki Matyldy ojciec głęboko westchnął i pokręcił głową z dezaprobatą.

– A się przekonasz, Robercie, się przekonasz! Jeszcze się nigdy nie pomyliłam! – Wychyliła kolejną pękatą lampkę. – No, wstań i okręć się, żeby wszyscy mogli się przekonać, jakiego mam nosa do talentów.

Szczerze nienawidziłam tych prezentacji! Poniżały mnie i obnażały tak bardzo, że czułam się po nich jak przeznaczone na ubój zwierzę na targu dla rzeźników.

Jedyną osobą, która pod każdym względem wyróżniała się spośród urodzinowych gości, była moja matka. Chudziutka kobieta, o zapadniętych policzkach i niemal przezroczystej cerze, nigdy nie znalazła uznania wśród krewniaków ojca, przede wszystkim dlatego, że ciotka Matylda zawsze uważała ją za anorektyczkę, a ojciec za pomoc domową i służącą w jednej osobie. Nikt nie traktował jej z należnym szacunkiem, nie pytał o zdanie, można by rzec, że w pewnym sensie nawet nie zauważał. Tolerowali ją tylko dlatego, że usługiwała im wyjątkowo szybko i sprawnie, nie powodując najmniejszych przestojów w przechodzeniu od jednego posiłku do drugiego. Najdziwniejsze było to, że matce takie traktowanie zupełnie nie przeszkadzało i godziła się na

obsługiwanie chmary obżartuchów, bez mrugnięcia okiem, bez słowa skargi.

Po kolacji, którą wcisnęła we mnie apodyktyczna ciotka, myślałam, że pęknę. Z przejedzenia bolał mnie brzuch, a od ciągłej paplaniny pulsowało mi w skroniach.

– Skosztuj specjału od ciotki Wioletty – zażądała, kiedy moja matka wparowała z nowym półmiskiem.

Z przerażeniem zerknęłam na furę żeberek, ociekających tłuszczem, roztaczających w salonie piwną woń.

– Nie chcę! – odparłam.

– Nonsens! – rzekła stanowczo. – Podaj talerz!

– Naprawdę nie mam już miejsca!

– No, już, już!

Zachowywała się tak, jakby w ogóle nie słyszała moich słów. Wcale nie miałam zamiaru wykonać jej polecenia, ale widząc zniesmaczoną minę ojca, podałam swój talerz.

– Wiedziałam, że się nie oprzesz – skwitowała z satysfakcją.

– Dwa żeberka dla dzieciny... – mruzczała pod nosem. – Dwa żeberka... To troszkę za mało, trzy, tak, trzy żeberka. Proszę.

Podawała mi talerz, a ja poczułam, jak robi mi się niedobrze. Zakrywając sobie usta, poderwałam się od stołu, wzbudzając tym niemałe zaskoczenie, a nawet oburzenie.

– Katarzyno! – syknął ojciec.

– Jak ty ją wychowujesz, Robercie! – usłyszałam na odchodnym kąśliwą uwagę ciotki Matyldy.

Nie zważając na pełne dezaprobaty komentarze, wbiegłam do toalety i zamknęłam się od wewnątrz, będąc przekonaną, że za chwilę usłyszę szarpanie za kłamkę. Oczywiście nie pomyliłam się, bo szukające sensacji kuzynki przyczłapały za mną w nader szybkim tempie.

– Puściła pawia? – usłyszałam za drzwiami.

– Jeszcze nie...

– A ja chyba coś słyszałam.

– O! Chyba teraz puszcza!

– Ciociu Matyldo! – krzyknęła lizusowska Zuzanna, która jakoś

nigdy nie mogła się wkraść w łaski ciotki. – Ona puszcza pawia!

– Chodźcie do stołu! – zaordynowała Matylda z salonu. – Jak jej przejdzie, to sama do nas wróci – dodała, a moje wścibskie kuzynki posłusznie podreptały z powrotem.

Kiedy po kilkunastu minutach opuściłam pomieszczenie będące świadkiem mojego upokorzenia, za drzwiami nie było już żadnych krwi krewnych. Stała tam jedynie moja matka.

– Wszystko dobrze? – zapytała. – Chodź, zaparzę ci miętę.

W kuchni przetrwałam następną godzinę, dochodząc do siebie. Nikt jakoś się o mnie nie upominał, co zresztą wyjątkowo było mi na rękę. Przyglądałam się bez słowa temu, jak moja matka zwinnie krzątała się w małym pomieszczeniu, przygotowując kolejne potrawy dla wiecznie nienasyconej rodziny. Była taka szczupła, taka niepozorna, a sił miała za dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Zazdrościłam jej takiej sprężystej sylwetki. Może i miała patykowane nogi, ale ileż bym dała, żeby takie właśnie mieć. Ciało pozbawione galaretowatej masy było moim marzeniem. U mnie z każdej strony zwisały tłuszczowe falbanki, które nieustannie poruszały się, wzbudzając we mnie obrzydzenie.

– Nienawidzę swojego ciała – powiedziałam w pewnej chwili do matki. – Nie chce mi się żyć, mamó. Chciałabym przestać istnieć!

– Co ty mówisz?

– Widzisz mnie? Widzisz, jak wyglądam? – jęknęłam, zanosząc się płaczem. – Jestem potworną górą tłuszczu, którą ktoś dla żartu umieścił w ciele dziewczyny o imieniu Katarzyna.

– Jesteś... moją córką – odparła, obdarzając mnie jakimś takim matczynym spojrzeniem, którego dotąd nie doświadczałam albo może nie zauważałam. – Moją wymarzoną, wyśnioną córką.

– Przestań, mamó! Nie pocieszaj mnie! Jestem obleśnie gruba! Ja to wiem! I... i nic tego nie zmieni! Nienawidzę siebie za to! Życie w takiej podłej postaci jest chyba gorsze od niebytu...

– Kasieńko... Skarbie...

– Mamó, dlaczego mi na to pozwoliłaś...? – zawylałam.

Podeszła do mnie, podając mi chusteczki do nosa o kojącym, miętowym zapachu. Pogładziła mnie po policzku i pociągnęła za brodę. Nasze spojrzenia się spotkały. W tej krótkiej chwili zobaczyłam w jej

oczach i troskę, i zrozumienie, i coś, co zdawało się wyglądać jak prośba o przebaczenie.

– Przepraszam – wyszeptała. – Nie... nie chciałam.

Objęła moją szyję. Poczułam, jak cała dygocze.

– Chodź! – rzekła, zachęcająco wystawiając rękę.

Znalazłyśmy się w siłowni, którą dwa lata temu skompletował mój ojciec na fali prozdrowotnego zrywu. Nigdy jednak nie miał serca do sportu, więc i tym razem zbyt długo z niej nie korzystał.

– Zważ się! – rozkazała.

– Mamy wagę?

– Od lat.

– Nie wiedziałam.

Spojrzałam na szklane ustrojstwo i poczułam strach przemieszany ze wstydem. „Ile ja mogę ważyć?” – przemknęło mi przez myśl, ale żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy.

– No już! – ponagliła matka.

Gdy stanęłam na tym bezdusznym urządzeniu, musiałam się nieco wychylić, żeby zobaczyć wynik, który się ukazał.

– Ile?! – stęknęłam i poczułam, jak nogi się pode mną załamują.

Padłam jak długa.

* * *

Kiedy się ocknęłam, matka wlepiła we mnie zaszklone oczy i drżącym głosem szeptała moje imię. Obok niej stał ojciec i reszta rodziny, przyglądając mi się niczym chmara żadnych sensacji reporterów.

Nagle, przy drzwiach wejściowych nastął rwetes. Ktoś wszedł i wszyscy zwrócili się w jego stronę.

– Jest pogotowie! – pisnęła jedna z kuzynek.

– No, nareszcie! – syknęła Matyllda. – Długo pan kazał na siebie czekać! Do roboty, doktorze! Tam. – Wskazała w moim kierunku. – Tam jest poszkodowana. Tylko proszę się postarać, jak nigdy dotąd – rzuciła w tym swoim apodyktycznym stylu. – Straciła przytomność i porządnie walnęła głową o podłogę.

Po chwili zobaczyłam skupioną twarz starszego mężczyzny, który

lekko marszcząc brwi, patrzył na mnie badawczo.

– Czy coś panią boli?

Zaprzeczyłam.

– Zbadam panią – oznajmił oficjalnie.

– I co pan myśli? – zapytała natarczywie ciotka, gdy doktor ledwo dotknął mojej szyi. – Co z nią, na miłość boską, co z nią?

– Proszę dać mi pracować.

– Chyba panu nie przeszkadzam?

– Przeszkadza mi pani. Bardzo proszę opuścić pomieszczenie!

– Ale... – Ciotka aż się zapowietrzyła. – Ta dziecina jest niepełnoletnia!

– Proszę, aby zostali tylko najbliżsi.

– Przecież tu są tylko najbliżsi!

– Tylko opiekunowie – dodał nad wyraz zdecydowanie, prostując się.

– Też mi coś! – Ciotka prychnęła i okazując dezaprobatę, opuściła miejsce mojego kolejnego upokorzenia.

Kiedy zostaliśmy we czwórkę i nastąpiła cisza, doktor zbadał mnie bardzo dokładnie, postępując zapewne według jakiegoś standardu, nakazującego unoszenie i opuszczanie rąk, wodzenie palcem przed oczyma czy uderzanie młoteczką w kolano.

– Wygląda na zwykłe omdlenie. Być może z przejedzenia. Ale nie można tego bagatelizować. Sugeruję zrobienie dokładnych badań i prześwietlenie głowy. Jest pani bardzo blada i ma zbyt wysokie ciśnienie. A do tego... Hmmm... – Doktor zwrócił się do mojej matki:

– Córka powinna stracić trochę kilogramów, bo problemy zdrowotne, choćby omdlenia, mogą się nasilić. Serce wydaje się osłabione. Otyłość w tym wieku może się źle skończyć.

Ryknęłam płaczem.

– Przykro mi, ale etyka zawodowa nakazuje mi szczerą troskę o dobro pacjenta.

– Tak... – szepnęła matka, klepiąc mnie po ramieniu. – Bardzo panu dziękujemy, doktorze.

Nie patrzyłam, jak autor gorzkich słów wychodził z pomieszczenia, ale słyszałam, jak ciotka Matylda ciskała w niego pytaniami, nie dając

mu w spokoju opuścić naszego domu.

Matka zaprowadziła mnie do sypialni, obwieściwszy wszystkim, że powinnam odpocząć.

– Muszę do nich wracać – stwierdziła ze smutkiem w głosie.

– Wiem – odpowiedziałam.

– Ale znajdziemy rozwiązanie, zobaczysz! – Uśmiechnęła się.

– Teraz, Kasieńko, połóż się spać. Jutro pogadamy – dodała i domykając drzwi, zniknęła w szarościach korytarza.

Resztę wieczoru spędziłam w pokoju, wypłakując złość, żal i wściekłość na to, jak wyglądałam. Kiedy zabrakło mi już łez, zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę to nie moja matka ponosiła za to winę, tylko ja sama. To przecież ja pochłaniałam kilogramy słodyczy, makaronów i chleba. Z wyjątkiem rodzinnych uczt, w czasie których ciotka Matylda każdemu wciskała jedzenie, nikt we mnie niczego nie wpychał. Nie byłam jakąś tam gęsią, którą tuczono na siłę. Sama tego chciałam, sama to robiłam.

– Ty durna dziewucho! – jęknęłam do siebie.

Tępo wpatrując się w nocną szafkę, rozmyślałam nad tym, do jakiego stanu się doprowadziłam, od kiedy to się zaczęło dziać i z jakiego powodu. Nie wymyśliłam niczego odkrywczego. Fakt, w mojej rodzinie od zawsze dużo się jadło, szczególnie w czasie zjazdów rodzinnych, które sływały z uginających się stołów, ale przecież te zjazdy nie trwały cały rok... Ja natomiast przez cały rok jadłam, i to zdecydowanie za dużo.

– Muszę z tym skończyć, do jasnej cholery! – krzyknęłam w pewnym momencie, poderwawszy się z łóżka. – Nie może być ze mną aż tak źle! Nie może!

Zacząłam się rozbierać. Najpierw nieśmiało, ociągając się przy każdym ruchu, potem coraz energiczniej. Gdy zostały mi tylko rajstopy, zerwałam je z siebie z takim impetem, że stały się dwiema podziurawionymi pończochami. Niemal nagusieńka podreptałam do garderoby i uchylając jej drzwi, stanęłam oko w oko z wielkim kryształowym lustrem, które zamontowano tu specjalnie z myślą o mnie, czyli o dziewczynie, która powinna kochać podziwianie swoich wdzięków o każdej porze dnia i nocy. Ja jednak raczej nie wpatrywałam

się we własne odbicie, a już na pewno nie w odbicie prawie całkowicie pozbawione ubrania. Gdy w końcu podjęłam więc decyzję o konfrontacji z bezlitosną prawdą, nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, bo twór, który małpował moje ruchy, rodził we mnie przerażenie i odrazę. Mój dziwnie zawieszony stan trwał dobrą chwilę. Kiedy się ocknęłam, klepnęłam się po policzkach tak mocno, że aż syknęłam z bólu. Głośno westchnęłam i zaczęłam recytować:

– Jesteś gruba na własne życzenie i na własne życzenie od dziś zaczniesz chudnąć, Katarzyno!

Gdy wypowiedziałam te słowa, zrobiło mi się tak dziwnie lekko. Odniosłam nawet wrażenie, że zrzuciłam olbrzymi balast, który do tej pory ograniczał mnie w niewyobrażalny sposób. Położyłam się do łóżka i czując coś, co można nazwać względny spokojem, próbowałam zasnąć. Nie było to jednak takie proste. Goście bowiem, pomimo zamieszania, które wywołałam, bez skrpułów wrócili do imprezowania, okraszając je gromkimi śmiechami, nieudacznymi śpiewami i jakimiś przytupami, które w oczach rozhułanej rodzinki zapewne uchodziło za pokaz taneczny najwyższych lotów.

2. Trzycyfrowy wynik

Gdy się rano obudziłam, przywitała mnie twarz matki. Delikatnie dotykała mojego puciołowatego policzka, wkładając w ten gest pokłady zupełnie mi obcych matczynych emocji.

– Nie wiedziałam, Kasieńko, że tyle wazysz – wyszeptała. – Jest źle.

Gwałtownie podniosłam się z łóżka.

– Źle? – Łzy zaczęły napływać mi do oczu. – Źle to by było, gdybym ważyła dziewięćdziesiąt kilo czy nawet dziewięćdziesiąt pięć, ale... – Przełknęłam ślinę, żeby pohamować płacz. – ...sto siedem to totalna, porażająca katastrofa, mammo!

– Musimy koniecznie coś z tym czymś zrobić.

Poczułam się jak rzecz. Już nawet nie jak waleń czy smoczyca, ale jak pozbawiona umiejętności logicznego myślenia rzecz.

– Z tym czymś, czyli ze mną – jęknęłam. – Nie jestem rzeczą, mammo, nie można mnie zutilizować!

– Nie to miałam na myśli, nie denerwuj się. Przejdziemy przez to razem. – Jej drobne paluszki silnie objęły moje grube palce. – Damy radę, zobaczysz.

– Nie chcę być taka... taka gruba.

– Wiem.

– Co mam robić?

– Nie mam pojęcia. Może dieta, może ćwiczenia, może lekarz jakiś? Nie wiem, bo... nigdy się nie odchudzałam, ale dowiem się, co robić. Znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Zrobię wszystko, co będzie trzeba!

Ryknęłam płaczem. Po trosze z powodu tej beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazłam, po trosze z powodu mojej matki. Pierwszy raz od dawna wykazała się taką matczyną czułością w stosunku do mnie.

– Płacz, kochanie, płacz. To pomaga nawet największym twardzielom, a ty przecież jesteś jeszcze dzieckiem. – Spojrzałam na nią z wyrzutem. – Młodą kobietą, niech ci będzie.

* * *

W tym samym tygodniu wybrałyśmy się do przychodni. Przyjmowała tam jakaś specjalistka od odchudzania. Kiedy weszłam do jaskrawożółtego gabinetu, moim oczom ukazała się kobieta po pięćdziesiątce, z natapirowanymi blond włosami, o wydatnych koralowych ustach. Łączyło mnie z nią to, co z wieloma innymi dzieliło – nadmiar fałd tłuszczu. Patrząc na doktor Urszulę Bielawną, odetchnęłam z ulgą, bo tak naprawdę najbardziej obawiałam się trafić na kogoś szczupłego, kto nie będzie mnie rozumiał, kto nie będzie wiedział, z czym wiąże się nadwaga. Byłam pewna, że tylko ktoś o podobnym „objętościowym” problemie pomoże mi we właściwy sposób.

– Nazywa się? – zaczęła oschle, nie patrząc nawet w moją stronę.

Czar prysł. Nogi zaczęły mi dygotać, a z gardła nie chciało się nic wydobyć.

– Nazywa się? – powtórzyła głośniejsze i ostrzej.

– Ka... Katarzyna Laska – wyszeptałam.

Lekarka o obfitym biuście podniosła na mnie wzrok.

– No tak, głosik to ma cieniutki, do wyglądu ni w ząb nie nada się.

– Cmoknęła, zapisując coś w karcie. – Nazwisko też zupełnie nieadekwatne do tego, co widać. Chce schudnąć czy jak?

„Czy jak? – pomyślałam. – O co jej chodzi?”

– Chcę schudnąć.

– To dobrze, bo w takich okolicznościach... – Obrzuciła mnie pełnym obrzydzenia wzrokiem. – ...nie ma innego wyjścia.

Nie wierzyłam własnym uszom. Słów krytyki od osoby, która wcale nie była szczuplejsza ode mnie, nigdy w życiu bym się nie spodziewała.

– Postanowiłyśmy coś z tym zrobić – wtrąciła moja matka, a ja znowu poczułam się ochłapem mięsa, rzuconym na rzeźniczy blat.

– Szkoda, że tak późno – zripostowała lekarka. – Teraz to już mogą być poważne konsekwencje takich zaniedbań. Możemy mieć do

czynienia z nieodwracalnymi skutkami otyłości. W najlepszym wypadku tylko przeciążenie stawów, w najgorszym cukrzyca, nadciśnienie tętnicze, zaburzenia gospodarki lipidowej czy nawet stłuszczenie wątroby.

– O, Boże! – Matka zrobiła przerażoną minę.

– Boga proszę w to nie mieszać! On nijak nie jest winny obżarstwa pani córki! Rozbiera się! – dodała, a ja niechętnie wykonałam jej polecenie.

Choć stałam w bieliźnie, czułam się całkowicie obnażona. Moje ciało było napięte do granic wytrzymałości, a pogardliwe spojrzenie doktor Bielawnej jeszcze dodatkowo mnie dobijało.

– No, no, no! – Podparła się o blat biurka i głęboko nabrała powietrza w usta. – Mamy tu coś dużego, coś baaardzo dużego. Obróć się, tylko powoli.

Czułam, jak całe moje ciało zalewa fala gorąca. O mało nie eksplodowałam ze złości, frustracji i bezradności, ze wszystkiego po trochu. Matka spostrzegła, że coś ze mną nie tak i idąc mi z odsieczą, spokojnie przemówiła do lekarki:

– Proszę pani... Pani doktor... moja córka się denerwuje.

– I słusznie! Słusznie! Kto to widział...?! Taka nadwaga...

– Proszę tak nie mówić!

– Ale o co pani chodzi? To szczerą prawdą przecież!

– Prawdę można przekazać tak, by nie ranić czyichś uczuć. Pani ton zdradza zupełnie inne intencje.

Kobieta lekko się zapowietrzyła.

– No tak, dobrze. W takim razie postaram się być delikatniejsza, skoro mam tu taki KRUCHY materiał.

– Dziękuję – odparła matka, ignorując ironiczny ton lekarki.

– A więc... – Zwróciła się do mnie, wzdychając przy tym ostentacyjnie. – Trzeba cię troszkę zmniejszyć. Zgadzasz się?

Nie odpowiedziałam. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodem panującym w gabinecie. Zagryzłam wargi, aby nie odszczeknąć się babsztylowi, ale wtedy moja matka nie wytrzymała.

– Tak nie można! – powiedziała stanowczo, a ja z wrażenia

zaczęłam się krztusić.

Matka pierwszy raz w życiu stanęła w mojej obronie i to w sposób przekraczający najśmielsze oczekiwania. Zachowywała się jak najprawdziwsza kwoka, chroniąca swoje maleństwo przed intruzem.

– Niech pani ją klepnie, bo się udusi. Z zatłuszczonymi szyjami nigdy nic nie wiadomo – odburknęła lekarka.

Matka usztywniła się jeszcze bardziej i odwróciła się w stronę złośliwej diabetolożki.

– Szanowna pani, jest pani lekarzem i o ile mi wiadomo, głównym pani zadaniem jest leczenie, a nie osądzanie. Bardzo proszę wobec tego o pomoc dla mojej córki. Chyba że nie ma pani takowych kompetencji...

Ostatnie zdanie podziało na kobietę jak płachta na byka.

– Co?! Ja?! Pierwszy raz w mojej bogatej karierze zawodowej spotykam osobę, której przeszkadza mój motywujący styl oceny stanu zdrowia. Jestem uznaną specjalistką, z doskonałymi wynikami, i wiem, jak należy leczyć takich... takie przypadki. Jeśli jednak ma pani wątpliwości, nie musi pani korzystać z moich doświadczeń.

– Nie podważam pani kwalifikacji, bo inaczej nie znalazłabym się tutaj. Nie podoba mi się jednak, że moja córka tak bardzo stresuje się tą wizytą. Nie widzi pani tego?

– Zestresowana jest, bo wstydzi się tych no... swojej otyłości się wstydzi, droga pani.

– A pani się swojej nie wstydzi? – palnęła matka, a we mnie nieoczekiwanie narosła wielka ochota, żeby wyściskać ją serdecznie.

„Mamo! Wow!” – pomyślałam z uznaniem.

– Co? Co? Ale... ale o czym... o czym pani mówi?

– Skarbie, ubieraj się! – zdecydowała matka, chyba pierwszy raz w swoim życiu tak szybko podejmując jakąkolwiek decyzję. – Nic tu po nas! Proszę się nie obawiać... – Spojrzała wymownie na lekarkę.

– ...skargi nie złożę!

Doktor Urszula Bielawna nic nie odpowiedziała. Najwyraźniej nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa po tak ciężkiej ripoście całkowicie niepozornej kobiety, którą w tym momencie szczęśliwie mogłam nazywać swoją matką.

* * *

Po tych doświadczeniach do kolejnego lekarza szłam już z większymi obawami, choć nie sądziłam, że ze strony kogokolwiek mogłoby mnie spotkać jeszcze większe upokorzenie. Ktoś polecił mojej matce doktor Srokę, jako wybitnego specjalistę w zakresie walki z otyłością. Choć po „kuracji” Urszuli Bielawnej nieco się zraziłam, musiałam i nadal chciałam zrobić coś z nadprogramowymi kilogramami, a nie mając innego pomysłu, trzymałam się postanowienia mojej matki, że powinnam zacząć od opinii lekarskiej.

– Tamta niekompetentna kobieta to był przypadek. Doktor Sroka to będzie coś innego, zobaczysz! Zresztą czytałam w Internecie o tej poradni. Ma doskonałe opinie – szepnęła matka, gdy stałyśmy już przed wejściem do gabinetu, na którego drzwiach widniała tabliczka z napisem: *Poradnia leczenia otyłości, dr R. Sroka*.

Nie zastając nikogo w poczekalni, weszłyśmy do środka. Przed nami, w białym fartuchu, ze stetoskopem na szyi, siedział... mężczyzna. „O cholera! To przecież miała być kobieta...”.

– Szukamy doktor Sroki – oświadczyła matka.

– Zapraszam – powiedział.

– Doktor Renaty Sroki – dopowiedziała.

– Dobrze panie trafiłyście. Nazywam się Renat Sroka. Często pomyłka imion.

– Aaa... rozumiem.

Ja natomiast kompletnie nie rozumiałam.

– Proszę, proszę – ciepło odparł łysiejący mężczyzna. – Pani to zapewne Katarzyna... – Spojrzał w kartę. – Katarzyna Laska, tak?

– Tak – odpowiedziałam cicho, będąc niesamowicie stremowaną.

– Proszę usiąść.

– Nie rozbiore się przed facetem – szepnęłam do matki.

– To tylko lekarz.

– Mamo!

– Może to lepiej, że jest mężczyzną?

– Jakiś problem? – zapytał doktor Sroka.

– Nie, nie – odparła matka, poklepując mnie po ramieniu.

– To doskonale – powiedział z uśmiechem i zabrał się za wnikliwy

wywiad, sporządzając przy tym skrupulatne notatki.

Matka patrzyła na mnie, przez cały czas sztucznie się uśmiechając, jakby chciała dodać mi pewności siebie. Brakowało mi jej, to prawda, ale z każdą minutą czułam się lepiej w tym sterylnym gabinecie.

– No to mamy komplet informacji – rzekł doktor po zadaniu kilkunastu pytań. – Dobrze... Doskonale!

Pomimo zaskoczenia z powodu płci doktora Sroki mężczyzna ten nieoczekiwanie wzbudził moje zaufanie. Przede wszystkim dlatego, że w żaden sposób mnie nie krytykował, nie stroił min, nie wzdychał demonstracyjnie i nie okazywał zmieszania. Miałam szczerą nadzieję, że przez swoje grube jak denka słoika szkła nie da rady obejrzeć mnie zbyt dokładnie, a przynajmniej nie będzie się niczego doszukiwał. Po raz kolejny pomyliłam się jednak, bo doktor Sroka okazał się najdokładniejszym z dokładnych.

– Bardzo proszę się rozebrać – powiedział w końcu.
– Za parawanem jest wieszak.

Kiedy już wykonałam jego polecenie, podszedł z jakąś specjalną tasiemką i zaczął mnie obmierzać centymetr po centymetrze. Niczego nie komentował, nie zadawał krępujących pytań, nie wydawał się ani zaskoczony, ani zszokowany. Patrząc na jego zaangażowanie, zaczynałam wierzyć, że doktor Sroka może być tym właściwym lekarzem, tym, który pomoże mi wyrwać się z tłuszczowych kleszczy. Moja matka także wyglądała na nieco uspokojoną. Przestała kulić się, a jej uśmiech zaczął wyglądać naturalnie.

– I co pan myśli, panie doktorze? – zapytała w końcu, po długiej chwili ciszy.

– Ale o czym?

– No, o mojej córce – wypaliła i momentalnie spłoszyła. – O jej szansach... Rozumie pan...

– Proszę pani, tu nie ma co rozumieć. Pani Katarzyna zapewne ma problem, ale jestem po to, aby się tego problemu pozbyć. A szanse? To wszystko zależy od pani Katarzyny, no w każdym razie przede wszystkim od niej.

– Dziękuję – odparła matka z wyraźną ulgą.

– Ale za co mi pani dziękuje? To moja praca i już – odpowiedział

i poprawiwszy sobie okulary, powrócił do obmierzenia mojej prawej łydki.

Przyglądałam się doktorowi, który, bez reszty oddany swojej pracy, zachowywał się tak, jakby nic poza mną w tej chwili nie istniało. Mocno marszczył czoło, gdy odczytywał wyniki pomiarów, a gdy nachodziły go jakiegokolwiek wątpliwości, powtarzał czynności. Bez dwóch zdań, wyglądał na znawcę tematu. Uśmiechałam się do siebie, czując, że decyzja o wizycie u doktora Sroki była ze wszech miar słuszna. „Z nim powinno się udać...”.

Wszystko może i zakończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że kiedy doktor dokonywał obmiaru mojej lewej łydki, do pokoju wlała się grupa studentów medycyny.

– Panowie, dobrze, żeście zdążyli! Mamy tu niezwykle ciekawy przypadek – z entuzjazmem poinformował swoich podopiecznych.

Natychmiast zeszywniałam, widząc tylu przystojnych, młodych mężczyzn w białych fartuchach, którzy wyglądali na niewiele starszych ode mnie. Pierwszy raz w tym gabinecie poczułam się nieswojo, bo bycie „ciekawym przypadkiem” nie wróżyło niczego dobrego. Jak się okazało, moje obawy były całkiem słuszne. Studenci nie zdradzali negatywnych emocji, nie usłyszałam od nich ani jednego trudnego do zaakceptowania słowa, ani jednej drwiny czy kąśliwości. Ich zainteresowanie „ciekawym przypadkiem” było jednak tak krępujące, że marzyłam tylko o tym, aby zapaść się pod ziemię.

– Panowie, chciałbym włączyć panią Katarzynę do naszego programu – zakomunikował, kiedy się już ubrałam.

– Do jakiego programu? – wydukałam z przestraczem.

– To nowatorski program kompleksowego leczenia otyłości. Nosi dumny tytuł „Nowe, lekkie życie”. Pacjent znajduje się pod opieką zespołu złożonego z lekarzy, dietetyka, fizjoterapeuty i studentów medycyny. – Moim ciałem wstrząsnął przeraźliwy dreszcz. – Pacjent poddawany jest szerokiemu spektrum badań laboratoryjnych, kieruje się go na zajęcia ruchowe oraz do dietetyka, w celu opracowania indywidualnego menu, zgodnego z jego profilem. W pani przypadku to doskonała sposobność, aby zacząć nad sobą pracować. Co dwa tygodnie szczegółowe pomiary! – rzekł z entuzjazmem, a ja poczułam, że za

chwilę zemdleję.

– Wspaniały pomysł, panie doktorze – przyklasnęła matka.

„Mamo! Halo! To makabryczny pomysł!”.

– To dobrze, doskonale! W takim razie zapraszam za tydzień, na godzinę czternastą. Wypełnicie wtedy wszelkie formularze zgłoszeniowe. I zaproszę też zespół, aby mógł panią dokładnie obejrzeć.

„Nie chcę być oglądana... Nie chcę być mierzona...”.

– Dokonamy jeszcze bardziej szczegółowych pomiarów i przeprowadzimy dodatkowe analizy składu pani ciała. Zrobimy testy na bieżni...

– Na bieżni? – wydusiłam z siebie.

– Oczywiście, na bieżni. Taka procedura.

„Mamo, zabierz mnie stąd!” – błagałam w myślach, a ona jakby usłyszała.

– Czy bieżnia jest konieczna?

– A czy to jakiś problem?

– No, nie wiem, ale moja córka raczej nigdy nie korzystała z bieżni.

Skwapliwie przytaknęłam.

– To nic trudnego, proszę mi wierzyć – skwitował i poczynił dodatkowe notatki. – Czyli jesteśmy umówieni. Za dzisiaj dziękuję.

– Dziękujemy – odparła moja matka.

Na korytarzu poczułam się dziwnie słabo i osunęłam się na ławkę.

– Chcesz podejść do okna?

– Chyba nie trzeba.

– Jesteś bardzo blada. Oddychaj, kochanie. Przyniosę ci wody.

– Nie chcę żadnej wody! – palnęłam rozzłoszczona.

– A ja nie chcę, żebyś znowu zemdlała.

– Nie zemdleję! Nic mi nie będzie!

– Nie złość się na mnie.

– Nie złoścę się na ciebie, tylko na to wszystko, bo... bo nie chcę uczestniczyć w żadnym programie! Nie chcę, żeby co dwa tygodnie robili mi jakieś przekłete pomiary! Nie chcę bieżni!

– Rozumiem, że nie wszystko może ci pasować, ale może to jeszcze przemyślisz?

– Nie chcę!
– Ten doktor Sroka wydawał się miły, nie uważasz?
– Był miły, ale nie dam rady być jakimś królikiem doświadczalnym, rozumiesz? Nie chcę! Mamo, ci studenci... Przecież to prawie moi rówieśnicy... Nie dam rady regularnie się przed nimi rozbierać!

– Skarbie... – powiedziała dobrotliwie. – Lekarze oglądają setki różnych ciał. To ich zawód.

– Ale akurat ci mieliby oglądać moje, a ja tego nie chcę!

– Na pewno?

– Na pewno!

– Skoro nie chcesz doktora Sroki, to będę szukała dalej.

– A może ja się nie nadaję do czegoś takiego?

– Niby do czego? Do wizyt u lekarza? – powiedziała nieco zniecierpliwiona. – Ustaliłyśmy, że od tego zaczniesz.

– A może wezmę jakąś dietę z Internetu?

– Przestań! To wykluczone. Musisz mieć badania i koniec! – powiedziała nad wyraz stanowczo, sprawiając, że nie widziałam już sensu dalszego oponowania.

Choć wcale mi to nie pasowało, pogodziłam się z perspektywą wizytowania wszystkich gabinetów leczenia otyłości w naszym rejonie. Czułam, że matka nie odpuści i gdzieś w głębi cieszyłam się z tego, bo wiedziałam, że aby coś się zmieniło w moim życiu, ktoś musi pomóc mi wytrwać.

* * *

Kilka następnych dni moja matka spędziła na poszukiwaniu kolejnego specjalisty, do którego mogłabym się udać. Nie było to wcale takie łatwe, bo – jak się okazało – wolne terminy u niektórych z nich były bardzo odległe. Kiedy w końcu udało jej się zarejestrować mnie na wizytę, próbowałam ją przekonać, że lekarka nazywająca się Penelopa Hoppe nie wróży niczego dobrego i kontakt z nią wydawał mi się oczywistą stratą czasu.

– Mamo, będę ćwiczyła w domu albo zapiszę się na fitness i pójdę do jakiegoś dietetyka. Nie każ mi iść do kolejnego lekarza.

– Pójdziemy, to postanowione! – zdecydowała, ucinając po raz kolejny jakiegokolwiek dyskusje. Jej stanowczość była dla mnie czymś zupełnie nowym w naszych relacjach i pewnie dlatego nie bardzo potrafiłam sobie jeszcze z nią radzić. – Trzeba to zrobić, i już!

W środę zaciągnęła mnie do prywatnej przychodni na przedmieściach. Kiedy trafiłyśmy pod wskazany adres, naszym oczom ukazał się biały, bardzo nowoczesny budynek, zbudowany z betonu i szkła. Nad drzwiami wejściowymi widniał napis: *Klinika przy Leśnej 13*.

– Ładnie tu – westchnęła matka.

– Strasznie szpanersko. Nie idźmy tam, proszę!

– Przestań. Zapłaciłam już za wizytę. Idziemy i basta!

– Błagam, mammo! Ta Penelopa Hoppe to na pewno jakiś wybryk natury!

– Czytałam o niej same dobre rzeczy. Będzie w porządku. Chodź!

Gdy weszłam do środka, uderzyła mnie jakaś niezwykła aura, będąca mieszaniną spokoju, optymizmu i pewności siebie. Nie bardzo rozumiałam, co wywoływało takie odczucia. Być może sprawiła to zupełnie niespotykana lawendowo-oranżowo-szara kolorystyka wnętrza, stanowiąca swoisty melanż ekscentryzmu z elegancją? A może głos Barry’ego White’a, który rozbrzmiewał gdzieś z sufitu? Może jedno i drugie. Najważniejsze było to, że niechęć, a nawet wrogość, którą jeszcze przed momentem odczuwałam, odpłynęły gdzieś w niebyt.

Przemierzając szeroki korytarz, przyglądałam się fotografiom śródziemnomorskich krajobrazów, które w jakiś taki magiczny sposób wpływały na nagły wzrost poziomu endorfin w moim organizmie.

– Coś ci się przypomniało? – zapytała matka, widząc uśmiech na mojej twarzy.

– Nie. Te fotografie... są takie pozytywne – odparłam, patrząc na parę staruszków, którzy na greckim wybrzeżu łowili ryby.

– Nie denerwujesz się?

– Teraz już tak.

– Yyy... Nie ma potrzeby.

– To się jeszcze okaże – westchnęłam.

– To gdzieś tutaj. O, tak.

Stanęliśmy przed fioletowymi drzwiami.

– Doktor nauk medycznych Penelopa Hoppe, specjalista diabetolog, dyplomowany dietetyk. Terapeuta. – Zmarszczyłam brwi. – Brzmi przerażająco.

– Wcale nie! – odparła matka. – Pan teraz wchodzi? – zagadnęła starszego mężczyznę, czytającego jakieś czasopismo motoryzacyjne.

– Na to wygląda – odparł, nie okazując zbytniego zaangażowania.

– To pana pierwsza wizyta?

Mężczyzna oderwał wzrok od tekstu i cmoknął.

– Pierwsza wizyta, pyta pani? Pierwsza to była... trzydzieści dwa kilo temu.

– Naprawdę? – Matka wyglądała, jakby ją zatkało.

– Naprawdę.

– Czyli ta lekarka jest w porządku?

– Czy jest w porządku, pyta pani? – Matka sumiennie pokiwała głową. – To najlepsza babka od tych spraw. Nie znam lepszej, może mi pani wierzyć.

Matka uśmiechnęła się i wymownie spojrzała w moją stronę, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”. Chyba jej ulżyło. Ja jednak byłam podenerwowana, a w momencie, w którym za drzwiami zniknął mężczyzna wychwalający lekarkę, zaczęłam się stresować na poważnie. Nie miałam pojęcia, co tym razem czeka mnie w lekarskim gabinecie, nie wiedziałam, jakim pomiarem zostanę poddana i czy przypadkiem doktor Penelopa Hoppe nie zaprasza do współpracy zespołu przystojnych adeptów sztuki lekarskiej, którzy sondując moje półnagie ciało, dokonają jego wnikliwych analiz.

– Ale jeśli nie będę chciała... – Zerknęłam na matkę.

– To niczego nie będziesz musiała robić, Kasieńko. Ale spróbuj. Chcesz przecież tego, prawda? – Kiwnęłam nieznacznie. – Poza tym słyszałaś, co mówił ten pan – jest fajna i skuteczna. Trzydzieści dwa kilo...

Gdy tylko weszliśmy do środka, poczułam ulgę. Choć gabinet był ogromny, panowała tu „nielekarsko” przyjazna atmosfera. Kremowo-szare ściany, obwieszane portretami uśmiechających się ludzi, grafitowe kanapy z wielkimi poduchami oraz niezwykle rozłożysta

lampa, która z narożnika pokoju zapuszczała żurawia aż nad niski stolik, zajmujący centralne miejsce pomieszczenia, były zdecydowanie zaskakującymi elementami wyposażenia tego miejsca.

– Dzień dobry – powiedziałam, siląc się na uśmiech.

– Witajcie! Zapraszam – odparła, wskazując nam miejsca.

Kobieta, która znajdowała się po przeciwnej stronie biurka, była bardzo atrakcyjną brunetką o długich, falujących włosach. Miała oliwkową cerę i zawadiacko połyskujące czarne oczy. Ubrana w różową sukienkę z dużym dekoltem, emanowała seksapilem i czymś, co odebrałam jako wewnętrzne ciepło.

– Katarzyna Laska, tak? – Potwierdziłam. – Masz świetne nazwisko.

– Ja? – mruknełam.

– No pewnie! Nie narzekam na swoje, ale twoje jest ekstra!

– Mam przez nie same kłopoty – odparłam, zgodnie z prawdą.

– Kłopoty? Posłuchaj, nazwisko to coś, co nas identyfikuje, jest nieodłącznym elementem nas samych. Twoje jest niezwykle. Jedyne, co musisz zrobić, to dopasować się do niego, rozumiesz?

– Nie bardzo.

– Jesteś piękną dziewczyną. – Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. – Tak, tak. Masz bardzo ładne oczy, drobny nos, długą szyję i zadbane włosy...

Moja matka gorliwie przytakiwała, a ja zrobiłam chyba kolejną minę z cyklu „Hello? Czy to aby o mnie chodzi?”. Lekarka obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty i dodała:

– Masz przed sobą spore wyzwanie. To fakt.

– Wyzwanie? – wtrąciłam.

– No tak. Ty dzisiaj nazywasz to problemem, ale uwierz mi, już niedługo zrozumiesz, że to nic innego jak wyzwanie, któremu możesz sprostać. Niedługo będziesz po prostu Kaśką Laską pełną gębą, rozumiesz?

– Aha – burknełam bez przekonania.

– Chcesz tego?

Nie odpowiedziałam, tylko tępo wpatrywałam się w kobietę.

– Chcesz tego? – Nie odpuszczała.

– Tak.

– Nie słyszę!

– Tak, chcę tego! – powiedziałam głośno, co wyraźnie usatysfakcjonowało lekarzkę.

– No, taka postawa mi się podoba! Teraz zrobię wstępny wywiad, jeśli pozwolisz, a potem sama zdecydujesz, czy chcesz być moją pacjentką, okej?

– Okej – odparłam, będąc nieco zaszokowaną otwartością kobiety i możliwością dokonania wyboru.

Po wstępnym badaniu, kilkunastu pytaniach i wypełnieniu paru tabelek Penelopa Hoppe pokazała mi wykres, który wydrukował się z paszczy maszyny dokonującej szczegółowych pomiarów ciała, pieszczotliwie nazywanej przez nią „Mała Tanita”. Według cyferek, które się tam pojawiły, od początku moich zmagania schudłam trzy kilo. „Trzy kilo w dwa tygodnie... Dobry początek” – pomyślałam i spojrzałam na piękną brunetkę, która zarzuciwszy swoje długie włosy na prawe ramię, przeszła do formułowania zasad.

– Pomimo iż wiele osób mówi na to terapia... – zaczęła – ja wolę to nazywać nową metodą na życie. Nie chcę cię leczyć, lecz chcę ci pomóc znaleźć taką drogę, która sprawi, iż każdy centymetr twojego ciała będzie dla ciebie powodem do dumy, a nie powodem do kompleksów. Chcę ci pomóc w tym, abyś w końcu pokazała światu, jaka piękna jesteś, i abyś się tym cieszyła.

Matka załkała i wyciągnawszy chusteczkę, zaczęła ocierać łzy, co spotęgowało tylko atmosferę przełomowości spotkania w gabinecie doktor Hoppe.

– Co ty na to? – spytała lekarka, a ja jedynie pokiwałam głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. – Gesty tu nie wystarczą. Muszę to usłyszeć.

– Tak – odparłam.

– Co „tak”?

– Tak, chcę tego.

– Czego chcesz? – dręczyła mnie, zmuszając do złożenia deklaracji.

– Chcę pomocy.

– Pomocy w czym?

– W znalezieniu nowej metody na życie – wydusiłam z siebie.

Penelopa Hoppe uśmiechnęła się szeroko, ukazując równusieńkie, mlecznobiałe zęby. Nie wiedzieć z jakiego powodu, zastanowiłam się, czy kiedyś nosiła aparat, czy też urodziła się z tak idealnym uzębieniem, doskonale pasującym do idealnej reszty.

– W takim razie... gratuluję! – Podeszła do mnie i uściśniła mnie serdecznie. – Właśnie wkroczyłaś na nową ścieżkę swojego życia. Nową, lżejszą ścieżkę.

Moja matka wpadła w niemal histeryczny nastrój, roniąc łzy i śmiejąc się na przemian. Lekarka zbliżyła się do niej i poklepała ją po ramieniu.

– Od dziś pani córka zaczyna nowy etap życia! – rzekła tryumfalnie. – Jak chciałabyś, abym się do ciebie zwracała?

Skonsternowała mnie tym pytaniem. „Jak ma się do mnie zwracać?” – przez chwilę usilnie się zastanawiałam, ale odpowiedzi nie znalazłam.

– Katarzyna? Kaśka? Kasia? Jakiś pseudonim? – ciągnęła, a ja nadal milczałam jak zakłęta. – Hej! W tym gabinecie są trzy zasady... – Wskazała ręką na białą planszę, która wisiała tuż obok designerskiego zegara. – Pierwsza z nich mówi, że zwrot „nie wiem” jest niedopuszczalny, druga, że odpowiadanie stwierdzeniem „nie istnieje” jest zakazane, a trzecia, że kiedy ktoś pyta, odpowiada się głośno i wyraźnie. A więc, zgodnie z zasadą numer trzy, jak mam się do ciebie zwracać?

– Kaśka... yyy... byle nie Katarzyna – odparłam nieśmiało.

– Okej. – Wystukała coś na klawiaturze komputera. – Wobec tego powiedz mi, Kaśka, dlaczego chcesz zmiany.

„Znowu pytania...”.

– Kasieńka już nie dawała... – zaczęła moja matka, ale terapeutka weszła jej w słowo.

– Jestem pewna, że pani córka jest w stanie sama mi o wszystkim opowiedzieć, prawda? – Lekarka zerknęła na mnie wymownie, a ja nieznacznie pokiwałam głową. – Więc?

– Więc jestem tu... yyy... bo... bo mam dość! – wyrzuciłam

z siebie.

– Czego dokładnie masz dość?

Wzięłam głęboki oddech i mocno zaciskając powieki, wystrzeliłam z siebie słowa, ociekające trudnymi do opanowania emocjami.

– Galaretowatego ciała, ciągłej zadyszki, obrzydliwych obwisłości, pogardliwych spojrzeń, piekących przytyków i prześmiewczych komentarzy! – Podniosłam głowę i napotykając na spojrzenie Penelopy Hoppe, dodałam: – Dokładnie tego mam dość!

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób wezbrała we mnie odwaga, skąd zaczerpnęłam siłę, aby wszystko wyartykułować w tak zdecydowany sposób. Pewne jednak było, że ta jasna deklaracja bardzo wiele we mnie zmieniła i pomogła mi coś zrozumieć.

– Postanowiłam, że nie będę już taka! Wiem, że ważąc ponad sto kilo, nigdy nie będę sobą!

– A kiedy będziesz sobą?

Bez namysłu zadeklarowałam:

– Mając trzydzieści, nie... mając czterdzieści kilo mniej.

Serce waliło mi jak oszalałe. Miałam wrażenie, że drżało całe moje ciało, że każda jego cząsteczka krzyczała, niczym rozjuszony uczestnik jakiegoś rewolucyjnego marszu.

– Czyli ile będziesz ważyć? – usłyszałam zniekształcony głos diabetolożki, jakby docierał gdzieś zza ściany. – „Tanita” pokazała dziś wagę sto cztery kilogramy. Ile chcesz wobec tego ważyć?

Podniosłam na nią wzrok, głośno przełknęłam ślinę i wycedziłam:

– Sześćdziesiąt cztery.

– Zasada numer trzy, czyli „głośno i wyraźnie”, nadal obowiązuje.

Pamiętasz?

– Sześćdziesiąt cztery! – rzekłam odważnie.

Zapanowała chwila ciszy. Trwała może pięć sekund, może pięć minut, nie wiem dokładnie, ale była wystarczająco długa, aby dotarł do mnie sens słów, które przed momentem wypowiedziałam. Ryknęłam histerycznym śmiechem, tworząc z dłoni szczelną zasłonkę dla rumieniących się policzków.

„Czterdzieści kilo...? Ty kretynko... czterdzieści...” – ganiąc się w myślach, śmiałam się spazmatycznie.

Gdy po chwili uspokoiłam się, zerknęłam na matkę. W jej oczach dojrzałam najprawdziwsze zaniepokojenie, a może i przerażenie. Marszcząc czoło, wlepiała we mnie skołowane spojrzenie.

– Co tak cię rozbawiło? – odezwała się lekarka.

– Rozbawiło? Nic mnie nie rozbawiło, zupełnie nic.

Penelopa patrzyła na mnie, dając do zrozumienia, że czeka na jakieś logiczne wyjaśnienie.

– Naprawdę nic – powtórzyłam.

Kobieta nadal wwiercała we mnie swój wyczekujący wzrok.

– Więc?

– Więc nie wierzę w to, co powiedziałam! – rzuciłam, stukając się w czoło. – To jest po prostu niemożliwe, niewykonalne, absurdalne i w ogóle... głupie! Jestem totalną idiotką! Przecież w życiu tego nie zrobię! Ja i czterdzieści kilo? Nigdy! To przecież takie irracjonalne! To by było osiągnięcie czegoś, to by było zrealizowanie marzenia, a moje przecież nigdy się nie spełniają!

Opanowana dotychczas lekarka huknęła dłonią w biurko, natychmiast uciszając moje lamenty. Ostry, karcący wzrok zupełnie nie pasował do wizerunku tej przyjaznej kobiety, który zdążyłam już sobie zakodować w pamięci, w szufladce opisanej tabliczką *Penelopa Hoppe*. Tylko ten jeden raz widziałam ją taką wzburzoną, wyglądała wręcz demonicznie.

– Nie robiłam jeszcze kompletu badań, ale wiele wskazuje na to, że jesteś zdrowa, dziewczyno! Nadwagę masz w głowie! Tylko tam! Jak nad nią popracujesz tak, jak ci powiem, schudniesz, rozumiesz?

SCHUDNIESZ!

Totalnie mnie zamurowało. Skarcona, uciekłam wzrokiem w bok i całkiem niespodziewanie natknęłam się na zdjęcie bardzo wyniszczonej staruszki, obnażającej w szerokim, pełnym ciepła uśmiechu, dwa zęby, będące jedynymi kostnymi filarami, jakie jej jeszcze pozostały.

Przyjrzałam się dokładnie tej wyglądającej na szczęśliwą kobiecie i właśnie wtedy pomyślałam, że skoro ta babinka miała w sobie tyle odwagi, aby dać się sfotografować w dużym zbliżeniu, ukazującym każdy, najdrobniejszy nawet defekt swojej twarzy, z bliznami, zmarszczkami, piegami i zadrapaniami, to nad czym ja się

zastanawiałam. Ona cieszyła się z tego, że ktoś zwrócił na nią uwagę, że chciał ją uwiecznić, że być może się do niej uśmiechnął albo coś jej zaproponował. A ja? Zamiast korzystać z szansy, odrzucałam ją.

„Przecież tego chcesz, kretynko! Musisz spróbować! A jeśli dasz radę? Jeśli schudniesz? Jeśli to nie jest idiotyczna myśl, tylko całkiem realny cel?”

– Dobrze – wycedziłam. – Spróbuję to osiągnąć... Osiągnę to!

Lekarka uśmiechnęła się, a matka, niczym błyskawica, pojawiła się przy mnie, wyściskując mnie tak mocno, jakbym zdobyła jakąś nagrodę w ważnym konkursie.

3. Anonimowi

– Skończmy z tym nieludzkim określeniem „pani doktor”. Jak chciałabyś do mnie mówić? – usłyszałam po tradycyjnym „witaj”, gdy po raz drugi przekroczyłam próg gabinetu diabetologicznego.

Nie miałam pojęcia, co mogłabym, a w zasadzie co powinnam odpowiedzieć.

– Pytania, pytania, pytania... Trudne, co?

– Aha.

– Może zacznę od tego. – Podeszła do mnie i wyciągnęła dłoń na powitanie. – Nazywam się Penelopa Hoppe. Jestem anonimową grubaską.

„Anonimową... grubaską?” – zatrwożyłam się, marszcząc przy tym czoło.

– Tak, tak, anonimową grubaską. Wiem, że to trochę zaskakujące, ale dokładnie tak jest.

– Ale... jak to?

– No po prostu. Kiedyś stanęłam przed tym samym wyzwaniem, co ty dzisiaj i, jak widzisz, sprostalam mu. Dzięki temu, przez co przesłam, dzięki temu, co czułam i co się ze mną działo, dziś doskonale cię

rozumiem i wiem, z jakimi trudnościami przyjdzie ci się zmierzyć.

Moja mina zdradzała zapewne to, co czułam wewnątrz, czyli totalne ośpienie, zaskoczenie, wręcz szok, bo piękna brunetka, która właśnie kazała mi przestać mówić na siebie „pani doktor”, uśmiechnęła się wymownie.

– Typowa reakcja, nie przejmuj się. – Kobieta wyjęła spod biurka dwie wyświechtane fotografie. – To ja przed ponad dwudziestoma laty.

Wpatrywałam się w jedno ze zdjęć, na którym otyła dziewczyna o pięknych czarnych włosach uśmiechała się szeroko do kogoś po drugiej stronie aparatu, ukazując wybitnie krzywe uzębienie. Nie mogłam uwierzyć, że siedząca obok mnie atrakcyjna i smukła kobieta, którą uważałam za idealną, kiedyś wyglądała tak diametralnie inaczej.

– To... Naprawdę...?

– To naprawdę ja! Miałam dużo więcej do zrzucenia od ciebie i dałam radę, więc ty też możesz.

Patrząc jej prosto w oczy, zaczęłam potakiwać.

– Ale zanim będą efekty, musisz trochę popracować.

Zaplanowałam dla ciebie dwie wizyty wstępne, na których wszystko dokładnie omówimy. Pasuje? – Pokiwałam głową. – Pamiętasz zasadę numer trzy? – Znowu przytaknęłam. – Mówiła, że na pytania odpowiada się głośno i wyraźnie...

– Tak, pasuje!

– No, to rozumiem – skwitowała, po czym zaczęła dość szczegółowo omawiać, czym będziemy się zajmować w czasie kolejnych wizyt. – Dzisiaj musimy zrobić tylko jedną rzecz, bardzo prostą, ale nadzwyczaj istotną. Posłuchaj...

Spojrzałam na nią, błagając w myślach, aby nie były to przypadkiem żadne próby wydolnościowe, podskoki, przysiady czy, nie daj Boże, pompki.

– Chciałabym, abyś zaczęła od pomiarów.

Skamieniałam. Pomiaru kojarzyły mi się z największym upokorzeniem, z czymś, co w najjaskrawszy sposób uwypuklało moje niedoskonałości i uświadamiało mi, w jak katastrofalnym stanie się znajduję.

– Czy to konieczne?

– Oczywiście – odparła bez wahania. – Bez pomiarów nie możemy rozpocząć procesu. Dlaczego pytasz?

– To nie jest nic przyjemnego.

Penelopa uniosła brwi.

– Przecież nie wymaga to żadnego wysiłku.

– To chyba gorsze od ćwiczeń. Sam fakt, że... że muszę... że muszę się rozebrać i stać bez ciuchów, to... to beznadziejne.

– W pewnym sensie cię rozumiem, bo sama nie chciałam poddawać się pomiarom. Ale wiesz co? Jak już to zrobisz, jak się przełamiesz, jak weźmiesz do ręki notes, ołówek i miarkę, to będzie to twoim pierwszym krokiem na nowej drodze. Pierwszy krok często bywa bolesny i nigdy nie wiesz, czy ten ból ostatecznie ci się opłaci.

– A tobie się opłacił?

– Hmm... Bez tego pierwszego kroku nie byłabym dziś tym, kim jestem. Zawsze chwaliłam dzień, w którym zdecydowałam się na jego podjęcie.

Popatrzyłam na Penelopę, która nieco rozmarzonym tonem wypowiadała ostatnie słowa, i poczułam nagły przyływ energii.

– To gdzie jest ten notes, ołówek i miarka?

Lekarka roześmiała się i dając standardowe „wyposażenie pomiarowe pacjenta”, skierowała mnie przed wysokie fazowane lustro. Rozbierałam się powoli, jakby ociąganie miało mi w czymkolwiek pomóc, a kiedy w końcu rzuciłam okiem na własne odbicie, sapnęłam.

– Co mam zmierzyć? – powiedziałam pospiesznie, pragnąc jak najszybciej mieć to za sobą.

– Nie chciałabym, abyś się spieszyła – odparła. – Zrób to powoli. Na początek przyjrzyj się sobie bardzo dokładnie.

– Muszę?

– Jasne, że musisz. Jeśli nie będziesz wiedziała, jak wygląda to, z czym chcesz się zmierzyć, to skąd będziesz wiedziała, że to pokonałaś?

W żaden rozsądny sposób nie potrafiłam zbić tego argumentu, więc w końcu spojrzałam w lustro.

– Co widzisz?

– Obrzydliwie obwisłe cielsko, pełne fałd i cellulitowych okropności.

– Pełne fałd i cellulitowych okropności... – powtórzyła Penelopa, jednocześnie zapisując wszystko w komputerze.

– Po co to zapisujesz?

– Abyś miała pełen obraz swoich osiągnięć.

– Osiągnięć? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Za kilka miesięcy będziesz mogła powrócić do momentu, od którego zaczynałaś. I wtedy sama się przekonasz, jak wiele osiągnęłaś – odpowiedziała z takim przekonaniem, że nie mogłam nie wierzyć w jej słowa. – Po prostu mi zaufaj. A teraz powiedz, co odczuwasz, kiedy na siebie patrzysz?

– Niechęć i złość. Na siebie złość, że... rozumiesz, że doprowadziłam się do takiego beznadziejnego stanu.

Penelopa niezmiennie stukała w klawiaturę.

– Co jeszcze odczuwasz?

– Nienawiść. Tak! Nienawidzę swojego ciała, nie cierpię go!

Co więcej, wcale nie chcę go oglądać! – trajkotałam, coraz bardziej się unosząc. – Oglądać można Kate Beckinsale, Natalie Portman. Patrząc na mnie, co najwyżej można nabawić się niestrawności.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Dokładnie to, że moje ciało nie ma w sobie nic ciekawego, a już na pewno nic godnego podziwu. Tylko popatrz, popatrz na to okropne cielsko, na to wszystko... – Zaczęłam dotykać kolejnych fałd, wprawiając je w ruch.

Penelopa przyglądała mi się badawczo. Nie uśmiechała się ani nie miała skwaszonej miny. Nie okazywała zniecierpliwienia ani zniesmaczenia. To, co dominowało na jej twarzy, to była raczej... czysta satysfakcja.

– Doskonale! Skoro tak bardzo nie cierpisz swojego ciała, to proszę, abyś w tej chwili nazwała wspomniane przez ciebie fałdy twego ciała imionami chłopaków, których z jakichś względów chciałabyś wyrzucić ze swej pamięci.

Terapeutka nie przestawała mnie zaskakiwać.

– Nie rozumiem...

– Przecież to nic trudnego, użyj imion znienawidzonych chłopaków.

„Chłopaków? Jakich chłopaków?” – zastanawiałam się gorączkowo.

– Ale ja... ja niespecjalnie kumplowałam się z chłopakami, a jeśli chodzi o... – Zaczerwieniłam się. – ...o takiego prawdziwego chłopaka, to ja... no... ja nigdy... – Zaczęłam się jąkać, a Penelopa najwyraźniej zrozumiała moje zakłopotanie.

– A! Rozumiem. Dziewczyny bardziej zalały ci za skórę, co? – zapytała, a ja aż poczułam mrowienie na dłoniach, przywołując w myślach wizerunki znienawidzonych szkolnych oprawczyń.

Uniosłam prawą rękę i wskazując na ramienną obwisłość, rzuciłam:

– To bezczelna Julia, a to... – Pokazałam brzuszny zwis.
– ...złośliwa Paulina.

– Poczekaj, poczekaj! Muszę wszystko dobrze rozpisać.

– Rozpisać?

– A jakże! To bardzo ważne!

Nie miałam najmniejszych problemów, aby każdą z fałd nazwać imieniem innej dziewczyny, która w jakiś szczególny sposób uprzykrzała mi życie.

– Tej fałdy nie cierpię najbardziej – odparłam, tarmosząc drugi podbródek. – Widząc ją, zawsze będę myślała o najbardziej znienawidzonej Ance. Nie żebym miała cokolwiek do Anek, ale tej rudej, wychudzonej małpy po prostu nie znoszę.

Penelopa przerwała swoje notatki i zaczęła się gromko śmiać.

– Bravo! Pięknie to opisałaś! Wychudzone małpy i wszelkie szczapowate, parszywe i dwulicowe osobniki płci żeńskiej, miejcie się na baczności! Kaśka nadchodzi!

Po teatralnie brzmiącym podsumowaniu moich wynurzeń zostałam sprowokowana do... wybuchnięcia donośnym śmiechem. Obie rechotałyśmy dobrą chwilę, a kiedy już skończyłyśmy, poczułam się nienaturalnie swobodnie. Na tyle swobodnie, że dokonanie pomiarów przebiegło szybko i sprawnie.

– Jeszcze chwila – usłyszałam od Penelopy, kiedy zamierzałam się już ubrać.

– Mam powtórzyć jakiś pomiar?

– Nie, nie. Zostały nam jeszcze zdjęcia.

– Zdjęcia? Ale... jakie zdjęcia?

Penelopa podeszła do mnie z cyfrówką.

– Posłuchaj, Kaśka, żebyś miała pełen ogląd swoich osiągnięć, a przecież o to ci chodzi, zdjęcia są niezbędne. Zrobimy tylko trzy zdjęcia, które znajdą się w twojej teczce i nigdzie indziej.

– Wolę ich nie robić.

– Jeśli ich nie zrobisz, będziesz tego potem żałowała. Słuchaj, spójrzałaś już na siebie, nazwałaś zniechęconą przez siebie część ciała. Słowem, nic cię nie zaskoczy.

– Ale wolę tego nie uwieczniać! – upierałam się.

– Czy chcesz jeszcze kiedykolwiek ważyć ponad sto kilo?

– Nie, nigdy!

– A więc jeśli kiedykolwiek będziesz miała słabe dni, jak zaczniesz zbaczać z nowej, zdrowszej drogi życia, to wtedy wyjmiesz sobie dzisiejsze zdjęcie i powiesz: „Co to, to nie!”. To będzie dla ciebie najlepsza motywacja. Musisz mi uwierzyć.

Po raz kolejny zaufałam Penelopie. Bez słowa dałam się obfotografować i choć nie miałam zamiaru nawet rzucić okiem na efekty tej przykrew sesji zdjęciowej, odniosłam wrażenie, że zrobiłam coś ważnego.

4. Zasady

– Teraz możemy już przejść do szczegółów programu, czyli do omówienia, na czym będą polegały twoje zobowiązania. – Penelopa sięgnęła do szuflady swojego ogromnego biurka i wyjęła z niego różowy notes, na którego grzbiecie widniał napis: Mój nowy styl życia. – To dla ciebie, kalendarz w formie podręcznego planera.

– Dziękuję – odparłam, biorąc w dłonie prezent, roznoszący za sobą zapach lawendy.

– Jest specjalnie dostosowany do potrzeb programu. Otwórz na pierwszej zakładce. Tam znajduje się dziesięć zasad uczestników projektu. Niektórzy mówią o tym dekalog, a nawet cyrograf.

– Uśmiechnęła się. – Niech im tam będzie! Można go nazywać dowolnie, byle skutek był dobry!

Kiedy Penelopa opowiadała o korzyściach płynących z rzetelnego wypełniania planera, dokładnie przyjrzałam się mojemu nowemu towarzyszowi niedoli. Były tam miejsca do wpisywania pomiarów, uwag i dygresji dotyczących procesu oraz... pamiętnika. To ostatnie szczególnie mnie zaskoczyło. „Po co pisać pamiętnik? – zapytałam siebie. – Dziecinada...”.

– Po co pisać pamiętnik? – ponowiłam, tym razem na głos, przerywając Penelopie opowiadanie o jakimś Karolu, który prowadził pamiętnik, rysując.

– Nigdy nie prowadziłaś pamiętnika?

– Nigdy. To znaczy... jak byłam w podstawówce, to coś tam pisałam, ale to było dawno temu.

– Nieważne kiedy to było. Skoro prowadziłaś, to wiesz, na czym to polega. A pisanie pamiętnika w trakcie odchudzania jest dla większości zbawienne. Nie chodzi o pisanie elaboratów na kilka stron. Nie każdy potrzebuje długich wynurzeń, niektórym wystarczy zdanie, czasem nawet jeden wyraz. Zresztą sama zobaczysz – ucięła, uświadamiając mi jednocześnie, że chcąc nie chcąc, będę prowadzić dziennik. – Teraz wróćmy do zasad.

Spojrzałam na kartkę, na której wydrukowanych było dziesięć linijek tekstu. Pod każdą z nich znajdowało się miejsce na podpis. Uśmiechnęłam się do siebie, przypominając sobie słowa Penelopy, kiedy mówiła, że niektórzy uważają tę listę za cyrograf. Coś w tym było.

Zasady programu „Mój nowy styl życia”

Zasada nr 1

Kończę z objadaniem się, podjadaniem, kosztowaniem, czyli z jakąkolwiek formą spożywania posiłków, która ma miejsce po północy, przed snem, przed i po wszystkim, co wydarzy się po siódmej wieczorem.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 2

Jem posiłki o regularnych porach, a ostatni z nich na około trzy godziny przed snem, najpóźniej o siódmej wieczorem.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 3

Wszystkie posiłki przygotowuję zgodnie z wytycznymi specjalnie przygotowanej dla mnie diety.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 4

Ćwiczę regularnie, to znaczy co drugi dzień, przez minimum

czterdzieści minut.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 5

Mierzę się co dwa tygodnie.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 6

Co najmniej dwa razy w tygodniu przyglądam się sobie w lustrze.

NAGO.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 7

Po zakończeniu spotkań indywidualnych lub w ich trakcie dwa razy w tygodniu uczęszczam na terapię grupową.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 8

Informuję swoich znajomych o zmianie swojego stylu życia i spotykam się z nimi regularnie, to znaczy co najmniej raz w tygodniu.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 9

Spaceruję minimum raz w tygodniu przez godzinę.

Podpis *Katarzyna Laska*

Zasada nr 10

Odrzeczuję stare hobby lub znajduję sobie nowe.

Podpis *Katarzyna Laska*

– Przeczytaj pierwsze dwa punkty. To bardzo ważne zasady.

Byłam gotowa na takie zobowiązania. Nie wydawały się trudne ani specjalnie obciążające.

– Jest to dla ciebie absolutnie jasne?

– Tak. – Pokiwałam głową.

– Będę miała swoją dietę? – zapytałam, spoglądając na punkt numer trzy, który wywołał moje podekscytowanie.

– A jak inaczej? Jesteś teraz uczestniczką specjalnego programu, co oznacza także dietę.

– Zgoda! Ale fajnie!

– Skoro tak fajnie, to leć do punktu czwartego.

– Ćwiczyć regularnie, to znaczy co drugi dzień, przez minimum

czterdzieści minut. Nie cierpię ćwiczeń... – stęknęłam.

– Wiem – odparła szybko, jakby to przewidywała. – Ale bez ćwiczeń nie ma programu.

– A mogę ćwiczyć w domu? – zapytałam w nadziei na uzyskanie zgody na dalsze ukrywanie się w czterech ścianach.

– Jeden trening możesz zrobić w domu, ale pozostałe zrealizujesz na specjalnych zajęciach. Znajdziemy taką grupę, której harmonogram będzie ci w pełni pasował.

Nienawidziłam siebie w sportowych ciuchach, które bezlitośnie obnażały wszystkie moje niedoskonałości. Nawet w tych luźniejszych ubraniach wyglądałam źle, bo choć nie eksponowały każdej z fałd tłuszczu, to gabarytowo jeszcze mnie powiększały.

– Słuchaj, to raptem trzy treningi w tygodniu. To nie jest wcale dużo i uwierz mi, że z czasem polubisz ćwiczenia, bo zobaczysz, jakie efekty dzięki nim osiągniesz.

Penelopa wyciągnęła z szuflady gruby album ze zdjęciami.

– Tylko spójrz na to.

Wskazała na dwa zdjęcia, przyklejone obok siebie. Na jednym z nich widniał otyły mężczyzna. Jego ubiór stanowiły zaledwie czerwone bermudy, więc wszystkie niedoskonałości ciała były łatwe do zauważenia. Gdy przeniosłam wzrok na sąsiednie zdjęcie, nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam, gdyż uwieczniony został na nim szczupły, radosny facet, którego twarz rażąco przypominała poprzednika.

– To ten sam człowiek – dodała lekarka. – Ten sam, ale o pięćdziesiąt kilogramów lżejszy.

– O rety!

– Dokładnie! Zaczynał od stu trzydziestu kilogramów, nie cierpiał ćwiczeń, a jedzenie stanowiło jego największe hobby. Nie było łatwo i trwało to grubo ponad dwa lata, ale dzisiaj, pięć lat później, ten mężczyzna... – Wycelowała palcem w zdjęcie po metamorfozie.

– ...Piotr jest odmienionym człowiekiem i dzieli się doświadczeniami z tymi, którzy dopiero zaczynają swoją drogę. Jest po prostu kapitalny! Jest jednym z lepszych terapeutów grupowych. – Uśmiechnęła się. – Jest wspaniałym przykładem na to, że ćwiczenia, dieta i odpowiednie

przygotowanie mentalne mogą dać piorunujące i, co najważniejsze, trwałe efekty.

Słuchałam wywodów Penelopy, ale nie bardzo potrafiłam odnieść sukces tego mężczyzny do siebie. Nie czułam w sobie aż takiej siły i determinacji, które mogłyby mi pomóc w podjęciu walki.

– Hej, Kaśka! Popatrz na niego jeszcze raz i powiedz mi, czego chcesz. – Westchnęłam głośno i przeciągle. – To nie jest takie trudne – dodała.

„Jak to nie jest?!”

– Halo! – napierała dalej Penelopa.

– Dla mnie wszystko jest trudne. Nie rozumiesz... Jemu może się udało, temu facetowi, ale ja jestem inna. Mnie nigdy nic się nie udaje... Nic...

Poczułam, jak narasta we mnie złość i frustracja, jak zaciska mi się gardło, a w oczach wzbierają łzy.

– Mówisz o odchudzaniu?

– Mówię o wszystkim! O odchudzaniu, o rodzinie, o chłopaku, o koleżankach... Jedyna rzecz, jaka mi się udała, to przyjaźń. Mam przyjaciółkę, mam jedną cholernie cudowną przyjaciółkę, która kumpluje się ze mną tylko dlatego, że jest tak samo pochrzaniona, jak ja!

– Kaśka, hej! Wracaj do tu i teraz, okej?

Nabrałam powietrza w płuca i zamknęłam oczy. Nie wiedzieć dlaczego, w myślach pojawiła się postać mojej apodyktycznej ciotki Matyldy, podającej mi talerz pełen ociekających tłuszczem żeberek. Ukryłam twarz w dłoniach.

– Kasiu? – usłyszałam ciepły głos Penelopy, a po chwili poczułam delikatny uścisk na ramieniu.

Spojrzałam na lekarzkę.

– Pomogę ci, nie obawiaj się.

Jej słowa, wyrażające serdeczność i wsparcie, sprawiły, że totalnie się rozkleiłam i zaczęłam chlipać jak małe dziecko. Tak jak przez większość mojego życia, w tym momencie również czułam się bezradna, ale jednak nie sama. Nie sama! Dzieliłam swoją bezsilność z kimś, kto rozumiał moje położenie, nie wyśmiewał mnie, nie krytykował, z kimś, kto zdawał sobie sprawę z tego, przez co przechodziłam, przez co będę

przechodzić, z kimś... z Penelopą.

– Dzięki – powiedziałam, kiedy nieco się uspokoiłam. – Zrobię wszystko, co mi zalecisz. Chcę się zmienić!

Terapeutka uśmiechnęła się szeroko, poklepała mnie po dłoni i z satysfakcją przytknęła oczy.

– Doskonale! Wobec tego... – Podsunęła mi na nowo dzienniczek.
– ...leć do zasady numer pięć.

Spojrzałam na nią, trochę zaskoczona taką nagłą zmianą tematu. Byłam przekonana, że za chwilę zacznę zadawać mi pytania, aby dążyć dalej kwestię mojego nastawienia do ćwiczeń fizycznych, ale myliłam się, a ta pomyłka była mi w tamtym momencie jak najbardziej na rękę.

– Mierzę się co dwa tygodnie.

– Nie częściej i nie rzadziej, rozumiesz? Każdorazowo pomiary zapisujesz w dzienniczku. – Otworzyła na niebieskiej części, w której znajdowały się same tabelki. – Co dwa tygodnie pełen zapis. To ważne.

Pokiwałam głową, wczytując się w wyjaśnienia nad poszczególnymi kolumnami.

– No to teraz zasada numer sześć.

– Co najmniej dwa razy w tygodniu przyglądam się sobie w lustrze. NAGO – wyrecytowałam, unosząc brwi po odczytaniu ostatniego słowa. – Nago?

– Tak. To bardzo ważne, abyś znała swoje ciało.

– Ale ja znam swoje ciało!

– A jak często na nie patrzysz?

– Wcale nie patrzę, bo wiem, jak wygląda.

– Skoro nie patrzysz, to skąd wiesz, jak wygląda? – zapytała, odbierając mi argumenty. Odczekała chwilę, po czym ciągnęła dalej:
– Świadomość ciała jest bardzo ważna. Nigdy nie będziesz ze sobą w zgodzie, nie znając go i nie zauważając zmian, jakie w nim zachodzą w trakcie odchudzania. Przyrzeknij, że będziesz na siebie patrzyła!

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Nie chciałabym ci narzucać konieczności robienia sobie zdjęć i przesyłania mi każdego...

– Przyrzekam – weszłam jej w słowo w obawie, że rzeczywiście mogłaby zmusić mnie do kolejnych sesji w negliżu. Wydawało mi się to

dużo gorszym rozwiązaniem.

– Pamiętaj, że potrafię to sprawdzić. – Zaczęła się śmiać. – I nie zawaham się tego zrobić!

– Będę się oglądała – dodałam, chyba bardziej z przerażenia niż z przekonania, ale Penelopie to wystarczyło.

– Zasada numer siedem mówi o tym, że po naszych sesjach indywidualnych zaczniesz chodzić na zajęcia grupowe. Jakies pytania co do tego?

– Żadnych – odparłam nieszczercze, bo tak naprawdę napawało mnie to panicznym wręcz strachem.

– Postaram się przypisać cię do grupy, w której prowadzę sesje, co ty na to?

– Byłoby super! – powiedziałam z nieskrywaną radością.

– Zobaczę, co da się zrobić. A ty rzuć okiem na to, co możesz zrobić z zasadą numer osiem.

Przeczytałam ją po cichu.

– Odczytaj ją na głos.

– Informuję znajomych o zmianie swojego stylu życia i spotykam się z nimi regularnie, to znaczy co najmniej raz w tygodniu.

– I...?

– Nie mam znajomych – odparłam.

– W ogóle?

– No, nie tak w ogóle, bo mam Zochę, swoją przyjaciółkę. Jej na pewno o wszystkim opowiem, widujemy się w szkole oraz spotykam się niemal każdego popołudnia.

– A poza nią?

– Poza Zochą? Nie mam innych znajomych. Tylko ona.

– Hmm... Na razie to zostawmy, ale chciałabym, abyś przemyślała ten temat, dobrze?

Nie bardzo było nad czym myśleć, bo rzeczywiście miałam tylko Zochę, nikogo poza nią, ale przytaknęłam.

– To teraz zasada dziewiąta.

– Spaceruję minimum raz w tygodniu przez godzinę. Hmm...

To w sumie nie problem. Lubię chodzić.

– A chodzisz?

– Trochę – odparłam niepewnie.
– Co to znaczy „trochę”?
– To znaczy, że do szkoły chodzę na piechotę.
– A ile ci to zajmuje czasu?
– Dziesięć minut w każdą stronę.
– A czy możesz zrobić tak, żeby spacer trwał równą godzinę?
– Myślę, że tak.
– Myślisz?
– Jestem pewna, że tak. Obok mojego domu są fajne ścieżki do spacerowania. To będzie łatwe.
– To dobrze. Pamiętaj, że każdy spacer musisz zapisać w dzienniczku, w dziewiątej zakładce, tej szarej. – Wskazała na stosowną część kalendarza, po czym odwróciła na ostatnią, różową zakładkę i przeczytała: – Zasada numer dziesięć. Odgrzebujesz stare hobby lub znajdujesz sobie nowe. Co ty na to?
– Nigdy chyba nie miałam prawdziwego hobby.
– Dlaczego tak uważasz?
– Bo zawsze mówiono mi, że oglądanie filmów, słuchanie muzyki filmowej i czytanie książek to takie nieprawdziwe hobby.
– Nieprawdziwe?
– Prawdziwe oznacza kolekcjonowanie.
– Kto tak mówi?
– Mój ojciec... moja ciotka, ciotka Matyllda.
Penelopa delikatnie potarła końcówkę szczupłego nosa i przeczesała sobie włosy palcami.
– A ty jak uważasz? – zapytała.
– Ja?
– No ty, nie ma tu przecież nikogo więcej.
– Nie wiem.
– Hmm... – Penelopa spojrzała na mnie wnikliwie, a widząc moje lekkie zmieszanie, dodała: – Masz prawo do własnego zdania. Popatrzyłam na nią, okazując totalny brak zrozumienia.
– Kaśka, słuchaj, jestem tu po to, żeby ci pomóc. Tylko kompleksowe działania przyniosą spodziewane efekty, a odwrócenie uwagi od jedzenia i skierowanie jej na hobby jest bardzo wskazane.

– Yhm...

– Czy to jęknienie oznacza, że rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak.

– No to jak będzie z tym hobby? – spytała i uśmiechnęła się.

– Pomyślę – odparłam, marząc o tym, aby skończyła mnie już męczyć.

– To nie wystarczy, potrzebuję konkretów. Jakiemu hobby chcesz poświęcić, no, powiedzmy, godzinę w tygodniu?

Nastała cisza. Penelopa cierpliwie wyczekiwała mojej odpowiedzi, a ja aż się gotowałam w środku, mając totalną pustkę w głowie. W końcu nie wytrzymałam i palnęłam:

– Czytaniu.

Penelopa uniosła brwi.

– Czytanie to twoje aktualne hobby. Do procesu potrzebujemy czegoś nowego lub odgrzebanego i najlepiej absorbującego ręce.

Nabrałam powietrze w płuca i głośno je wypuściłam.

– Ale ja nie potrafię niczego wymyślić. Wolałabym zostać przy czytaniu. Ono w sumie absorbuje ręce.

– Dobra. Na razie niech zostanie czytanie, a z czasem zobaczymy. Jesteś w stanie czytać przynajmniej przez godzinę w ciągu tygodnia?

– Jasne! Czytam dużo dłużej.

– Mnie jest potrzebna minimum godzina.

– Pasuje – odparłam, ciesząc się, że choć jeden z punktów „cyrografu” był dla mnie banalnie prosty i nie wymagał żadnych poświęceń.

Spojrzałam na listę zasad i uśmiechnęłam się.

– Akceptujesz wszystkie?

– Raczej tak. – Lekarka obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

– Tak, zgadzam się!

– W takim razie podpisz każdą z zasad.

Wzięłam do ręki elegancki lawendowy długopis ze srebrnym grawerem i wykaligrafowałam swoje imię i nazwisko równo dziesięć razy. Kiedy to zrobiłam, poczułam przyjemny dreszcz przebiegający przez moje ciało i odniosłam przemożne wrażenie, że właśnie otworzyłam całkiem nowy rozdział swojego życia.

5. Początek końca

Przed rozpoczęciem terapii grupowej, której obawiałam się tak bardzo, że na samą myśl o niej zasychało mi w gardle, musiałam odbyć minimum pięć sesji z Penelopą. Miało mi to pomóc wdrożyć się w cały proces odchudzania i sprawić, że łatwiej nabiorę nowych, zdrowszych nawyków. W czasie tych rozmów jakoś tak wychodziło, że niczego nie byłam w stanie ukryć przed moją terapeutką. Okazywała nadzwyczajną empatię, była sympatyczna i ciepła, ale przyciskała mnie tak skutecznie, że nie potrafiłam powiedzieć jej niczego innego poza prawdą. To było bardzo trudne i często bolało jak cholera... Dręczące pytania Penelopy... Po co? Co to zmieni? Do czego cię to przybliży...? Psiakrew! Nie raz ścisnęło mi się gardło tak skutecznie, że nie dawałam rady wypuścić z siebie ani słowa. Za to łzy wypuszczałam w nadmiarze. Penelopa wyciągała wtedy chusteczki i widząc moje skrępowanie, powtarzała:

„To żaden wstyd! Wyrzuć to z siebie!”.

Początkowo wizyty u lekarki stanowiły dla mnie najtrudniejszy element terapii. Nigdy wcześniej nikt nie prowokował mnie do werbalizowania swoich uczuć, do nazywania tego, co chowałam gdzieś głęboko w sobie. Ona to potrafiła. Nachylała się i motywując mnie ciepłym spojrzeniem, spokojnie zadawała pytanie za pytaniem. Z czasem polubiłam te rozmowy, a w pewnym momencie poczułam wręcz, że nie mogę doczekać się chwili, kiedy znowu usiądę naprzeciwko czarnowłosej wybawicielki i zanurzę się w głębi swoich przemyśleń.

Nie tak gładko, jak z rozmowami, szło mi z trzymaniem się zasad. Najgorzej było z zasadą numer jeden, czyli powstrzymaniem się przed jedzeniem po godzinie siódmej. Trudno mi zliczyć, jak wiele razy łamałam zakaz i skradałam się do lodówki, żeby cokolwiek podjeść... Nocą, zawsze nocą, żeby nie było świadków i żeby nikt nie zdołał mnie powstrzymać. Zjadałam wtedy wszystko, co znalazło się w zasięgu mojej ręki. I byłam przy tym bardzo sprytna. Robiłam to tak, żeby nikt się nie poznał, żeby ani ojciec, ani matka nie dowiedzieli się o moim nocnym myszkowaniu. Mój szczytny plan polegał na tym, że jeśli znajdowałam szynkę, obkrawałam ją dookoła, zmniejszając nieznacznie jej objętość. To samo robiłam z żółtym serem i pasztetem. Wyjadałam płatki kukurydziane, szczególnie te słodzone. Pożerałam słodkie kakao, całkiem bezkarnie, bo nikt przecież nie kontrolował jego ilości. Zapychałam się chlebem, wyjadałam dżem i miód, upijałam nawet syrop malinowy i rozkoszowałam się jego lepłą konsystencją na podniebieniu. Gdy nie potrafiłam niczego znaleźć i byłam już totalnie zdesperowana, pochłaniałam cukier. Potrafiłam w takim amoku zjeść całą szklanę cukru. Szklanę! Potem miałam mdłości, nie mówiąc o wyrzutach sumienia i złości na samą siebie.

Nim poprosiłam matkę o wprawienie do drzwi kuchennych zamka i odebranie mi kieszonkowego, abym nie mogła kupić niczego na mieście, minęły pięć, a może i sześć dni od rozpoczęcia terapii. Potem jedyne, co mogłam robić, to zaciskać zęby i wściekle krążyć po pokoju. I robiłam to... często. Myślałam o jedzeniu, tylko o nim, i nie byłam w stanie zasnąć. Czasami krążyłam tak nawet przez godzinę, sapiąc i dysząc. Musiałam jakoś rozładować złość na samą siebie za chwilę

szczerości przed matką, która pozbawiła mnie nocnej rozkoszy jedzenia. W ten jednak sposób, chcąc nie chcąc, punkt pierwszy mojego dekalogu został spełniony i to w stu procentach.

Z punktem drugim, czyli jedzeniem o regularnych porach, poszło mi względnie łatwo, pewnie dlatego, że miałam osobistą, wyjątkową i jedyną w swoim rodzaju dietę. Chodziłam dumna jak paw z powodu posiadania spersonalizowanego jadłospisu i pomimo niechęci do niektórych potraw, a w szczególności do warzyw, nieobecnych dotychczas w menu mojego domu, nie grymasiłam i nie kombinowałam, tylko wcinałam.

O ile stosowanie diety było czymś nowym i ciekawym, to regularne ćwiczenia stanowiły nie lada wyzwanie, bo ja po prostu nienawidziłam wysiłku fizycznego! Z WF-u wymigiwałam się jak tylko mogłam. Matka zresztą często wypisywała mi zwolnienia, bo wmawiała jej jakieś dolegliwości kostne czy żołądkowe, którym bez trudu dawała wiarę. Nie cierpiałam przede wszystkim biegania. Siatkówka czy nawet koszykówka, w której zazwyczaj taranowałam przeciwniczki, były w miarę w porządku, ale bieganie... Nie cierpiałam go! Nim przebiegłam połowę okrążenia boiska, wszystkie dziewczyny były już daleko z przodu. Piekielnie bolało, kiedy ta chuda suka, Anka, odwracała się i wołała do mnie: „Locha, przyspiesz, bo ci koryto odjedzie”. Nawet nie miałam siły jej odpyskować, bo zasapana byłam jak astmatyk. A kiedy w końcu dobiegałam na metę, a raczej doczłapałam tam resztką sił, wytykając mnie palcami, pękały ze śmiechu. Razem z tymi swoimi plastikowymi blondynami naśladowała mnie, wyglądając raczej nie jak człowiek, a kukła, ciągnana za ręce i nogi w zupełnie przeciwnych kierunkach. To były takie momenty, w których chciałam raz na zawsze zniknąć. Marzyłam, aby ktoś mnie rozjechał, aby jakiś meteoryt na mnie spadł, cokolwiek. Pisane mi jednak było dalej ciągnąć to marne życie i przyjmować na barki kolejne upokorzenia. A o nie wcale nie było tak trudno, szczególnie jeśli chodziło o ćwiczenia gimnastyczne, których nie cierpiałam tak samo, jak biegania. Naszą nadgorliwą wuefistką była gimnastyczka sportowa z jakimiś medalami na koncie, która uwielbiała trenować z nami różne figury akrobatyczne. Wymyślała przerażające ćwiczenia: na koźle, na drabinkach i na

ławeczce, a do tego fikołki i gwiazdy. Chciałam, aby trafił ją szlag! Kiedyś, gdy robiłam, a raczej próbowałam robić, przewrót w tył, pękły mi w kroku spodnie. O mało nie spłonęłam ze wstydu, a reszta o mało nie skończyła się śmiechem. To było żenujące...

Wizja ćwiczeń wywoływała moją szczerą niechęć, ale Penelopa powiedziała, że nie mam wyjścia i muszę wybrać jakieś zajęcia sportowe. No to znalazłam grupę dla kogoś takiego jak ja, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zapisalam się na zajęcia dla tych, no... dla zawałowców. Jak dla mnie zawałowiec to ktoś, kto jedną nogą powinien być już na tamtym świecie, więc miałam przekonanie, że dam radę. Zadowolona z siebie żwawo wkroczyłam na salę. Po dziesięciu minutach okazało się, że niewiele wiem o zawałowcach, a tym bardziej o ich kondycji fizycznej. Co więcej, to ja czułam się tak, jakbym za chwilę miała dostać zawału. Byłam czerwona jak pomidor, zresztą czułam się też jak pomidor, i to taki, który dopiero co znalazł się w ketchupie. Wytrzymałam dwadzieścia minut i zachowując się o dziesięć poziomów gorzej od zawałowców, którzy wpatrywali się z niepokojem w moją zziąjaną i godną pożałowania postać, niemal na czworakach opuściłam salę. Pamiętam ich poklepywania i prośby, żebym przyszła na następny trening, ale byłam pewna, że robili to tylko z litości dla zasapanej słonicy. Byłam tak zawstydzona, że już nigdy nie wróciłam do tej, niby najłatwiejszej, grupy.

Penelopa pomogła mi jednak i tym razem. Naginając jakieś terapeutyczne przepisy, wcisnęła mnie na listę jednej z grup dla odchudzających się. Choć bałam się, że znowu nie podołam, zjawiłam się na zajęciach. Nie miałam wyjścia. O dziwo, nie skończyłam po dwudziestu minutach, a co więcej, dotrwałam do końca! Nie wiedziałam, co mi w tym pomogło. Może moja matka, która tkwiła pod drzwiami, niczym koło ratunkowe, może Penelopa, która wierzyła, że mi się uda, a może grupa, która przyjęła mnie z niekłamana radością? A może wszystko razem? Może... To w sumie nie miało znaczenia, bo najważniejsze było to, że dałam radę, że było... dobrze. Może nie doskonale, ale dobrze! Wytrzymałam całe zajęcia i, co więcej, nie czułam się tak tragicznie. Dyszałam i byłam złana potem, a moja czerwona koszulka zrównała się z kolorem mojej twarzy, ale wyszłam

o własnych siłach, zachowując zdolność logicznego myślenia. Nie powiem, abym darzyła ćwiczenia jakimś szczególnie pozytywnym uczuciem, ale od tej pory weszły na stałe do mojego grafiku.

Regularne pomiary i oglądanie siebie nagiej w lustrze pozornie może nie stanowiły problemu, bo nie musiałam przechodzić żadnej zmiany, nie musiałam nawet nigdzie wychodzić, ale jednak... coś musiałam. Musiałam mieć odwagę spojrzeć na siebie, na swoje znienawidzone ciało. Na początku przygnębiała mnie już sama myśl o wyglądzie mojego ciała. Te wszystkie fałdy, obwisłości, cellulit, rozstępy... Robiło mi się słabo. Kiedy wytrzymałam jednak pierwszy raz, a potem drugi i trzeci, czwarty przebrnęłam dużo łatwiej. „Gorzej być nie może – pocieszałam się. – Jesteś na samym dnie. Odbij się i będzie lepiej!”.

Kiedy po raz pierwszy uśmiechnęłam się do nagiej Kaśki, zaczęłam się chichrać, jakby ktoś sprawdzał, czy mam łaskotki. Pamiętam ten dzień. To był 21 listopada 2013 roku, początek końca ery grubej Kaśki.

6. Vinci Tower

– Udało mi się zdobyć dla ciebie bezpłatne miejsce w prestiżowym programie Szkoły Latania! Od następnego tygodnia zaczniesz sesje grupowe – powiedziała na koniec piątkowego spotkania Penelopa.

– Szkoła Latania?

– Całkiem trafna nazwa, prawda?

– Czy ja wiem...?

– Przestań, Kaśka! Nazwa jest super, program jest super, wszystko będzie super. Poznasz nowych ludzi i sama się przekonasz.

– Jezu... – stęknęłam.

– O co chodzi?

– Boję się...

– Nie przesadzaj! Polubisz to. Jeszcze zobaczysz.

– Ale ja wolałabym tylko z tobą...

– Teraz tak mówisz. Jak zaczniesz spotykać się z ludźmi z grupy, nie będziesz chciała widywać się ze mną na solówkach.

Penelopa zaśmiała się, skłaniając mnie do odwzajemnienia radosnej miny. Ja jednak wolałabym przekląć, i to siarczyście. Po prostu bałam się jak diabli tego, co spotka mnie ze strony ludzi, których w ogóle nie znałam. Wiele razy wyobrażałam sobie ich zacięte twarze, taksujące moje ciało spojrzenia i dociekliwe pytania typu: „Od kiedy jesteś otyła?” czy „Dlaczego jesteś otyła?”. Na samą myśl o tym serce podchodziło mi do gardła.

– Nie najlepiej radzę sobie w kontaktach z innymi – wycedziłam.

– Tam będzie zupełnie inaczej, zobaczysz. Ci ludzie są fantastyczni. Nikt cię nie będzie oceniał czy krytykował.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.
– No to spróbuj, bo tak właśnie będzie! Widzimy się w poniedziałek.

– Aha.

– Kaśka, trochę więcej entuzjazmu! Ci ludzie przychodzą na spotkania przede wszystkim dlatego, że chcą schudnąć, tak samo, jak ty!

Ostatnie słowa lekarki uświadomiły mi, czego tak naprawdę się bałam. Oceniania się bałam, oceniania z ust osób, które o problemach z nadprogramowymi kilogramami słyszały tylko z telewizji. Ale przecież Penelopa wyraźnie powiedziała, że w tej grupie byli tylko tacy jak ja, więc... więc może rzeczywiście nie będzie źle?

* * *

Gdy w poniedziałek stanęłam przed tonącym w szkle futurystycznym budynkiem Vinci Tower, nie mogłam uwierzyć, jaki był wielki.

– O, cholera! – wykrztusiłam, mocno zadzierając głowę.

Nigdy nie miałam okazji tu zajść, choć wieżowiec górował nad miastem już od ponad pięciu lat. Jakoś nie było mi po drodze, a poza tym takie nowoczesne, strzeliste budowle działały na mnie odpychająco. Wyobrażałam sobie, że po jego korytarzach przechadzają się wypacykowane kobiety w niebotycznie wysokich szpilkach i kostiumach opinających ich przychude ciała oraz faceci tak przystojni, że bałabym się nawet na nich spojrzeć.

Kiedy znalazłyśmy się w środku, poczułam się jednak wspaniale, tak jakby ktoś w końcu dopuścił mnie do tortu bezowego, którego bardzo pożałowałam. Stałam jak wryta, przyglądając się niekończącej się płataninie schodów, marmurowych filarów i szklanych ścian, z których kaskadowo spływały strugi wody.

– Robi wrażenie – powiedziała matka, która z rozchyłonymi ustami, jak ja, wgapiała się w ociekające luksusem wnętrze.

Trwałyśmy tak dobrą chwilę, skutecznie tarasując wejście. Jakoś nie wpadłyśmy na to, aby się gdziekolwiek przesunąć.

– W czym mogę pomóc? – zapytał nagle elegancki mężczyzna, ubrany w biały garnitur, wykończony błękitną lamówką.

Miał nieskazitelnie białą koszulę, krawat w biało-błękitną szachownicę i starannie wypolerowane białe buty. Szczyt eleganckiej ekstrawagancji. W życiu nie widziałam tak niezwykle ubranego mężczyzny. Moja matka najwyraźniej też nie, bo żadna z nas nie wydusiła z siebie ani słowa.

– Jeżeli zechciałyby się panie nieco przesunąć, udroźniłoby to przejście – zakomunikował nad wyraz uprzejmie, a my natychmiast podążyłyśmy we wskazane przez niego miejsce. – Proszę powiedzieć, dokąd panie zamierzacie się udać.

– Szkoła Latania – wydukałam w końcu.

– Czy znają panie numer pokoju? Lub nazwisko osoby podejmującej?

– Penelopa Hoppe. Jestem umówiona – odparłam już nieco spokojniej.

– Doskonale. Zapraszam w takim razie do kontuaru w celu odebrania identyfikatorów – rzekł bardzo usłużnie i wskazał ręką długą, półokrągłą ladę, zza której uśmiechały się do nas dwie eleganckie blondynki w białych kostiumach, wykończonych, podobnie jak u mężczyzny, błękitną lamówką.

Ruszyłyśmy za naszym przewodnikiem i jego odurzającym zapachem, wtapiając się w niezwykłą architekturę budynku.

– Pani...?

– Katarzyna Laska.

– Zgadza się, mam takie zgłoszenie. Momencik.

Śledziłam jego wprawne ruchy, podziwiając przy tym niebagatelną urodę. Był taki... idealny. Gdy spostrzegłam identyfikator z jego imieniem i nazwiskiem, jęknęłam. „Kto tak się dzisiaj nazywa? Leonard Lew... Pasuje do jakiegoś eleganckiego dziadka z inkrustowaną laską i... do mężczyzny podobnego do Leonardo DiCaprio! W sumie ten Leonard też szalowo wygląda” – pomyślałam i przyjrzałam się uważniej jego starannie zaczesanym włosom, subtelnym bokobrodom i ostro zarysowanym kościom policzkowym. Leonard Lew był bez wątpienia boski!

– Mam również informację o jednej osobie towarzyszącej – oświadczył, przerywając moją penetrację wzrokową. – Pani nazywa

się...?

– Małgorzata Laska.

– Doskonale – odparł uprzejmie.

Wyjął karty magnetyczne i zaczął objaśniać, jak ich używać.

– Proszę tę kartę przyłożyć do czytnika, wówczas drzwi się otworzą. W przeciwnym wypadku nie dostaniecie się panie na dwudzieste drugie piętro. Uprzedzam również, że karty są zaprogramowane tylko na Szkołę Latania i windy, innych pomieszczeń panie nie otworzą.

– Rozumiem – odparłam i zawiesiłam sobie identyfikator na szyi.

– Mamo, twój.

Mężczyzna odprowadził nas do windy, a raczej do korytarza, w którym znajdował się rząd wind o drzwiach z luster. Byłam pod wrażeniem do momentu, w którym w jednej z tafli nieopatrznie zobaczyłam swoją wielką, zwalistą sylwetkę w przyciasnych ciuchach, zupełnie niepasującą do tego „wysmukłonego” otoczenia. Na mojej twarzy pojawił się grymas zażenowania.

– Coś nie tak? – zapytał natychmiast mężczyzna, okazując szczerze zainteresowanie.

– Nie, wszystko gra – odpowiedziałam, sztucznym uśmiechem gasząc jego zatroskanie.

– Już sobie poradzimy – dodała moja matka. – Dziękujemy za pomoc.

– Miłego dnia – odparł mężczyzna i żwawym krokiem oddalił się w kierunku przestronnego holu, polując na kolejne zbłąkane owieczki.

– Co to za miejsce... – stęknęłam.

– Niesamowite, prawda?

– Mało powiedziane! Ten budynek jest jak z wypasionego filmu o multimilionerach.

– Trudno uwierzyć, że to tutaj odbywają się twoje sesje.

– No właśnie – odparłam.

– Bogaczom przewraca się w głowach.

– Daj spokój, mamo. To chyba dobrze, że mając dużo kasy, myślą o innych i robią takie programy. Przecież nigdy nie miałabym szans na coś takiego.

– Tak, tak, Kasieńko, masz rację.

Gdy weszliśmy do windy, nasze uszy zaczął pieścić elektryzujący głos Andrei Bocellego. Śpiewał, że czas się pożegnać, ale jak dla mnie bardziej na miejscu byłyby słowa, że czas się przywitać, przywitać z czymś całkowicie nowym.

Na dwudziestym drugim piętrze srebrne litery skierowały nas w prawo, gdzie odnalazliśmy magnetyczne drzwi z dużym napisem:
UŚMIECHNIJ SIĘ!

JESTEŚ W SZKOLE LATANIA!

– Ale milutkie – rzekła matka, klaszcząc w dłonie.

Ja jednak byłam na razie zbyt przestraszona, aby tryskać entuzjazmem. Zamiast tego zbliżyłam kartę do czytnika, sprawiając, że drzwi błyskawicznie rozsunęły się, zapraszając nas do pustego, przestronnego korytarza, tonącego w ciepłym świetle popołudnia.

– Wow! – westchnęłam, patrząc na białe skórzane siedziska ustawione frontem do olbrzymich witryn okiennych, przez które można było oglądać dachy budynków, rozsianych w południowo-zachodniej części miasta.

Z podsufitowych głośników rozbrzmiewał ledwie słyszalny głos Franka Sinatry, który akurat w tamtym momencie wynosił na piedestał Nowy Jork. Spojrzałam na ujmujący widok za oknem i pomyślałam, że taka piosenka w takim miejscu nie mogła być zwykłym przypadkiem. Poczułam się jakoś tak... nadzwyczajnie.

– Rety! – westchnęła moja matka, wyrywając mnie z zadumy.

Stałyśmy tak jeszcze dobrą chwilę. Ocknęłyśmy się, gdy z sal, znajdujących się za naszymi plecami, wyszła spora grupka młodzieży, skutecznie zagłuszając muzykę, a nawet nasze własne myśli.

– Pokój numer pięćdziesiąt sześć, tak? – zapytała matka.

– Aha – odparłam, zerkając jednocześnie na drzwi, wykonane z mlecznego szkła, na których widniał numer pięćdziesiąt jeden.

– To gdzieś dalej.

Przemierzając korytarz, nie mogliśmy nie zauważyć tablic z białego korka, na których grafitowymi literami wypisane były hasła

motywacyjne, w stylu:

Na pewno Ci się uda!

Dziś jest dobry dzień, aby zacząć!

Uwierz w siebie!

Gdzie będziesz, jeśli nie zrobisz tego kroku już teraz!

Pod nimi umieszczone były różnokolorowe kartki, zapisane przez uczestników poszczególnych grup terapeutycznych. Opisywały one ich walkę z trudnościami, ich wątpliwości i sukcesy, ich nadzieje i porażki. Nie mogłam się od nich oderwać, bo w wielu odnajdywałam siebie, a przede wszystkim opis swoich kryzysów i załamania. W moim przypadku o sukcesach nie mogło być przecież jeszcze mowy.

– Nieźle pomyślane – powiedziała matka, przyglądając się odręcznie zapisanym notatkom.

– To jest super! Nigdy czegoś takiego nie widziałam!

– Poczytasz kiedy indziej, teraz już chodź!

Gdy w końcu dotarliśmy pod salę numer pięćdziesiąt sześć, okazało się, że była ostatnią w tej części korytarza.

– Nikogo nie ma – odparłam, trochę z zaskoczeniem, a trochę z nadzieją.

– Na pewno wszyscy są w środku. Wejź tam – poprosiła matka, ale ja pokręciłam głową. – No, idź, przecież wiesz, że tak trzeba.

– Wiem, ale zaczekam na Penelopę.

– A jeśli ona jest w środku i zacznie bez ciebie?

W ogóle nie wzięłam tego pod uwagę. Ubzdurałam sobie, że Penelopa po prostu się zjawi i zabierze mnie na to spotkanie, dodając mi otuchy.

– Może nie jest to łatwe, ale musisz spróbować.

– Sprawdź, czy jest tam Penelopa, proszę. Jak będzie, to wejść, a bez niej nie idę.

Matka obrzuciła mnie tym swoim dobrotliwym spojrzeniem, uśmiechnęła się i przyłożyła kartę do czytnika. Drzwi posłusznie

rozsunęły się, a ona, skręcając w lewo, zniknęła wewnątrz.

– Penelopy jeszcze nie ma – poinformowała mnie, wróciwszy po krótkiej chwili z dziwnie pogodnym uśmiechem na twarzy. – Ale za to jest tam grupa niesamowicie sympatycznych ludzi. Sami młodzi. Przywitali mnie ciepło, choć od razu zasugerowali, że pomyliłam salę, bo tam nie ma zajęć dla anorektyków. Uśmiełam się, mówię ci – szczebiotała.

Dawno nie widziałam jej tak radosnej. W sumie to chyba... nigdy jej takiej nie widziałam.

– Powinnaś tam wejść i sama się przekonać, jacy są mili.

– Wejdę z Penelopą – upierałam się jak małolata z podstawówki.

– No dobrze, poczekajmy w takim razie na nią.

W głębi duszy wiedziałam, że powinnam być już w środku, że powinnam zająć jakieś miejsce, ale nie miałam na tyle odwagi, żeby spojrzeć innym członkom grupy w twarz, żeby przywitać się z nimi i powiedzieć zwykłe, najzwyklejsze: „Cześć, nazywam się Kaśka, mam osiemnaście lat, jestem anonimową grubaską”. Brrr... Czułam, że bez Penelopy nie dam rady, jej obecność była mi po prostu niezbędna.

Czekając na swoją zbawicielkę, sprawdzałam wytrzymałość moich palców, wyginając je do granic bólu. Matka cały czas stała tuż obok, poklepując mnie po ramieniu i obrzucając tym swoim pocieszycielskim spojrzeniem, ale w tamtej chwili nie działało to na mnie najlepiej.

– Dasz sobie radę. Oni są naprawdę w porządku, zobaczysz. Pamiętasz, jak Penelopa mówiła, że te spotkania są bardzo ważne?

Kiwnęłam głową, bo żadne słowo nie chciało mi przejść przez zaciśnięte gardło. „Przecież ja nie dam sobie rady... – rozmyślałam.

– Już teraz nie mogę żadnego słowa z siebie wydusić, a co dopiero potem... Cholera... Nie chcę, nie chcę, nie chcę! I gdzie jest Penelopa?”.

Jak na zawołanie pojawiła się jedyna kobieta, do której w sprawach odchudzania miałam bezgraniczne zaufanie. Z jednej strony poczułam niesamowitą ulgę, bo chyba nie dałabym rady wejść do tej piekielnej sali, gdybym nie miała pewności, że będzie tam właśnie ona. Z drugiej strony mój strach jeszcze się nasilił, bo wiedziałam, że za chwilę się zacznie, że za chwilę zostanę wciągnięta do środka, a drzwi bezlitośnie zamkną mi drogę odwrotu.

– Jest Penelopa – powiedziała moja matka i złapawszy mnie za dłoń, mocno ją ścisnęła.

– Tak, widzę – odparłam, koncentrując wzrok na oszłamiającej, lekko rozkloszowanej, szmaragdowej sukience mojej wybawicielki.

– A ty, Kaśka, nie w środku? – zapytała na dzień dobry. – No, już, idziemy, idziemy! Nie ma czasu. Wszyscy na pewno już są.

Nie dając mi wypowiedzieć nawet słowa, nie zostawiając miejsca na jakikolwiek manewr obronny, delikatnie pchnęła mnie do wnętrza, rzucając jeszcze na odchodnym w stronę matki zdawkowe:

„Za godzinę.”

„Jezu... godzinę...” – struchlałam. Serce zaczęło torpedować moją klatkę piersiową, jakby rozpoczynało jakiś ostrzał w trakcie próby zdobycia przyczółku wroga. Choć przemknęło mi przez myśl, aby się wycofać, nie miałam już na to szansy, bo stałam twarzą w twarz z dwunastką wpatrujących się we mnie członków grupy terapeutycznej.

„O... MÓJ... BOŻE!”

– Słuchajcie! – zaczęła Penelopa. – Na dzisiejszej sesji dołączy do nas Kaśka, początkująca anonimowa. Bądźcie dla niej mili. – Penelopa uśmiechnęła się. – Żadnych głupot, Karol! – powiedziała do wysokiego chłopaka o krótkich, rudych włosach, który cicho rechotał. – Ani żadnego podpuszczania, Lenny – ostrzegła sąsiada Karola, wyróżniającego się śniadą karnacją i długimi dreadami. – Po prostu zachowujcie się. Jak mi ją zbałamucicie, zniechęcicie czy zepsujecie, będziecie kontynuować terapię z doktorem Szczudło, rozumiemy się?

– Nie strasz nas! – wypalił natychmiast Karol, szczerze przejęty deklaracją Penelopy. Wyglądało na to, że miał już do czynienia z terapeutą o nazwisku Szczudło i chyba nie za bardzo go lubił.

– Ależ, Karolu, ja nie straszę. Ja tylko informuję – odparła łagodnie Penelopa, puszczając do mnie oko.

Zapanowała cisza. Wszyscy siedzieli na krzesłach, przyglądając mi się badawczo. Gdy pośpiesznie omiotłam salę wzrokiem, nie zauważyłam jednak ani jednej osoby, która patrzyłaby na mnie bykiem. Najwyraźniej oni wszyscy byli mnie po prostu ciekawi, byli ciekawi mojej historii, opowieści o tym, z jakiego powodu się tu znalazłam i kim tak w ogóle byłam. Ale co ja mogłam im powiedzieć? No w sumie nic

ciekawego, bo moja historia wydawała się i nudna, i przerażająco krótka. Myśl, że mogłabym zawieść ich oczekiwania, sprawiła, że przeraziłam się nie na żarty.

– Powiedz coś o sobie – poprosiła po chwili Penelopa.

Odchrząknęłam i czując, jak drży całe moje ciało, zaczęłam:

– Nazywam się Kaśka...

– Bravo! – przerwał mi Karol. – Masz boskie imię!

– Karol, daj jej skończyć! – upomniała go lekarka.

– Ale co ja poradzę, że to prawda!

Penelopa spojrzała na niego groźnie.

– Kontynuuj – rzekła w moją stronę.

– Mam osiemnaście lat, jestem w klasie maturalnej. – Wycisnęłam z siebie najszybciej, jak potrafiłam, w każdym razie odniosłam wrażenie, że bełkot, który ze mnie wypłynął, stanowił zlepek nierozpoznawalnych głosek.

– Gdzie idziesz na studia? – wystrześlił Karol.

– Jeszcze nie wiem – odparłam, zgodnie z prawdą.

– Wybierz dziennikarstwo! Pomogę ci!

– Karol! – Penelopa znowu zainterweniowała, dając znać, że jest poirytowana.

– Ale co? Nie można już nic powiedzieć?

– Można, i owszem, na przykład można zadać pytanie.

Ty natomiast jak zawsze udzielasz rad.

– W takim razie mam pytanie.

– Coś na temat?

– Bardzo na temat. – Penelopa przyzwalająco kiwnęła głową.

– Dlaczego zdecydowałaś się na terapię?

– Bo chcę schudnąć.

– Samo schudnięcie to nie powód – ciągnął, a ja nie bardzo rozumiałam, do czego zmierzał. – No, wiesz, przychodzi się na terapię, bo chce się kupić nowe ciuchy, bo zdrowie szwankuje albo po to, aby zdobyć chłopaka... Jeśli chodzi ci o to ostatnie, to ja nawet dziś jestem gotowy nim zostać!

Na sali zapanowała totalna cisza. Wszyscy patrzyli to na mnie, to na Karola, a ja kompletnie nie wiedziałam, co miałam ze sobą zrobić.

Płonęły mi policzki, zaschło mi w gardle, a kolana zaczęły dygotać. Poczułam, że robi mi się słabo, i instynktownie opadłam na krzesło. „Tylko nie zemdlej, tylko nie zemdlej!”

– Oho! Karol, tym razem przegiąłeś! – odezwał się Lenny. – Twoje wyznanie osłabiło kolejną dziewczynę.

Choć Lenny wydawał się z siebie zadowolony, nikt nie zareagował na jego uszczypliwą wypowiedź. Grupa skupiła się na mojej osobie.

– Wszystko dobrze? – zapytała Penelopa, kucając przy moim krześle. – Lenny, przynieś szklankę wody – zaordynowała.

– Źle się czujesz? – zagadnęła siedząca obok mnie blondynka.

– Nie... – odparłam.

– Oddychaj spokojnie – dodała Penelopa.

– Nic mi nie jest. Czasami mi się to zdarza. Zasląbnięcia.

– Możemy kontynuować? – zapytała mnie szeptem terapeutka.

– Bez problemu.

– Karol, mam nadzieję, że to był twój ostatni wybryk!

– No co? – stęknął. – Jestem prawdomówny, nic na to nie poradzę!

– Nie każdy jest gotowy na twoją prawdomówność! –

podsumowała moja jasnowłosa sąsiadka, a ja gdzieś w głębi serca mocno jej przytaknęłam.

– Wystarczy! – ucięła prowadząca. – Podziękujmy Kasi za przedstawienie się. Więcej informacji o sobie przekaże nam zapewne innym razem.

Wszyscy zaczęli bić brawo, ponownie wprawiając mnie w zakłopotanie. Moja sąsiadka poklepała mnie nawet po ramieniu. Nigdy w życiu nie byłam w centrum zainteresowania tylu obcych, pozytywnie nastawionych do mnie osób. To było dla mnie coś totalnie nowego i totalnie zaskakującego.

– Czuję, że mamy dużo wspólnego – dodała blondynka, a ja w zamian uśmiechnęłam się.

– A teraz wy się przedstawcie tak, żeby Kaśka miała pojęcie w co, a raczej w jakie towarzystwo, wdepnęła – rzekła Penelopa żartobliwym tonem.

Ku mojemu zaskoczeniu nikogo nie musiała zachęcać, bo do przodu od razu wyrwał się Karol.

– Przepraszam za tamto, wymknęło mi się – powiedział do mnie.
– Nie chciałem cię... no, wiesz, urazić. Zgoda między nami?

Kiedy kiwnęłam głową, Karol wyraźnie się ucieszył, po czym zaczął trąkotać o sobie, swoich studiach, rodzinie, a nawet o psie rasy Owczarek belgijski, który ponoć potrafił tańczyć w rytm salsy. Pierwszy raz w życiu poznałam kogoś, kto potrafił tak szybko i tak dużo mówić. Penelopa, oczywiście, zmuszona była mu przerwać, bo pewnie zajęłby całą sesję na opowieści o życiu. Po nim swoją prezentację zaczął Lenny, dwudziestodwuletni DJ z La Strady, najlepszego klubu nocnego w mieście.

– Z mojej strony, w przeciwieństwie do tego rozgadanego cwaniaczka... – Wskazał na Karola. – ...nic ci nie grozi. Jestem zdeklarowanym gejem. Nie oznacza to jednak, że nie lubię kobietek. Nic z tych rzeczy! Uwielbiam je, a nawet ubóstwiam, ale... na swój sposób.

To wyznanie trochę mnie zaskoczyło. Do tej pory nigdy nie poznałam żadnego geja i nie podejrzewałam, by którykolwiek z moich znajomych mógł nim być. Lenny najwyraźniej to zauważył.

– Zaskoczona?

– Trochę – stęknęłam, czując, że po raz kolejny palę się ze wstydu.

– Nie pękaj! Tylko pierwszy raz jest trudny, każdy następny będzie i prostszy, i mniej zaskakujący.

– Nie, no nie wierzę! – wtrącił Karol. – Gdzie takich mądrości się naczytałeś?

– Moje życie to jedna wielka mądrość, ale doskonale rozumiem, że akurat ty mogłeś tego nie zauważyć, przyjacielu. – Karol zrobił rozzłoszczoną minę, a Lenny dodał z satysfakcją w głosie: – Genów nie oszukasz!

Grupa, wraz z Karolem, który najwyraźniej hołdował hasłu: „Kto się czubi, ten się lubi”, ryknęła śmiechem, a Lenny zaczął artykułować jakieś dźwięki, które po chwili przerodziły się w bardzo zgrabny raperski numer. Kupił tym całkowicie nie tylko mnie, bo po gradzie oklasków, który otrzymał, widać było, że absolutnie wszyscy ulegli jego urokowi.

Potem, raczej krótko i sztafpow, przedstawiały się kolejne osoby, w tym moja imienniczka, będąca studentką ekonomii. Gdy łańcuszek dotarł do dziewczyny, która przed chwilą mnie zagadnęła, byłam pewna,

że usłyszę kolejną standardową formułkę. Zaskoczyła mnie jednak, bo kiedy blondynka, ubrana w krótką chabrową sukienkę, przemówiła, do moich uszu dotarła kojąca melodia dobrze znanego mi języka.

– *Mi chiamo Pola, sono una studentessa di italianistica. Piacere di conoscerti*¹ – rzekła z gracją i z zuchwałością w głosie jednocześnie.

Poczułam się znacznie lepiej, uśmiechnęłam się do Poli, spojrzałam na pozostałych i odchrząknęłam.

– *Piacere tutto mio. Sono Kaśka e mi piace tutto ciò che viene dall'Italia*² – powiedziała cichutko, ale jednak wystarczająco głośno, aby wprawić całą grupę w osłupienie.

Sama w sumie byłam zaskoczona faktem, że tak łatwo przyszło mi wykrztusić z siebie coś po włosku. Co prawda w liceum uczyłam się tego języka już trzeci rok i na dodatek fascynował mnie, jednak poza szkołą nie miałam zbyt wielu okazji, aby sprawdzać swoje lingwistyczne umiejętności.

Pola na krótką chwilę zamarła, po czym głośno stęknęła, wyrażając coś na podobieństwo zachwyty czy ekscytacji i całkowicie mnie zaskakując, rzuciła mi się na szyję, ściskając „po włosku”, czyli bardzo serdecznie.

– No, Polka, w końcu masz kogoś, kto rozumie więcej niż spaghetti i bolognese – rzucił Karol, a reszta, włącznie z Penelopą, wybuchła śmiechem.

Tę chwilę rozprężenia wykorzystałam na przebiegnięcie wzrokiem po roześmianych twarzach. Wszyscy wydawali się totalnie wyluzowani, wszyscy, z wyjątkiem jednego chłopaka, który jeszcze się nie przedstawił, a który ze wszech miar wyróżniał się spośród pozostałych. Był szczupły! Nie tylko szczuplejszy od innych, ale po prostu szczupły, a na dodatek miał śmiertelnie poważną minę i wwiercał się we mnie wzrokiem, czym nieco mnie przerażał. „Jezu, o co mu chodzi?”.

Nie miałam w zwyczaju wpatrywać się w kogokolwiek dłużej niż przez moment, ale on, chłopak, którego imienia jeszcze nie znałam, opanował tę umiejętność do perfekcji. Jego oczy niezmiennie skierowane były w moją i tylko w moją stronę, powodując, że od tej pory, gdy zwróciłam na niego uwagę, nie mogłam się w ogóle skupić na czymkolwiek innym, poza nim. O CO MU, DO CHOLERY,

CHODZI?! – grzmiało w mojej głowie.

– Maks, jeszcze ty zostałeś – doszedł mnie głos Penelopy.

Spojrzał na terapeutkę, potem znowu na mnie, wprawiając mnie po raz tysięczny w zakłopotanie.

– Maks? – ponowiła.

Chłopak nie odezwał się jednak, tylko trzymając komórkę w dłoni, podszedł do Penelopy, szepnął jej coś na ucho i nie czekając na pytania, wyszedł.

„Co to było? – zastanawiałam się, widząc przedziwne zajście.

– Dlaczego wyszedł? Czyżby przeze mnie? Nie, nie bądź głupia... Dlaczego miałby przez ciebie wychodzić?”

– No tak – westchnęła nasza prowadząca. – Maks musiał nas dzisiaj wcześniej opuścić.

– Znaczy się, „Pan Tajemniczy” otrzymał nową misję do wypełnienia, tak? – zapytał ironicznie Karol, rozśmieszając Lennego, który mu przyklasnął.

„«Pan Tajemniczy»...? Ciekawe, dlaczego tak o nim mówią?”

– Jestem pewna, że następnym razem Maks osobiście ci się przedstawi – powiedziała w moim kierunku. – Ja mogę tylko tyle powiedzieć, że Maks jest moją prawą ręką i uczy się trudnego fachu terapeuty, a przede wszystkim nabywa wiedzę, jak okiełznać takich rozbrykanych uczestników jak mamy tu – powiedziała, uśmiechając się. – Dziś Karol, Lenny i Michał muszą ci wystarczyć jako grupowi przedstawiciele płci brzydkiej.

* * *

Godzinna sesja minęła, zanim się zorientowałam. Nawet nie zdążyłam spojrzeć na zegarek. Co więcej, nawet nie przeszło mi przez myśl, żeby na niego spojrzeć. Oprócz incydentu na samym początku, było po prostu FAN-TA-STY-CZNIE!

– I jak? – zapytała matka, kiedy pojawiłam się na korytarzu.

– Super!

– Widzisz? Warto było, co?

– Tak! Dzięki, mamo!

– Ja tu nie mam żadnych zasług, podziękuj sobie.

– No, nie było źle, co? – zapytała Penelopa, wyłaniając się z sali.

– Nie, nie. Było fajnie – odpowiedziałam, szeroko się uśmiechając.

Kątem oka spostrzegłam wychodzącego Karola, który serdecznie pomachał w moją stronę.

– Ekstra ludzie – stwierdziła terapeutka. – Ta grupa jest wyjątkowo ciepła, serdeczna. Karol i Lenny mają swoje charakterki, ale są niegroźni. Nie ma tu żadnych negatywnie nastawionych ludzi, więc będzie ci łatwiej się wdrożyć, chociaż w sumie wydaje mi się, że poszło ci zaskakująco gładko. Jesteś chyba zaskoczona?

– Pozytywnie zaskoczona – dodałam.

Godzinę wcześniej drżałam na samą myśl o wejściu do sali numer pięćdziesiąt sześć, dając zawładnąć sobą demonicznym wizjom terapeutycznej sesji, ale po jej zakończeniu, po sprawdzeniu, na czym to wszystko polegało, cieszyłam się, że poddałam się metodom Penelopy w stu procentach.

– To dobrze. Im więcej rzeczy cię w życiu pozytywnie zaskoczy, tym większą radość będziesz z niego odczuwać.

Penelopa na osobności zamieniła jeszcze słowo z matką, a ja patrzyłam na to, jak moja rodzicielka z szarej myszki przeobraziła się w rozpromienioną, dumną kobietę.

7. Wszelkie odcienie czerwieni, brązu i fioletu

Długo nie mogłam zasnąć tego wieczoru. Tak wiele emocji buzowało we mnie, że nie byłam w stanie nad nimi zapanować. Zocha, moja przyjaciółka, nie odbierała telefonu, więc nie miałam z kim podzielić się swoim szczęściem. Kiedy wybijała północ i nadal nic nie wychodziło z zaśnięcia, po cichutku, aby nikogo w domu nie obudzić, wybrałam się na siłownię i śpiewająco wykonałam niemal godzinny trening: orbitrek, brzuszki, hantle i zestaw na nogi. Z Jovanottim w słuchawkach, uśmiechałam się do siebie i przywracałam obrazy zapamiętane z pierwszej w moim życiu grupowej sesji terapeutycznej, z pierwszego spotkania z anonimowymi grubasami, którzy sprawili, że poczułam się w pełni zaakceptowana od pierwszego spojrzenia. To było dla mnie jak gwiazdka z nieba – nieoczekiwane i... wspaniałe!

Rozmyślałam nad dziwnym zachowaniem Maksa – „Pana Tajemniczego”, który zniknął, nim tak naprawdę się pojawił. Nie dawały mi spokoju jego oczy, których spojrzenie w przedziwny sposób jakby nadal czułam na sobie.

* * *

Rano, o dziwo, nie miałam najmniejszych problemów ze wstaniem,

choć w łóżku spędziłam zaledwie pięć godzin. Pełna pozytywnych emocji, porwałam swoje śniadanie, czyli mieszankę owocową oraz jogurt naturalny, i wyleciałam z domu. Nie mogłam się już doczekać, kiedy o wszystkim opowiem Zośce.

Jednak gdy dotarłam do szkoły, nie spotkałam jej w naszym stałym miejscu. Natknęłam się natomiast na „plastikową” Ankę z jej wredną bandą, która najwyraźniej już od samego rana szukała ofiary.

– Koszula ci ze spodni wyszła! – rzuciła w moją stronę.

Okazując szczyt swojej naiwności, sprawdziłam koszulę, która oczywiście była na miejscu, i oblałam się purpurą. Dziewczyny ryknęły śmiechem.

– A nie, sorry, to tłuszcz ci się wylewa! – dodała Anka, naśmiewając się.

Ryk tych wrednych małą słyhać pewnie było i na trzecim piętrze. Czerwona ze wstydu i ze złości, precisnęłam się między nimi i pobiegłam do damskiej toalety, gdzie wykrzyczałam kilka ostrych słów, które powinnam była wydukać parę chwil wcześniej. Jak ja jej nienawidziłam! Jak bardzo chciałam jej się odszczeknąć! Jak bardzo chciałam do niej podejść i trzasnąć ją w ten wypacykowany pysk! Tego drugiego nie mogłam jednak zrobić, bo pewnie bym ją uszkodziła, a ta zołza przy najmniejszym draśnięciu wywołałaby aferę godną zamachu stanu.

Szukając wsparcia, od razu zadzwoniłam do Zochy, ale tym razem również nie odebrała. Nie pojawiła się też na lekcjach, co w jej wypadku było ewidentną rzadkością, bo miała najlepszą frekwencję w klasie. Trudno się zresztą dziwić, że uciekała ze swojego domu, nawet gdy dopadała ją grypa żołądkowa. Dom pełen awantur nikomu by się nie podobał.

Po południu poszłam do niej i aż mnie zmroziło, gdy jej babcia wyszeptła przez domofon, że Zocha wylądowała w szpitalu na Pomorzanach, na chirurgii.

– Na chirurgii? A co jej się stało? – zapytałam.

– Nie, ziemniaków nie trzeba – usłyszałam w odpowiedzi, rozumiejąc, że ojczym Zochy musiał pojawić się obok domofonu.

Wiedziałam, że powinnam natychmiast zniknąć w bramie, bo ten

podejrzliwy człowiek zaraz znajdzie się w oknie. „Co się stało Zośce? – myślałam. – Szpital?”. Po głowie krążyły mi czarne myśli o pobiciu, ale odrzuciłam je, wiedząc, że Zocha to zwinna sztuka i zawsze jakoś udawało jej się czmychnąć, gdy sytuacja się gmatwała. Miałam nadzieję, że to po prostu atak wyrostka robaczkowego, ale nie dawało mi to spokoju i zaraz po obiedzie pojechałam do szpitala.

– Zofia Twardowska – powiedziałam, kiedy w dyżurce zjawiła się jedna z pielęgniarek oddziału chirurgicznego.

Korpulentna siostra w rogowych okularach zmierzyła mnie wzrokiem, cmoknęła i od niechcienia zerknęła na korkową tablicę.

– Sto jeden. Na prawo idzie, tylko nakładki na buty założy – powiedziała beznamiętnie.

W zielonych, szeleszczących woreczkach zjawiłam się w drzwiach wskazanej trzyosobowej sali i otworzywszy je, zaczęłam się rozglądać za Zochą.

– Pani pewnie do tej nowej? – zagadnęła mnie starsza kobieta, leżąca tuż obok drzwi. – Pod oknem położyli tę bidulkę.

Podeszłam do wskazanego łóżka, ale nie byłam pewna, czy dobrze trafiłam.

– Ciężko rozpoznać? – z troską w głosie zapytała kobieta.

Nic nie odpowiedziałam, tylko wpatrywałam się w dziewczynę, która nie przypominała mojej bladej i kościstej Zochy. Ta tutaj była okropnie zapuchnięta i zabarwiona wszystkimi odcieniami czerwieni, brązu i fioletu. Wyglądała potwornie, jakby ktoś wprawiał się na niej w jakiejś technice bokserskiej.

– Jezu... – stęknęłam, gdy dojrzałam na nadgarstku pleciony talizman Zochy, który nosiła, o zgrozo, jako osłonę przed agresorami wszelkiej maści.

– Masz rację, dziecko, Bóg powinien się litować nad takimi istotkami – stęknęła kobieta z podpiętą kroplówką. – Wieczorem ją przywieźli.

To tłumaczyło, dlaczego mojej przyjaciółki nie było w szkole i dlaczego wczoraj nie odbierała telefonu. Usiadłam przy łóżku i pogładziłam ją po wątlej dłoni. Natychmiast obudziła się i ze strachem cofnęła rękę. Kiedy zorientowała się, że to ja, uspokoiła się.

– Cześć, grubasie – powiedziałam, uśmiechając się do niej najcieplej, jak potrafiłam.

– Cześć, chudzielcu – odparła z trudem. – Nieźle wyglądam, co?

– Jest okej – wydukałam, patrząc prosto w dziwnie puste, zapuchnięte, ledwie widoczne oczy Zośki.

– Wiem, że nie jest. Nie kłam. Powiedz prawdę.

– Kaplica – odparłam.

Zocha zagryzła wargi i zamknęła oczy, a ja mocno ścisnęłam jej dłoń. Przyciągnęła mnie do siebie.

– Myślałam, że mnie zatłucze, wiesz? – wyszeptała mi prosto do ucha, tak cicho, że ledwo słyszałam jej słowa. Próbowwała się pohamować, ale zaraz potem zaczęła chlipać. – Strasznie lał matkę... Stałam w jej obronie i zaczął lać mnie... A kiedy upadłam... zaczął mnie kopać... do nieprzytomności...

– Nic nie mów, proszę, nic nie mów... – szeptałam, czując, jak łzy napływają mi do oczu.

– Tylko nikomu ani słowa – wyszeptała, starając się brzmieć stanowczo, choć łamał jej się głos.

– Ale przecież...

– On nas pozabija! – rzuciła ostro, zabierając mi wszelkie argumenty.

Jej ostatnie słowa sprawiły, że po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Pierwszy raz Zocha odezwała się do mnie w sposób tak śmiertelnie poważny. Przeraziłam się nie na żarty.

– Potem mnie cucił i... przepraszał, i... wezwał karetkę – ciągnęła. – Powiedział tym z pogotowia, że spadłam ze schodów... Nienawidzę go... Nienawidzę...

– Nic nie mów, odpoczywaj.

Byłam kompletnie zdruzgotana tym, co zobaczyłam, tym, co usłyszałam, i tym, co wyobraziłam sobie, wiedząc, na co stać ojczyma mojej jedynej przyjaciółki. Zocha wielokrotnie opowiadała mi, jak bił jej matkę, ale nigdy nie wspominała, żeby kończyło się to w szpitalu. Chwaliła się też, że nie dawał rady jej tknąć, bo dzięki jej nadgarstkowej plecionce zawsze zdążała przez nim zwać. Jednak tym razem bransoletka najwyraźniej zawiodła...

Nie potrafiłam zbyt długo z nią wysiedzieć. Chciało mi się wyc, krzyczeć... Byłam po prostu wściekła na to, co ją spotkało, na niesprawiedliwość i bezradność swoją i jej. Bo co ja mogłam zrobić? Oprócz współczucia, które na wiele się nie zdaje, nic, zupełnie nic. A ona? Ona też nie mogła nic zrobić, oprócz tego, że szczerze nienawidziła człowieka, z którym, chcąc nie chcąc, musiała mieszkać pod jednym dachem. Jej matka kilka razy zamierzała od niego odejść, ale nigdy nie miała dość siły, by zrobić to na serio, by ułożyć sobie życie po swojemu. Bez pracy, bez zawodu, nie wierzyła, że podoła trudom codzienności i zdoła się sprzeciwić tyranowi, jakim był jej mąż.

Kiedy wróciłam do domu, zamknęłam się w naszej siłowni, wrzuciłam na MP4 Eminema i próbując jakoś rozładować napięcie, przerobiłam chyba najgorszy emocjonalnie trening w moim życiu.

8. Krowa jest tylko jedna

– Bravo! – powiedziała radośnie Penelopa. – Twoje pomiary wyglądają nad wyraz optymistycznie! Jesteś gotowa?

– Aha – odrzekłam, choć pewnie nie byłam tak podekscytowana, jak powinnam być.

Od momentu, kiedy w szpitalu zobaczyłam Zochę, w moich myślach cały czas pojawiała się jej zmasakrowana twarz. Było mi z tym tak źle, że miałam problemy ze spaniem, ze skupieniem się w szkole, nie mówiąc już o koncentrowaniu na terapii. Choć, jeśli chodzi o to ostatnie, większość zaleceń wypełniałam w stu procentach, a nawet z nadatkiem, bo na siłowni ćwiczyłam znacznie więcej niż powinnam.

– Waga: dziewięćdziesiąt siedem! To siedem kilo mniej od pierwszego oficjalnego pomiaru – zakomunikowała Penelopa, a ja uśmiechnęłam się, chociaż nie stanowiło to dla mnie odkrycia, bo rano nie wytrzymałam i zważyłam się w domu.

– A wymiary... uwaga... góra cztery centymetry mniej, pas sześć, biodra trzy – to doskonały wynik – udo minus dwa, a łydka minus jeden centymetr. – Penelopa zaczęła mi bić brawo. – Spotykamy się od szóstego listopada, więc... więc to zaledwie trzy tygodnie, a ty już tyle osiągnęłaś! Powiedziałabym nawet, że trochę za szybko chudniesz. Hmm... Jestem z ciebie dumna, wiesz?

– Dzięki – odparłam. – Bez ciebie nie dałabym rady.

– W końcu od tego jestem, no nie?

Penelopa zaczęła badawczo mi się przyglądać.

– Twoje zapiski w planerze są w porządku... Ale coś mi tu nie pasuje... Powiedz mi, dlaczego odnoszę wrażenie, że nie cieszą cię twoje osiągnięcia...

– Nie wiem, czemu tak uważasz. Cieszę mnie – odparłam, choć sama czułam, że zbyt wiele przekonania w moim głosie nie słyhać.

– Zazwyczaj wszyscy skaczą z radości, wiwatują, gdy słyszą o postępach, obcałowują mnie. A ty?

Nic nie odpowiedziałam.

– Coś ci jest?

– Neeee – odrzekłam cicho.

– Ale nic cię nie boli?

– Nie, jest w porządku.

– Mocno ci dokuczają?

Z zaskoczenia nie odpowiedziałam, tylko marszcząc czoło, spojrzałam na Penelopę.

– No dobra, myślę, że już pora, aby ci coś pokazać – stwierdziła tajemniczo.

Podeszła do swojego biurka i wyjęła z niego dwa zdjęcia.

„Kolejne zdjęcia?” – pomyślałam z ekscytacją, bo podglądanie cudzych metamorfoz stało się niemal moim hobby.

– Pamiętasz, jak ci je pokazywałam?

– Jasne, to ty.

– Tak, to ja – westchnęła, po czym wyjęła jeszcze jedno zdjęcie.

Przedstawiało uśmiechniętą młodą dziewczynę z ciemnymi włosami, ledwo mieszczącą się w obszernej sukience balowej.

– Na tym zdjęciu jestem tuż przed studniówką. Byłam mniej więcej w twoim wieku.

– Ładna sukienka – podsumowałam, choć nie to zwróciło moją uwagę.

– Rzeczywiście, wyborna. Ja natomiast wyglądałam koszmarnie. Niemal sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi! Dwa hiperolbrzymie podbródki. – Wskazała na fotkę. – Nie mogłam zmieścić się w sukience, którą i tak musiałam szyć na miarę, bo przecież w żadną ze sklepu bym się nie wcisnęła. To było moje apogeum. Już nigdy potem tyle nie ważyłam, całe szczęście, ale wtedy o tym nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że schudnę, nie wiedziałam, że sobie poradzę z tym ogromnym balastem. Gdyby tylko ktoś mi o tym powiedział...

– Zamilkła na kilka sekund. – ...to nie przejmowałabym się tym, że wyzywali mnie od krów, które zapomniano oddać do uboju, od zapasionych świń czy od worków na sadło. – Złapała mnie za dłonie i spojrzała mi głęboko w oczy. – To nie jest proste – nie przejmować się, ale skoro do tej pory dawałaś sobie z tym radę, musisz wytrwać.

Za chwilę wszyscy będą wybałuszać oczy na ciebie, będą patrzeć, jak pięknie chudniesz, będą ci zazdrościć i wtedy nikt już nie będzie cię

wyzywał.

– Wiem – odparłam, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierzała Penelopa.

– Widzisz, tego wieczoru, kiedy był ten bal, upokorzono mnie po raz ostatni. Wyobraź sobie wielką salę, a na niej ponad trzysta osób. W pewnym momencie zostałam wyczytana do wejścia na scenę, aby wygłosić podziękowania dla nauczycieli. Wówczas podeszła do mnie najpodlejsza i najzłośliwsza dziewczyna, długonoga Magda, w cudownej kaszmirowej sukni. Zupełnie niespodziewanie poklepała mnie po plecach i szepnęła: „Dobrze dziś wyglądasz”. Pamiętam te słowa doskonale, bo doznałam prawdziwego szoku. Nigdy wcześniej nie słyszałam z jej ust żadnego komplementu, żadnego pozytywnego słowa, a tu – taka zmiana. Zrobiło mi się dziwnie miło i przez chwilę wierzyłam, że naprawdę dobrze wyglądałam, ale tylko przez chwilę... Kiedy wykonałam pierwszy krok w stronę mikrofonu, po sali przeszedł pomruk, a potem rozbrzmiał gromki śmiech. Nie wiedziałam, o co chodziło, ale coś mi podpowiadało, że miało to związek ze mną.

– Penelopa stęknęła i uśmiechnęła się cierpko. – Okazało się, że ta najbardziej wredna z wrednych dziewczyn przykleiła mi do pleców kartkę z napisem: KROWA JEST TYLKO JEDNA. OTO ONA! Kiedy odkryłam, co zrobiła, uciekłam z balu. Byłam tak zdruzgotana całą tą sytuacją, że chciałam się zabić, rozumiesz? Chciałam popełnić samobójstwo... Połknęłam całą fiolkę tabletek nasennych mojej matki, ale, na szczęście, ona coś zauważyła, bo inaczej by mnie tu nie było.

Patrzyłam na Penelopę z otwartymi ustami. Po takim wyznaniu byłam w szoku.

– Głupota...

Nie poruszyłam się, za to Penelopa ścisnęła moje dłonie.

– Błagam cię, abyś ty nie popełniała takiego błędu. Żebyś o tym nie myślała.

– Ale o czym?

– O samobójstwie.

– O samobójstwie?! – zapytałam zaskoczona.

– A nie myślałaś o tym?

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Na pewno? – spytała z lekkim niedowierzaniem.

– Na pewno. Chciałam zniknąć, chciałam stać się niewidzialną. Nie raz, ale o samobójstwie nigdy na poważnie nie myślałam.

Okazując ulgę, Penelopa pokiwała głową.

– Obiecuj mi, że jeśli miałabyś kiedykolwiek trudne chwile i zaczęłyby cię nachodzić takie idiotyczne samobójcze myśli, przyjdiesz do mnie albo zadzwonisz, albo dasz znać w jakikolwiek sposób, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziałam, będąc nadal pod wrażeniem tego, co przed chwilą usłyszałam.

Nie przeszło mi nawet przez myśl, że Penelopa mogła mieć taką przeszłość, że mogła być osobą, która targnęła się na własne życie. Wyglądała na silną, władczą kobietą... Ale przecież nie znałam jej historii, wiedziałam zaledwie tyle, że należała do anonimowych grubasów, że kiedyś miała sporo nadprogramowych kilogramów. Ale samobójstwo? Byłam totalnie zaskoczona.

– Czyli to nie dokuczanie jest powodem twojego ponurego nastroju?

– Masz na myśli docinki „plastikowych” małp...

– Plastikowych małp? – zdziwiła się. – Ładnie je nazywasz...

– Na pewno obrażam tym małpy, ale cóż... – Wzruszyłam ramionami. – A więc ich docinki są podłe i boją mnie, ale, choć to może dziwnie zabrzmieć, przyzwyczaiłam się do nich i jakoś sobie daję radę.

– Niedługo przestaną ci dokuczać, zobaczysz. Tylko wytrwaj.

– Wiem – odparłam. – Martwi mnie coś zupełnie innego.

– Co takiego?

– Niestety, nie mogę ci powiedzieć.

– A czy dotyczy to twojej terapii?

Obawiałam się tego pytania, bo nie wiedziałam, jak na nie odpowiedzieć, aby zachować się fair w stosunku do Penelopy.

– Nie, to znaczy... Wpływa na nią, ale nie dotyczy jej.

– Zupełnie nie rozumiem.

– No, komuś się coś stało i ja się tym martwię, a jak się martwię, to trochę nie współgra to z moim odchudzaniem.

Lekarka spojrzała na mnie, unosząc jedną brew.

– Co się stało Zośce? Mów natychmiast!

„– Co? Zośce? Skąd...”

Błyskotliwość terapeutki przerosła moje najśmielsze przypuszczenia. Do tego taksowała mnie wzrokiem, sprawiając, że głupio mi było nie powiedzieć jej prawdy.

– Ojczym ją strasznie pobił i Zośka leży w szpitalu – wyznałam.

– O, cholera! Trzeba to zgłosić.

– Nie, nie można.

– Dlaczego nie można?

– To skomplikowane.

– Ale tak nie wolno! – uniosła się Penelopa, okazując oburzenie.

– Pobicie to nie to samo, co pstryczek w nos, nie wolno tego tolerować!

– Wiem, ale to nie moja decyzja. To Zocha nie chce. Boi się.

– Rozumiem, lecz z tym trzeba walczyć. Z tym da się walczyć.

– Nie znasz jej ojczyma.

– Całe szczęście, że nie znam. Nie toleruję agresorów, a szczególnie takich, co biją słabszych. Zośce można pomóc. Jak będzie z nią już w porządku, powinna się zapisać do grupy wsparcia.

– Niech najpierw wydobrzeje – odparłam, przywołując w myślach posiniaczoną i opuchniętą twarz przyjaciółki.

9. Mio Dio

Zośka nie doznała urazów, które wymagałyby operacji i długotrwałej hospitalizacji, ale to była jedyna dobra wiadomość w całym tym nieszczęściu. Zdiagnozowano bowiem u niej szereg obrażeń, z których wstrząśnienie mózgu, stłuczenie prawej nerki, złamanie dwóch żeber oraz kości jarzmowej zdawały się najpoważniejsze. Kazali jej oszczędzać siły, nie wolno jej było za dużo chodzić, zresztą nie bardzo chciała gdziekolwiek się ruszać, bo sprawiało jej to ból.

Wszyscy wiedzieli, że to pobicie, ale Zocha stanowczo zaprzeczała, twierdząc, że spadła ze schodów, a co się z nią dalej stało, nie pamiętała. Cwanie to sobie wymyśliła, bo zeznając w ten sposób, nie wykluczyła pobicia. Policja wszczęła dochodzenie, ale bez świadków niewiele mogła zdziałać. W takich kamienicach to normalne, że nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Straszne, ale normalne.

Byłam u niej każdego dnia. Czasami spędzałam z nią godzinę, czasami nawet i trzy. Wszystko zależało od tego, jak układał mi się grafik terapeutyczny. Miałam przecież dwie sesje tygodniowo w Vinci Tower i dwa treningi w klubie. Nie mogłam zapominać o ćwiczeniach na siłowni i o pozostałych obowiązkach związanych z podpisanym „cyrografem”, a także, a może przede wszystkim, o tym, że musiałam sporo zakuwać, bo zbliżała się matura. Słowem, mój harmonogram był tak szczelnie wypełniony, że czasami zapominałam o jedzeniu.

Z największą radością biegałam na sesje grupowe, bo tam po prostu było świetnie. Na sześćdziesiąt minut odrywałam się od własnych problemów, wsłuchując się w wywody innych. Czasami zabierałam też głos, robiąc to, o dziwo, z wielką przyjemnością i na luzie. Tam, w Szkole Latania, uchodziłam wręcz za erudytkę, co stanowiło dla mnie nie lada nowość.

* * *

– Dobrze, Karolu, może dałbyś powiedzieć coś komuś innemu – rzekła Penelopa na jednej z sesji, kierując wzrok na mnie.

Choć nie byłam wyrywna, czasami miło było odezwać się, ale bez interwencji terapeutki raczej nie dałabym rady przelicytować Karola czy Lenny’ego.

– Największy problem... – zaczęłam – mam z powstrzymywaniem się od jedzenia słodczy. Przyzwyczaiałam się do nich i czuję się dziwnie, nie jedząc ciastek, cukierków i przede wszystkim ciast. Jakbym była na... głodzie – dodałam ciszej, okazując zawstydzenie.

– Nie pękaj! – wtrącił Karol. – To normalka! Ja to po prostu...

– Karol, to nie jest twoja kolej!

– No dobra, dobra – dodał niepokieszony.

– Kontynuuj – zachęciła mnie Penelopa, a widząc, że nie bardzo

wiem, co powinnam powiedzieć, ciągnęła: – Jak sobie z tym głodem radzisz?

– Na razie postępuję zgodnie z zaleceniami diety. Po prostu staram się nie jeść słodczy, ale gdy się złamię i podjem coś słodkiego, zwiększam czas ćwiczeń na siłowni albo wydłużam spacer, albo... trochę oszukuję dietę.

– Oszukujesz dietę? – zapytała Pola. – *Mio Dio*3!

– No, tylko troszkę – odparłam nieco zawstydzona, czując wzrok wszystkich na sobie. – No, zamiast ziemniaków jem inne warzywo, na przykład kalafior, i potrafię powstrzymać się od jedzenia pieczywa.

– To żadne *Mio Dio*! Żeś mnie wystraszyła! – Lenny udał omdlenie w iście teatralnym stylu, powodując, że pozostali zaczęli się śmiać.

– Zamienić ziemniaka na drożdżówkę! To byłoby oszustwo, a tak? Nuudy...

– Uspokójcie się! – zarządziła nasza prowadząca, skutecznie uciszając całą grupę. – Maks spróbuj poprowadzić dalej.

Chłopak wyglądał na zaskoczonego, a może i niezadowolonego z polecenia Penelopy. Spojrzał w moim kierunku w ten swój przenikliwy sposób, zawstydzając mnie.

– W każdej zbilansowanej diecie macie posiłek rozpusty – zaczął, a ja, podnosząc wzrok, z czystą przyjemnością wsłuchiwałam się w twarde brzmienie jego głosu, idealnie pasujące do mocnego spojrzenia. – I jeśli ten posiłek rozpusty nie zdarza się co dzień, tylko raz na tydzień, to organizm poradzi sobie z nadmiarem kalorii. Nie potrzeba oszukiwać diety. Co prawda uważam, że takie oszustwa, o jakich wspomniałaś... – Znowu utkwiał we mnie spojrzenie, onieśmielając mnie. – ...to żadne oszustwa, tylko lekkie i na dodatek chwilowe modyfikacje, ale na dłuższą metę powinniście trzymać się ustalonej diety, ze względu na jej kaloryczność. Chciałbym wam coś narysować.

– A będą kredki? – wyrwało się Karolowi.

– Na miłość boską, zamknij się w końcu! – wrzasnęła moja jasnowłosa imienniczka o zielonych oczach. – Niektórzy chcą słuchać! – dodała, zalotnie uśmiechając się do Maksa.

Zawtórowała jej również Pola i ona także zawachlowała rzęsami do zastępcy Penelopy. On jednak zachowywał się tak, jakby obojętne było

mu zainteresowanie dziewczyn i jakby w ogóle nie usłyszał dopiero co wyartykułowanej mowy obronnej. Przez cały czas przyglądał się Karolowi.

– A widzisz, Karol – powiedział niby od niechcienia – przewidziałem, że na dzisiejszej sesji możesz potrzebować czegoś barwnego do wyrażenia swoich emocji i w związku z tym przyniosłem ci i kredki, i farbki. – Maks wyciągnął ze swojej przepastnej torby wspomniane przybory i zaprezentował je Karolowi. – Jak tylko będziesz miał chęć, nie krępuj się.

Pierwszy raz zobaczyłam wtedy Karola, którego coś zaskoczyło, a raczej zatkąło. Nie odezwał się ani nie zripostował. Zdobył się jedynie na gest ręką, dający do zrozumienia, że zamierza przystopować. Od tej pory Karol czuł nieco większy dystans do Maksa, a Penelopa, która tak asertywną postawą swojego praktykanta była wyraźnie zaskoczona, zaczęła mu jakby bardziej ufać.

* * *

W następną środę miałam indywidualną sesję przeznaczoną na rytualne pomiary i omówienie postępów w odchudzaniu. Wiedziałam, że chudnę, ale choć czułam niemałą pokusę, nie stanęłam na wadze od ostatnich pomiarów u Penelopy. Chciałam zaskoczyć samą siebie, gdy jednak moja lekarka, spowiedniczka i anonimowa w jednej osobie oznajmiła mi wynik ważenia, nie mogłam w niego uwierzyć.

– Dziewięćdziesiąt? – zapytałam, przełykając ślinę.

– No!

– Niemożliwe!

– Tanita nie kłamie! – westchnęła.

– Ale to oznacza już siedemnaście kilo mniej!

Nagle dotarła do mnie waga osiągnięcia, sprawiając, że zaczęłam się spazmatycznie śmiać. Penelopa przeczekwała moją reakcję, obdarzając mnie ciepłym spojrzeniem, a gdy się już uspokoiłam, zaczęła podsumowywać.

– Dokładnie rzecz biorąc, czternaście kilo, bo dla mnie istotne jest nasze pierwsze spotkanie, czyli szósty listopada. To naprawdę świetny wynik. Powiedziałabym nawet, że za świetny. Takie rewolucyjne

odchudzanie może doprowadzić do efektu jo-jo.

– Martwi cię to? – zapytałam, nie rozumiejąc jej zaniepokojenia.

– Trochę – odparła. – Ale mam nadzieję, że to po prostu twój organizm tak reaguje na zmianę stylu życia.

– Ja jestem o tym przekonana. Penelopa, przecież ja nigdy tyle nie ćwiczyłam.

– Ale ćwiczenia nie powinny w aż takim tempie zmniejszać wagi. Pamiętaj, że przez ćwiczenia budujesz mięśnie, które też ważą.

– A co powiesz o jedzeniu jarzyn zamiast słodczy? To też nie ma znaczenia? – Penelopa ze zrozumieniem pokiwała głową. – To na pewno przynosi skutek. Dziewięćdziesiąt kilo! WOW!!! – krzyknęłam i rzuciłam się na moją wybawczynię, aby serdecznie ją wyściskać.

– Jeśli naprawdę jesteś taka sumienna, to spokojnie osiągniesz tę swoją czterdziestkę.

– Na serio tak uważasz?

– Jasne! Dziewięćdziesiąt kilo po pięciu tygodniach... – zamyśliła się, wystukując coś na klawiaturze.

Nie zastanawiałam się, dlaczego Penelopa rozmyślała nad moimi kilogramami, bo liczyło się tylko to, że ćwiczenia i dieta przynosiły spodziewane dla mnie efekty.

„Dziewięćdziesiąt kilo!!! To może się udać!”.

– Musisz teraz spowolnić odchudzanie – powiedziała po chwili Penelopa.

– Co? – wyrzuciłam, oburzona, bo w myślach snułam już wizję kolejnych kilkunastu kilogramów, zrzuconych w ciągu następnych kilku tygodni.

– Nie możesz chudnąć w tak szybkim tempie.

– Ale ja się dobrze czuję. I jestem zadowolona! Chcę jak najszybciej schudnąć!

Penelopa wzięła głęboki oddech, a potem cmoknęła.

– Typowe dla nowicjuszy, typowe. Posłuchaj, żeby efekt był trwały, zmiana musi być ewolucją, a nie rewolucją. Organizm musi powoli się transformować, a nie nerwowo. Jeśli zrobisz to nazbyt szybko, równie szybko powrócisz do stanu wyjściowego, czego, przypominam ci, nie chcesz!

- Jasne, że nie chcę!
- A więc od poniedziałku troszkę zwolnisz, żeby nie było szoku.

Rozumiemy się?

- Ale naprawdę muszę?
- Gdyby nie było to konieczne, na pewno bym tego nie zalecała.
- Niech będzie... – odparłam niechętnie.
- Uwierz mi, wyjdzie ci to na dobre. Dostaniesz nowe menu,

z trochę wyższą kalorycznością potraw.

Zmarszczyłam czoło i sapnęłam głośno, jak robią to rozkapryszone dziewczynki, kiedy zamiast pięknej falbaniastej sukienki dostaną spodenki w paski.

- I tak będziesz chudła, nie martw się – powiedziała Penelopa.

- Wiem, ale wolałabym zrobić to szybko.

– Słuchaj, w swojej karierze nie znam nikogo, kto by w krótkim czasie dużo schudł i utrzymał wagę na stałe albo przynajmniej przez dłuższy okres. Ci, którym się udało, robili to stopniowo.

Doskonale rozumiałam Penelopę. Wiedziałam, że nagle chudnięcie może później doprowadzić do efektu jo-jo, ale mimo wszystko czułam rozgoryczenie.

– Podziękujesz mi kiedyś – odparła po chwili, a ja wiedziałam, że dokładnie tak będzie.

10. Słynna Zośka

Przed świętami Bożego Narodzenia wszystko wróciło do normy. To znaczy Zocha wróciła do formy, a ja do normalnego życia. Było mi dużo lżej, bo ciągle pałętanie się po szpitalnych korytarzach, przyglądanie się niezbyt pogodnym twarzom pacjentów i doświadczanie zapachu antyseptyków zdecydowanie mnie zmęczyło.

Po powrocie moja przyjaciółka zmieniła się. Przynajmniej przede wszystkim starała się w ogóle nie bywać w domu i większość czasu spędzała u mnie oraz na zajęciach dodatkowych w szkole. Chodziła też na treningi karate,

na które zapisała ją matka niedługo po wyjściu ze szpitala.

– Wytrzymam tych parę miesięcy – powiedziała pewnego dnia, kiedy odprowadzała mnie na sesję. – Ale w październiku spadam stąd.

– Jak to spadasz? – zapytałam, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Na ekonomię, do Poznania.

– Co? – zapytałam zaskoczona, stając jak wryta na środku przejścia dla pieszych.

– Tak zrobię – odparła i pociągnęła mnie za sobą, bo zapaliło się czerwone światło. – Nie dam rady tu dłużej wytrzymać, nie mogę tak żyć.

– Ale jak to?

– Normalnie, też byś związała z takiego domu. Dostanę darmowy akademik i stypendium socjalne. Gdzieś sobie dorobię i jakoś to będzie.

– Czemu nic nie mówiłaś?

– Wyszło nagle. Jak ciotka Izabela, ta z Poznania, dowiedziała się o tym, no... o tym wszystkim, zrobiła wielki raban i zagroziła, że albo zgłosimy wszystko na policję, albo mam wyjechać na studia do Poznania, żeby miała mnie na oku. Nie wiedziałam, że mówi poważnie, ale ona się zawzięła i wszystko posprawdzała. Wyjadę, rozumiesz? Uwolnię się od tego bajzlu.

Nagle poczułam, jak oczy mi wilgotnieją i zrobiło mi się potwornie smutno.

– Oj, przestań! – Zocha zadarła mój podbródek. – To nic nie zmieni.

– To wszystko zmieni – wydukałam, choć słowa ciężko przechodziły mi przez gardło.

– To tylko odległość. My się przecież nie zmienimy, no nie? – stwierdziła, uśmiechając się szelmowsko.

– Nie zmienimy się, ale odległość nas zmieni. Nic już nie będzie takie samo.

– Niezależnie od tego, gdzie i czym się zajmę, zawsze będę ciebie kochała, ty mój najdroższy chudzielcu.

– Ja ciebie też, ty grubasie – odparłam i przytuliłam się do mojej kościstej Zochy, najserdeczniej jak potrafiłam.

Przez chwilę trwałyśmy w ciszy, bo żadne słowo nie wyraziłoby

lepiej naszych emocji. Drżące dłonie, szaleńczo bijące serca i zaciskające się gardła mówiły same za siebie.

– Starczy tego! – rzekłam w końcu. – Jeszcze się rozkleję i nie pójdę na sesję, a wiesz, że nie powinnam tego robić.

– To dawaj, lecimy do Vinci. Poczekam dziś na ciebie.

– Możesz? – zapytałam, szczerze zadowolona, bo Zocha jeszcze nigdy nie była tam ze mną.

– Dziś wyjątkowo przenieśli mi trening, więc mogę!

– Fajnie! Zobaczysz wszystkich moich grupowiczów.

Kiedy po pięciu minutach wylądowałyśmy w holu olśniewającego Vinci Tower, Zoche wryło.

– Przywykniesz – stwierdziłam. – Mnie się już znudziły te futurystyczne wnętrza. Nudy... – zażartowałam, bo tak naprawdę za każdym razem byłam pod wrażeniem tego miejsca.

Po załatwieniu formalności przy kontuarze i odebraniu identyfikatorów Zocha nadal była w szoku.

– Czemu nie mówiłaś, że tu jest tak szalowo? – zapytała, gdy wsiadałyśmy do windy.

– Jakoś tak wyszło. Podoba ci się, co?

– Jest bosko! – odparła, a kiedy stanęłyśmy przed drzwiami Szkoły Latania, dosłownie oniemiała. – Wow!

– Poczekaj, aż wejdziesz – ostrzegłam, spodziewając się jej reakcji.

Po wewnętrznym korytarzu przechadzało się kilka osób, skutecznie zagłuszając subtelną muzykę rozsiewającą się z głośników. Zoche prawdziwie jednak wcięło, gdy zobaczyła oszalamiający widok na miasto. Podeszła do okna, doznając najprawdziwszego wytrzeszczu oczu.

– Jezu, ale tu pięknie – wycedziła w końcu. – Nie wiedziałam, że mieszkam w takim ładnym mieście.

– Ja też byłam w szoku.

Kątem oka zauważyłam Penelopę, która z notesem pod pachą zmierzała w naszą stronę. Była jak zwykle nienagannie ubrana, tym razem w białą, obcisłą sukienkę, eksponującą jej wydatny biust i zgrabne pośladki. Na piersi miała przyczepioną czerwoną różę, idealnie harmonizującą z kolorem jej ust.

– Jeszcze nie w sali? – zapytała mnie.
– Oprowadzam Zośkę – odparłam, uśmiechając się.
– Aaa... czyli to jest ta słynna Zośka – powiedziała, wyciągając dłoń. – Penelopa. Miło mi cię w końcu poznać.

Zocha odwzajemniła uścisk i nawet się uśmiechnęła, choć widziałam, że spłoszowała. Wyglądała na lekko zaskoczoną nieoczekiwaną popularnością.

– Powiedz, jak się czujesz – zapytała, kierując nas w stronę sali.
– Lepiej już?

– Tak – odparła zdawkowo moja przyjaciółka, obrzucając mnie oburzoną spojrzeniem.

Jak zwykle nie uszło to uwagi Penelopy.

– Nie złość się na nią. Przymusiłam ją, aby mi wszystko wyjawiała – tłumaczyła. – Nie było łatwo, ale rozumiesz...

– Uśmiechnęła się szelmowsko. – ...mam swoje sztuczki.

Zośka przytaknęła.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Jeśli chciałabyś wziąć udział w terapii dla ofiar przemocy domowej, daj znać – dodała nieco ciszej, aby żadna postronna osoba niczego nie usłyszała.

Zocha stanęła. Wyglądała na wstrząśniętą.

– Dla ofiar przemocy domowej? – wydukała, jakby dopiero przed chwilą uzmysłowiła sobie, że ona też się do nich zalicza.

– Tak. Naprawdę warto. Zastanów się – powiedziała przekonująco, ale Zocha wyglądała, jakby nie do końca rozumiała, o czym mówiła czerwonousta kobieta stojąca naprzeciwko niej.

– Tu, w Szkole Latania, jest jedna grupa. Mamy super terapeutkę. Jeśli będziesz gotowa, postaram się cię wcisnąć.

– Mnie?

Penelopa podeszła do niej bardzo blisko i spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie wiesz, jak bardzo potrzebujesz pomocy, dopóki z niej nie skorzystasz. Nie namawiam cię. Po prostu to przemyśl! – Zośka kiwnęła głową. – A my, młoda damo – rzekła do mnie – idziemy na naszą sesję.

Znowu jesteś ostatnia.

– Zaraz przyjdę. – Spojrzałam na moją lekko skołowaną przyjaciółkę. – W porządku?

– Aha.

– Mogę iść na sesję?

– Ta... Tak, tak, idź – odparła tym swoim normalnym, dobrze mi znanym tonem głosu.

– Niedługo wracam.

Kiedy po godzinie wyszłam z sali, byłam po raz kolejny zmęczona dziwnym zachowaniem Maksa, który nic nie mówiąc, mordował mnie wzrokiem. Nie miałam zielonego pojęcia, czego ode mnie chciał ani z jakiego powodu tak dziwnie się zachowywał. Odwagi, żeby zapytać go o to, nadal mi brakowało, więc po prostu przyjmowałam jego przenikliwe spojrzenie i od czasu do czasu odwzajemniałam się tym samym.

Zocha czekała oparta o jedną ze ścian, przyglądając się wszystkim członkom mojej grupy. Spojrzała na mnie wzrokiem, którego na co dzień nie widuję, wzrokiem pełnym radości, szczęścia i ekstazy.

– Hej! – rzuciłam w jej stronę.

– Tu jest bosko! – zapiszczała. – Ten widok, te kanapy, te historyjki na tablicach... Rety! Kaśka! Tu jest...

– Bosko, wiem, mówiłaś – powiedziałam niby od niechcienia, choć w głębi duszy mnie też to miejsce oszałamiało.

– Chciałabym tu przychodzić, tak jak ty.

– To zapisz się do grupy. Penelopa przecież ci mówiła.

Zocha spoważniała i spojrzała się na mnie swoimi dużymi oczyma.

– Nie potrafię się przyznać, że jestem jakąś tam ofiarą.

– Ale jesteś, tylko to wypierasz. Ja przez lata wypierałam otyłość, mówiąc o sobie, że jestem dobrze zbudowana, że kości ważą, wiesz...

Przemyśl to.

– Wolalabym chodzić do grupy dla grubasów.

– Chyba dla anorektyków. – Zaśmiałam się.

Zocha szturchnęła mnie w bok, ale zaraz potem też zaczęła się śmiać.

Drzwi Szkoły Latania zasunęły się za nami bezszelestnie.

Przyglądałyśmy się rzędowi wind, nie mogąc zdecydować się, którą przywołać, i nagle, niekontrolowanie wybuchłyśmy śmiechem. Dwie dziewczyny czekające na windę numer pięć obrzuciły nas zaskoczonym spojrzeniem, a wysoki mężczyzna, który z nimi stał, wyglądający na terapeuta, skrzywił się, bo zakłóciłyśmy mu jakiś wywód.

– Nie wytrzymam!

– Ja też nie! – dodała Zocha. – Jak tu ekstra!

Rechotałyśmy na tym korytarzu jeszcze dobrą chwilę. Trójka oczekujących na przybycie windy dawno zniknęła za połyskującymi drzwiami, a my, choć wyglądało to żałośnie, nie mogłyśmy się podnieść z podłogi.

– Który numerek wybierasz? – zapytałam w końcu.

– Co? – Zocha nie zorientowała się, o co mi chodzi. – A... numer windy. Weźmy szóstkę. W końcu urodziłam się szóstego czerwca.

Wcisnęłam podświetlaną strzałkę skierowaną w dół przy wskazanej windzie.

– Wiesz... – bąknęła Zocha, gdy znalazłyśmy się w obszernej kabinie, wyłożonej lustrami. – Z twojej sali jako pierwszy wyszedł taki wysoki chłopak, brunet. – Pokiwałam głową, czując, że serce mi przyspiesza.

– Maks.

– No, dokładnie. Widuję się z nim.

– Co robisz?

– No, wiesz, widuję się z nim, bo chodzę z jego bratem na karate. Czasami pojawia się po treningu i razem gdzieś idą.

„Ufff” – pomyślałam, jednocześnie gromiąc siebie w myślach za stworzenie obrazu Zochy i Maksa trzymających się za ręce.

– Zawsze wydawał mi się wyjątkowo opanowany. Z takim dziwnym spokojem przyglądał się naszym treningom. Tutaj był jakiś nerwowy i strasznie się spieszył. Prawie przewrócił chłopaka, który stał obok mnie.

– Jest taki...

„Tajemniczy, mroczny...” – wyskoczyło natychmiast w mojej głowie.

– Jaki? – zapytała Zocha.

– Dziwny. Bardzo dziwny. Mało mówi.

– Ale do mnie się odezwał. Rzucił mi „cześć”.

– Ja na coś takiego najwyraźniej sobie nie zasłużyłam. Może mu się podobaś? – zagadnęłam, natychmiast żałując swojego pytania, bo choć z całego serca kochałam Zochę, nie byłam w tym momencie gotowa na zobaczenie jej w objęciach „Pana Tajemniczego”.

– Nie jest w moim typie. A tak w ogóle to co on robi w waszej grupie? Jak go wyczałam, trochę mnie wryło.

– Jest jednym z anonimowych, którym się udało. Praktykuje u Penelopy, bo chce być terapeutą. Jak dla mnie jednak nie bardzo ma podejście do ludzi, a do kobiet w szczególności.

– Nie byłabym taka pewna!

– Przecież to ja z nim jestem w grupie, więc mogę coś na ten temat powiedzieć.

– Ja może nie jestem z nim w grupie, ale wiem o nim tyle, że do kobiet to on podejście ma.

– Nie wydaje mi się. Z własnej inicjatywy do żadnej z nas się nie odzywa, tylko tak dziwnie na nas patrzy.

„Na mnie patrzy...” – dopowiedziałam w myślach.

– Widziałam go z jego dziewczyną – oświadczyła moja przyjaciółka.

– Skąd wiesz, że to była jego dziewczyna?

– No, wiesz, kiedy blond lala z nogami do szyi, włosami do pasa i rzęsami do czoła wisi chłopakowi u szyi, obcałowując go, nie można mieć żadnych wątpliwości.

Jakby na potwierdzenie słów Zochy w holu dojrzałyśmy Maksa z uwieszoną u jego boku blond laską w nieprzyzwoicie krótkiej spódniczce. Coś zacisnęło mi się w brzuchu.

– Rety! – stęknęłam.

– A nie mówiłam! – dodała Zocha z nieukrywaną satysfakcją.

Widząc nas, Maks dziwnie się usztywnił i uwalniając się od uścisku dziewczyny, obrzucił mnie tym swoim przenikliwym spojrzeniem.

„Czego on ode mnie chce? Dlaczego się tak patrzy?”.

– On się na ciebie gapi.

– Przestań! – wycedziłam, ciągnąc Zośkę za rękaw.

– Przecież widzę!

– Idziemy! – syknęłam, zerkając jednocześnie w stronę Maksa, jakbym chciała się upewnić, że rzeczywiście na mnie patrzy.

Nadal na mnie spoglądał, a raczej lampił się tymi swoimi niesamowicie błękitnymi oczyma. Blondyna najwyraźniej zauważyła zmianę jego zachowania i ona też zaczęła taksować nas wzrokiem, przy czym jej spojrzenie było prawdziwie zabójcze. Gdyby wyposażyć jej oczy w sztylety, dawno bym leżała trupem.

– On nadal się gapi!

– Ona też! Chodź już!

Gdy zniknęłyśmy za obrotowymi drzwiami, postawiłam kołnierz swojego schodzonego palta i poczułam, jak grudniowe powietrze omiata moją twarz, chłodząc rozpalone policzki.

– Coś ty mu zrobiła? – zapytała natychmiast Zośka.

– Ja? Nic!

– Ciekawe! Gdybyś mu nic nie zrobiła, to i on by cię traktował jak nic, a ja tu widziałam zupełnie coś innego.

„Coś innego? To wyglądało na coś innego?” – pytałam w myślach, bo nie byłam w stanie niczego z siebie wydobyć.

– Nie wiem, co widziałaś – powiedziałam prowokacyjnie.

– Kaśka, on pożerał cię wzrokiem. Na nikogo nie patrzył, tylko na ciebie.

– Wydaje ci się. Poza tym sama widziałaś – on ma dziewczynę.

– No fakt! To dziwne – podsumowała Zocha. – Niezła ta jego laska – skwitowała, a ja zacisnęłam szczęki.

Dziwne uczucie, którego dotychczas nie znałam, kazało mi być wściekłą na dziewczynę obściskującą Maksa. To wyglądało na zazdrość, ale trudno mi było pojąć, z jakiego powodu ją odczuwałam, skoro z Maksem nic, ale to nic mnie nie łączyło.

– Ciekawe, dlaczego z nim jest? – ciągnęła Zocha.

– Co?

– No, wiesz, „plastikowe” trzymają albo z „plastikowymi”, albo z kasiastymi. Innych nie znam.

– Ale on nie wygląda ani na jednego, ani na drugiego –

stwierdziłam, wyciągając z torby dwa duże jabłka na przekąskę.

– Może i nie wygląda, ale sama widziałaś.

– Nieważne. Spadam do domu. Czeka mnie jeszcze siłownia.

– Zadzwoń do ciebie jutro, po moim treningu, okej?

– Jasne! Buźka! – powiedziałam i skręciłam w stronę alei

Kwiatów, na której sprzedawczynie zamykały już swoje oszklone pawilony, pełne róż, tulipanów i goździków.

11. Najdziwniejsze z dziwnych

Gdy w czwartek zmierzałam na kolejną sesję grupową, byłam pełna sprzecznych emocji, które przez ostatnie trzy dni nie dawały mi spokoju. Zocha zresztą też nie dawała mi odetchnąć i cały czas maltretowała mnie pytaniami o to, co tak naprawdę jest między mną a Maksem. A czy ja wiedziałam? Czy ja sama miałam jakiegokolwiek pojęcie o tym, co ten jego dziwny wzrok oznaczał?

– Cześć! – Usłyszałam męski głos, gdy znajdowałam się na ostatniej prostej przed Vinci Tower.

– Cześć – odpowiedziałam Michałowi.

– Fajną mamy zimę, co? – zagadnął, posługując się najbezpieczniejszym i chyba najnudniejszym tematem, jaki tylko istnieje.

– Fakt – odparłam lakonicznie.

– Nie ma śniegu, nawet deszczu nie ma – ciągnął, a ja z niedowierzaniem spojrzałam na niego. Zachowywał się jak emeryt próbujący zagadnąć przystojną pacjentkę w kolejce do lekarza.

– W sumie to bardziej przypomina pogodę przed Wielkanocą, a nie przed Wigilią.

– Aha – westchnęłam, unosząc brwi.

– Wiesz, mówią, że taka pogoda utrzyma się do lutego. To znaczy, że nie będzie śniegu.

„Ileż można nawijać o pogodzie?”

– Niektórzy narzekają, ale jak dla mnie zima bez śniegu jest całkiem w porządku. Co myślisz?

– Michał... – Postanowiłam przerwać ten jego wywód, mając już serdecznie dosyć gadki o śniegu i deszczu. – Dziś ostatnie spotkanie przed świętami, no nie?

– A... tak. Ale nie mieliśmy przynosić prezentów, co? – zapytał wyraźnie zaniepokojony.

– Nie, tylko życzenia – odparłam, poklepując go po ramieniu.

Michał spojrzał na mnie, wyraźnie zaskoczony moim pełnym poufałości zachowaniem. Miałam nawet wrażenie, że na chwilę wstrzymał oddech. Natychmiast zabrałam rękę.

– Penelopa wyraźnie zaznaczyła, żeby niczego nie kupować – dodałam.

Minęliśmy Leonarda Lwa, który odznaczając nasze przyjsie i wręczając identyfikatory, szeroko uśmiechnął się do nas, bombardując bielą swoich zębów.

– Widziałeś tego gościa z recepcji?

– Którego? – odparł i obejrzał się, dając mi do zrozumienia, że faceci tacy jak on zwracają uwagę na całkowicie inne rzeczy. – Mówisz o tym blondynie? – Skinęłam głową. – On mi wygląda na geja.

Nigdy wcześniej nie myślałam w ten sposób o Leonardzie Lwie. Dla mnie był idealnym mężczyzną, idealnie ubranym, idealnie uczesany, idealnie pachnącym i... rzeczywiście – był zbyt idealny.

– Myślę, że nie jest gejem.

– Podoba ci się? – wypalił, a ja spojrzałam na niego zaskoczona.

– W sumie... masz rację, podoba mi się. Chyba mało której dziewczynie mógłby się nie podobać. Ciekawe, czy naprawdę jest gejem?

– Czy ja dobrze usłyszałem, że ktoś jest gejem? Kto niby? – wysapał Lenny, który nieoczekiwanie znalazł się z nami w windzie.

Zrobiło mi się trochę głupio, bo Lenny przed nikim nie ukrywał swojej orientacji i wszyscy, chcąc nie chcąc, wiedzieli, że jest zdeklarowanym gejem. Spojrzałam na niego, trochę zawstydzona, jakby przyłapał mnie na robieniu czegoś zakazanego. Zupełnie nie wiedziałam, z jakiego powodu tak się poczułam, bo do odmienności seksualnej zupełnie nic nie miałam.

– Nikt. Tak sobie tylko gadamy – wybełkotałam.

– No, moja droga, jak mówimy o byciu lub niebyciu gejem, to już jakieś wstępne ustalenia musiały zostać poczynione. Widząc po twojej minie, która zdecydowanie zdradza zmieszanie, typowe dla osób, które bycie gejem traktują jako coś nienormalnego, tajemniczego czy zakazanego, wnoszę, iż o kimś jednak rozmawialiście. Ten temat szczególnie mnie zajmuje, więc...? – Spojrzał na mnie wymownie, sprawiając, że poczułam się przyparta do muru. – O kim mowa?

– O tym przystojniaku z recepcji – wyjaśniłam.

– Masz na myśli Leo? – Kiwnęłam głową. – Całkowicie niedostępny.

– Co to znaczy?

– W stałym związku.

– Z...?

– No przecież tacy przystojniacy jak Leo to stuprocentowi mężczyźni, więc kobiety ich nie interesują. No, chyba że chodzi o biznes lub przyjaźń, ale to co innego. Niejedna już za nim ponoć płakała.

– Nie dziwię się.

– Ja też się nie dziwię. Niezła z niego partia.

Resztę drogi do naszej salki Lenny rozprawiał na temat tego, czy gej powinien przyciągać uwagę kobiet, czy też nie. Jego gadatliwość była mi bardzo na rękę, bo dzięki temu nie miałam czasu na prowadzenie wewnętrznych rozważań nad dziwnym zachowaniem Maksa i na zastanawianie się nad tym, co się wydarzy na sesji.

Gdy znaleźliśmy się w naszej sali, wszyscy stanęliśmy jak wryci. Na środku znajdował się bowiem podłużny stół, przyozdobiony krwistoczerwonym obrusem, srebrnymi serwetkami, złożonymi na kształt choinek, oraz niezliczoną ilością światełek, tworzących niesamowity świąteczny nastrój. Wyglądało to zjawiskowo.

– O rety! – wymsknęło mi się.

– Co prawda, to prawda – dodał Lenny.

– Wchodźcie, wchodźcie!

Zauważyłam Maksa. Był bardzo poważny, niezwykle skupiony i jak zawsze przyglądał mi się badawczo. Ucieszyłam się, że do pomieszczenia nie dochodziło białe światło, bo bez trudności dałoby się dostrzec moje płonące policzki.

Chwilę po nas do sali wlała się reszta grupy, wprowadzając totalny harmider. Dziewczyny wzdychały nad uroczymi choineczkami z serwetek i nad delikatnie zdobionymi talerzami. Faceci natomiast bardzo wnikliwie analizowali kulinarną zawartość stołu, najwięcej czasu poświęcając faszzerowanemu pstrągowi, który dzięki wydatnym gałkom ocznym pobudzał ich fantazję. Jak by nie patrzeć, wszyscy byliśmy pod wrażeniem świątecznej atmosfery, jaką udało się stworzyć naszej opiekunce w sali o raczej nowoczesnym wystroju.

– To nie tylko moja zasługa – powiedziała w końcu Penelopa.

– Bardzo duży wkład w przygotowania miał Maks, czym, przyznam, nawet i mnie zaskoczył.

„Mnie też...”.

– Ale co takiego Maks zrobił? Zasłonił żaluzje? – wtrącił kąśliwie Karol, szczerząc zęby.

– Karolku, zdziwiłbyś się – odparła lekarka.

– Wszystko potrafisz zepsuć! – prychnęła Pola w stronę Karola, spoglądając jednocześnie zalotnie na Maksa. – Jesteś po prostu *invidioso!*

– Invi... co? Obrażasz mnie czy jak?

– *Invidioso* znaczy „zazdrosny”. Ucz się języków! – syknęła moja blond koleżanka.

Karol dostał wypieków na policzkach i gdy już otwierał usta, aby zripostować Polkę, Penelopa wcisnęła się słowem.

– Nie zapomnieliście chyba, że mamy dzisiaj spotkanie wigilijne, co?

Słowa terapeutki prawie skutecznie uciszyły obydwie strony. Prawie, bo moja kumpela zawsze lubiła mieć ostatnie słowo.

– Gbur – szepnęła mi do ucha, nie mogąc powstrzymać rozpalonego języka.

– Chciałaś coś dodać, Polu? – zapytała Penelopa.

– Ja? – Zawahała się. – Nie, po prostu cieszę się, że złożymy sobie życzenia.

– Dobrze, że o tym mówisz, bo skoro już jesteśmy w komplecie, chciałabym zacząć właśnie od życzeń. Maks?

Maks wstał, sprawiając, że serce zabiło mi szybciej. Myślę, że nie tylko mnie, bo moja imienniczka natychmiast poprawiła fryzurę.

– Penelopa dała mi przywilej rozpoczęcia tego niezwykłego spotkania – powiedział spokojnie. – Życzę wam, i sobie także, byśmy odnaleźli w te święta to, czego od dawna szukaliśmy. – Karol parsknął śmiechem. – Wiem, Karol, że to nie jest takie łatwe, ale plizzz, po prostu spróbuj. Zanim zaczniemy ucztować, sięgnijcie pod swoje talerze. Macie tam symboliczne podarunki od nas.

– Prezenty! – krzyknął Lenny, wyraźnie podekscytowany, niczym przedszkolak.

– Miało nie być prezentów! – fuknęła Pola.

– Po prostu zerknijcie – wtrąciła się Penelopa, ucinając dalsze komentarze.

Każdy z nas otrzymał kolorowe zdjęcie z odręcznym podpisem. Na moim uwieczniona została młoda, wychudzona dziewczyna, w ostrym makijażu, w obszernym kapeluszu na głowie. Nie miała na sobie ubrania, a jedyne okrycie stanowiły długie sznury różnobarwnych koralii. *Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda* – przeczytałam napis.

Wpatrywałam się w zdjęcie jeszcze przez jakąś chwilę, starając się lepiej zrozumieć jego przesłanie, po czym podniosłam wzrok i zupełnie niespodziewanie natknęłam się na Maksa. Jego spojrzenie było jakieś inne, nie biło surowością i tajemniczością, patrzył na mnie z dziecięcą ciekawością.

„Czyżby to było od niego? Chciał, żebym to dostała?” –

przemknęło mi przez myśl.

– Ja mam jakiegoś wróbla z napisem: „Małe znaczy wielkie” – wyrwał się Karol. – Kto mi wytłumaczy, o co w tym chodzi?

– Jak ty, Karol, nic nie rozumiesz! – zachichotał Lenny.

– Ciekawe, co ty dostałeś?

– Ja zawsze dostaję właściwe prezenty. Mam złotą rybkę.

– Pokaż! – Karol podszedł do Lenny’ego i przyjrzał się obrazkowi.

– Może i zdjęcie fajne, ale napis już nie bardzo: „Na co jesteś gotowy?”.

A na co ryba może być gotowa? Na swój koniec na patelni. Czyli z twojego zdjęcia wniosek jest następujący: pożyczysz obsypany złotem, ale krótko. Jak dla mnie – kiepska perspektywa.

– Słuchajcie... – odezwała się Penelopa. – Potraktujcie te zdjęcia metaforycznie i odpowiedzcie sobie na pytanie, co ono mówi o was. Dzisiaj.

„Co mi mówi moje zdjęcie? Że to, co widzę, wcale takie nie jest. Że to, co prawdziwe, często jest ukryte... Że... cholera... że Maks i ta laska... że ta blondyna nie jest jego dziewczyną? – Uniosłam głowę i znowu natknęłam się na jego wzrok. – O to ci chodziło? To wiadomość od ciebie?”.

– Karty trafiły do was losowo.

„Czyli jednak nie od niego...” – byłam nieco zawiedziona.

– Nikt z nas nie wybierał ich celowo, więc jedyne, co mogło zadziałać, to przypadek, a wiecie, że przypadkiem nic się nie dzieje, więc... to są po prostu karty dla was! Wesołych świąt, kochani! Pełnych miłości i... dietetycznych dań!

– Możemy już składać życzenia? – zapytał Lenny.

– Jasne, że tak! I jedzcie! Smacznego!

W sali zapanował przyjemny gwar, okraszany wybuchami śmiechu i rymowanymi przyśpiewkami Lenny’ego. Chyba nigdy nie czułam tak sympatycznej i luźnej świątecznej atmosfery, bo w mojej rodzinie składanie jakichkolwiek życzeń kojarzyło się z przykrym obowiązkiem.

– Kasiu... – Usłyszałam w pewnym momencie doskonale mi znany męski głos, który sprawił, nie wiedzieć dlaczego, że przez moje ciało przebiegł dreszcz. – Coś się stało? – zapytał Maks.

– Nie – odparłam zdawkowo.

– Życzę ci, abyś... yyy... abyś potrafiła dostrzegać prawdę w kłamstwie.

„Co?! Prawdę w kłamstwie? O co mu chodzi?”

– Wiem, że może nie mówię zbyt jasno, ale jestem pewny, że ty to zrozumiesz.

Maks spojrzał mi głęboko w oczy. Długo tego nie wytrzymałam i wypaliłam:

– A ja tobie życzę... zdrowia i... Zdrowia ci życzę – odparłam, natychmiast żałując swojej mizernej wypowiedzi.

Zdrowia? Zdrowia życzy się babci, jeśli się ją ma. Ewentualnie wiekowej sąsiadce, schorowanej ciotce, ale młodemu facetowi? Jaka ja byłam głupia! Mogłam pożyczyć mu wszystkiego, mogłam z nim w końcu porozmawiać, bo była przecież ku temu okazja, ale ja, jak skończona idiotka, pożyczyłam mu zdrowia, po czym odwróciłam się w stronę Michała i oddałam się pozbawionej emocji konwersacji.

Byłam tak bardzo wściekła na siebie, że do końca spotkania nie odważyłam się spojrzeć w stronę Maksa. Nie potrafiłam unieść wzroku i popatrzeć w niebieskie oczy faceta, któremu chciałam zadać tak wiele pytań, a zamiast tego pożyczyłam mu „zdrowia”.

Kiedy Penelopa zakończyła wigilijny mityng, wybiegłam z salki jak oparzona, modląc się, aby jak najszybciej opuścić miejsce swojej osobistej porażki.

* * *

Tego wieczoru długo nie mogłam zasnąć. Rozpamiętywałam tę krótką chwilę spędzoną twarzą w twarz z Maksem, jego słowa, kartę, którą otrzymałam i swoje arcygłupie zachowanie, a raczej arcygłupi pomysł na życzenia.

Gdy na zegarku wybiła północ, a we mnie nadal buzowały emocje, postanowiłam coś z tym zrobić. Najpierw pomyślałam o siłowni, ale nie miałam zamiaru prowokować ojca do kłótni. Ostatnio chodził strasznie rozdrażniony, miał w pracy jakąś przedłużającą się kontrolę i przez nią słabo sypiał. Nie chciałam zakończyć tygodnia ze szlabanem na koncie. Potem jednak wpadłam na doskonały pomysł. Otworzyłam planer, który sumiennie wypełniałam od czasu, kiedy go otrzymałam od Penelopy

i odnalazłszy pomarańczowe strony, służące do przelewania na papier złości, frustracji i wszystkich negatywnych emocji, postanowiłam zapisać to, co czułam. Gdy po kilku słowach zrobiło mi się lżej, nie mogłam w to uwierzyć.

„Mądra Penelopa” – pomyślałam i nakreśliłam jeszcze kilkanaście cierpkich myśli na pomarańczowym tle.

12. Pierwszy list

@ 20.12.2013, 18:30

Od: Max

Do: Key

Temat: Witaj!

Droga Kasiu!

Droga... Kasiu?

@ Długo wahałem się, czy napisać, choć chciałem już po pierwszym razie, gdy się u nas zjawiałaś, gdy przyszłaś z Penelopą. Wtedy jednak nie dałem rady. Długo zresztą nie mogłem się zebrać, choć uwierz, że bardzo chciałem.

Jezu, o co chodziło?

@ Nawet nie wiem, jak zacząć, żeby cię nie wystraszyć. Hmm... bo wczoraj chyba to zrobiłem, więc teraz aż się boję... Ale muszę spróbować. Chcę.

Max? To był ten Maks? „Pan Tajemniczy”?

@ Pisanie nie jest moją mocną stroną, a mówienie już w ogóle... Lubię słuchać i to jest chyba mój najsilniejszy punkt, a ciebie mógłbym słuchać godzinami. Masz kojący głos i mądre myśli, które potrafisz pięknie ująć w słowa.

Kojący głos? Mądre myśli?

@ Wiem, że Penelopa byłaby wściekła, gdyby dowiedziała się, że to robię, że... piszę do ciebie, bo terapeutom, nawet takim dopiero uczącym się zawodu, jak ja, nie wolno utrzymywać kontaktów prywatnych z członkami grup. Nie potrafię się jednak już dłużej

hamować. I mam gdzieś, co ona pomyśli albo jakie wyciągnie z tego konsekwencje! Po prostu musiałem do ciebie napisać! To jest silniejsze ode mnie!

Powietrza!!!

@ Mam nadzieję, że jeszcze to czytasz, że nie uciekłaś i nie stwierdziłaś, że jestem ograniczony umysłowo, bo... nie jestem.

Nawet nie chcę się dłużej zastanawiać, czy to wysłać, czy nie. Po prostu zaraz kliknę i będę czekał na ciebie tu, po drugiej stronie.

To już!

Maks

Przeczytałam tę wiadomość tysiąckrotnie. Pierwszy raz w moim życiu ktoś napisał do mnie coś tak osobistego. Na dodatek był nim chłopak i to chłopak, który mnie widział! Mnie, MNIE widział! Trudno mi w to było uwierzyć, więc wgapiałam się w monitor, poszukując drugiego dna.

– Kasieńko! – piskliwy głos matki oderwał mnie od kolejnego odczytywania mejla. – Kolacja!

– Już. Zaraz! – odparłam, nie bardzo zamierzając schodzić na dół.

Nie miałam pojęcia, dlaczego do mnie napisał. „A może... może to nie on? Może to jakiś głupi żart? Może to „Chuda Anka”? Nie... przecież nadawca mówił o terapii i o Penelopie. Zna ją! Cholera! Żadna z plastikowych nie wie nic o Penelopie, nie ma pojęcia, kim ona jest”.

– Tato już siedzi przy stole! – ponaglała matka.

„Tak jakby kiedykolwiek robił coś innego. Zawsze siedział przy stole”.

– Za chwilę! Muszę coś skończyć! – wymyśliłam na poczekaniu.

– Katarzyno! – Głos ojca otrzeźwił mnie tak skutecznie, że aż podskoczyłam.

Zszokowana i ponaglona interwencją, zesłam do jadalni, zostawiając sprawę mejla w zawieszeniu. Ojciec zmierzył mnie karzącym wzrokiem, ale oczywiście nie odezwał się słowem.

– Twoja porcja, zgodnie z wytycznymi, Kasieńko.

– Tak, dziękuję.

– My teżjemy warzywa – dodała dumnie matka.

Beznamiętnie rzuciłam okiem na talerze, odnajdując na nich po jednej marchewce i jednym kalafiorku. Na moim zalegała ich cała fura, a oprócz tego gotowana pierś kurczaka i łyżka kaszy jaglanej. Nie w głowie mi było jednak jedzenie, bo cały czas rozmyślałam o zaskakującym mejlu. Nie miałam pomysłu, jak na niego zareagować i co odpowiedzieć Maksowi.

Maks, właśnie... Tak naprawdę nigdy nie zamieniłam z nim słowa, z wyjątkiem wczorajszej, kompletnie nieudanej, niby-rozmowy. Jezu... przecież on na każdej sesji, na której się pojawił, a zjawiał się rzadko, przede wszystkim się na mnie gapił. Przynajmniej kiedy ja na niego spoglądałam, on zawsze robił to samo... „A może to ja się na niego lampiłam?” – zadrżałam na samą myśl, powodując, że widelec wyślizgnął mi się z ręki.

– Słabo ci? – zapytała matka.

– Nie, nic mi nie jest – odparłam, choć, prawdę mówiąc, wcale nie czułam się dobrze.

„Jeśli to nie jest jakaś cholerna intryga, to czego on ode mnie może chcieć? Dlaczego napisał, że lubi mnie słuchać? Mam kojący głos? I co to znaczy, że dłużej nie może się hamować...? Nie rozumiem...” – nie znajdowałam odpowiedzi na dziesiątki pytań, które kiełkowały w mojej głowie. Nie rozumiałam tego, co się wokół mnie działo.

„Ma niesamowite oczy” – pomyślałam, ponownie powracając pamięcią do błękitnych źrenic, kontrastujących z oliwkową cerą i kruczoczarnymi, falującymi włosami, sięgającymi mu do ramion.

– Katarzyno! – rzucił ojciec, sprawiając, że ocknęłam się i zaprzestałam rozgrzebywania kaszy. – To jest jedzenie!

Nie odpowiedziałam, ale zaczęłam pałaszować, a pomiędzy kolejnymi kęsami znowu odpływałam w linijki dopiero co przeczytanych słów. Swobodne rozmyślenia ułatwiał mi styl jedzenia posiłków, jaki obowiązywał w naszym domu, bo zazwyczaj trwaliśmy w milczeniu, a to głównie dlatego, że mój ojciec wkładał do uszu słuchawki i włączał jakieś radio, nie pozwalając nikomu na hałasowanie, które mogłoby w jakikolwiek sposób zakłócić mu przyjemność słuchania. Typowy obiad... Szybko, bez emocji, bez słów. Muzyką były subtelnie brzdękające sztuce, a tłem moja krzątająca się matka.

Kiedy już odeszłam od stołu, chcąc na nowo zasiąść do analizowania treści mejla, mój ojciec niespodziewanie przemówił:

- Nigdzie się nie oddalaj, Katarzyno. Wyjeżdżamy.
- Ale ja muszę skończyć... no, zadania domowe – skłamałam.
- Wrócimy jutro, to skończysz. Dzisiaj śpimy u mojej siostry.

Zbieraj się.

Byłam pewna, że pobrałam.

- Co?
- Jedziemy do Matyldy.
- Ale...
- Bez żadnych „ale”. Zbieraj się!

Matylda. Nie cierpiałam tego przemądrzałego babsztyla! Nigdy nie miałam tam nic ciekawego do roboty. Zajmowałam się jej kotami, fakt. I w sumie to nie było takie złe, w porównaniu ze słuchaniem opowieści o tym, kogo to ona nie знаła i kogo to ona nie podejmowała w swoim saloniku do gry w karty. Albo tego, co powinnam robić, jak się zachowywać, co nosić i jaką radość okazywać z powodu posiadania wybujałych kształtów. Szczególnie ten ostatni temat mnie dobijał, bo drażniła go zazwyczaj tak długo i tak drobiazgowo rozprawiała nad zaletami posiadania krągłości, że robiło mi się niedobrze od samego słuchania. Brrr...

– Okej – odparłam, zaciskając zęby.

– Doskonale! A więc dokładnie za piętnaście minut i czterdzieści pięć sekund na dole. Pospiesz się!

„Piętnaście minut i czterdzieści pięć sekund? Precyzja spotykana tylko u mojego ojca. Kto liczy czas w sekundach?”

– Małgorzato, słyszałaś? – zapytał beznamiętnie.

– Tak, tak. Już się zbieram, ale nie wiem, czy zdążę, Robercie – odparła podenerwowana.

– Wyjeżdżamy za piętnaście minut i dziesięć sekund – rzekł, zupełnie ignorując jej słowa.

To był cały ojciec – człowiek nieznoszący sprzeciwu, człowiek nie liczący się ze swoją najbliższą rodziną, człowiek, z którym kontakt werbalny był co najmniej ograniczony. Matka, przyzwyczajona już do jego nagłych decyzji wyjazdowych, przed każdym weekendem

szkowała torbę podróżną. Totalnie bez sensu, ale gdy żyje się w bezsensownym związku, to robi się bezsensowne rzeczy. Ja nie byłam tak zorganizowana, jak moja matka, więc wpadłam do pokoju, zabrałam książkę, kosmetyczkę, w pośpiechu wrzuciłam do torby jakieś ubrania i zbiegłam na dół. O mało nie staranowałam wielkiej palmy, która dumnie panoszyła się na korytarzu przy schodach.

– Jestem! – wysapałam do ojca, łapiąc się pod boki.

– Kondycji ci brakuje, Katarzyno! – fuknął, kiedy ja nadal próbowałam opanować przyspieszony oddech. – Doceniam jednak, że jesteś punktualna! Nie to, co twoja matka. Dla niej piętnaście minut i czterdzieści pięć sekund znaczy tyle samo, co szesnaście minut!

– Na pewno jest zajęta pakowaniem – próbowałam ją usprawiedliwić.

– Każdy ma swoje zajęcia, Katarzyno. Ja tam ze swoimi jakoś zdążam na czas. Wszystko jest kwestią dobrej organizacji!

– Ale ty wiedziałeś o wyjeździe wcześniej – odparłam, okazując lekką dezaprobatę. – Nie mogłeś nas poinformować wczoraj?

– Nie tym tonem, Katarzyno!

– Jestem! – wysapała matka, ciągnąc za sobą dużą walizkę, dwie reklamówki i jutowy worek.

– Spóźniłaś się – skwitował ojciec.

– Przestań, Robercie! To raptem parę sekund!

– Nawet i jedna byłaby spóźnieniem, nie inaczej!

Kiedy wsiedliśmy do auta, atmosfera była taka sama jak w czasie obiadu, czyli teatr pantomimy pełną gębą. Włączyłam MP4 i słuchając nostalgicznej muzyki z filmu „Marzyciel”, znowu oddałam się rozmyśleniom o wiadomości od Maksa.

– Córeczko, postaraj się nie denerwować Matyldy – usłyszałam błagalny szept matki, gdy znaleźliśmy się na podjeździe ciotki.

Tak jakbym kiedykolwiek ją czymkolwiek prowokowała. Rety, to ona mnie prowokowała!

– Przecież nigdy tego nie robię – odparłam półgębkiem.

– No, ale wiesz, o co mi chodzi. Ojciec źle to znosi.

„Ojciec źle to znosi”. Nieźle. A co ojciec znosił dobrze?

– Małgorzato! – krzyknęła ciotka i podeszła do matki, obejmując ją

swymi pulchnymi rękoma. – Źle wyglądasz!

Ciotka zaczęła jak zawsze od „słodkiego” komplementu.

– Witaj, Matyldo. Dlaczego źle? – wydukała.

– No, jak to „dlaczego”? Znowu jesteś na jakiejś cholernej diecie!

Schudłaś!

– Nie jestem na żadnej diecie. Taką mam przemianę materii.

– Już ja tam swoje wiem. Te cholerne diety! Dobrze, że Katarzyna nie jest na żadnej i wygląda jak należy.

Przez chwilę biłam się z myślami, czy powinnam ją uświadomić o tym, jak bardzo się myliła, bo ja przecież byłam na diecie. Widząc przerażony wzrok matki, zdecydowałam jednak, że mogłoby to Matyldę poważnie zdenerwować, więc po prostu milczałam i tylko przytakiwałam gderliwej ciotce, panoszącej się przy naszym samochodzie.

– Katarzyno! Czy o czymś nie zapomniałaś?

Zupełnie nie wiedziałam, co miała na myśli ta pokręcona kobieta.

– Nie, wzięłam chyba wszystko, czego będę potrzebowała, ciociu.

Ostatnie słowo ledwo przeszło mi przez gardło, bo najchętniej wypaliłabym w jej stronę jakieś bardziej pasujące do niej określenie w stylu „gderliwa babo” albo „zrzędliwa kwoko”.

– Katarzyno! – Zadrzałam. – Nie przywitałaś się jeszcze z ukochaną ciocią!

Podeszłam, aby ją uściskać, zgodnie z jej oczekiwaniami.

– To pewnie przez to ustrojstwo, co masz w uszach. Jak na to mówią?

– Empe czwórka – odparłam.

– Durna nazwa. Pewnie jakiś szaleniec to dziwactwo wymyślił.

Jestem przekonana, że to nie jest zdrowe i życzyłabym sobie, abys w moim domu tego nie używała. Rozumiemy się?

– Tak.

– Tak co?

– Tak, ciociu – odparłam przez zęby, czując, że ten weekend może być naprawdę ciężki.

I rzeczywiście do łatwych nie należał.

Kiedy po kolacji ciotka z ojcem zasiedli do partyjki kart, mogłam

w końcu odetchnąć od niekończących się opowieści o jej ostatnich sukcesach towarzyskich i osiągnięciach fundacji, którą założyła. Przechwalała się wynikami jakiejś aukcji, na której zjawiała się rekordowa liczba darczyńców. Kazała nam nawet oglądać wycinki z gazet, które umieściła w opasłym tomisku, oprawionym w złote płótno. Najbardziej dumna była z tytułu jednego z artykułów: „Matylda Wielka”, w którym dziennikarzyna, zapewne hojnie wynagrodzony, opiewał jej nadludzkie serce i niespotykaną dbałość o los pokrzywdzonych dzieci. Matylda Wielka... Jak dla mnie, pasowało to jedynie do jej gabarytów, do niczego więcej...

Moje chwilowe oswobodzenie trwało jednak tylko moment, bo ciotka miała wobec mnie inne plany.

– Katarzyno! Chyba już czas nauczyć się grać w pokera!

– To nie dla mnie – odparłam, nie mając najmniejszej chęci na spędzenie kilku następnych godzin pod ostrzałem jej spojrzeń.

– Nonsens, Katarzyno! Chodź do nas!

– Ale ja naprawdę nie jestem dobra w karty. Zupełnie się na tym nie znam – podkreśliłam, próbując ratować się jakimikolwiek argumentami.

– Może niech Kasiénka sobie odpocznie. Ja mogę z wami zagrać.

– Mama ruszyła mi z odsieczą.

– To żeś wypaliła, Małgorzato! – Ciotka wybuchła gromkim śmiechem. – Ty za cholereę grać nie umiesz. Chudzi po prostu ze wszystkim mają gorzej, przecież wiesz. Macie mniej tych, no, neuronów, no, czegoś tam w mózgu, i nie funkcjonujecie do końca tak, jak powinniście, tak jak my, ludzie zbudowani porządnie. Co o tym myślisz, Robercie?

Ojciec mruknął, po czym obrzucił mnie surowym spojrzeniem.

– Katarzyno, do stolika! – rozkazał i zamykając jednocześnie jakiegokolwiek dyskusje, zmusił mnie do spędzenia kolejnych kilku godzin na wysłuchiwanie kąśliwych uwag kobiety, którą, chcąc nie chcąc, musiałam nazywać ciotką.

Następnego dnia czułam się zmęczona, jakbym zakuwała do najtrudniejszego testu. Cholerna ciotka ze swoimi wywodami! Każdą z zasad gry w pokera kazała mi powtarzać do momentu, aż moja

recytacja ją zadowalała. Potem zaś na wrywki sprawdzała zdobytą wiedzę. Po dociekliwym odpytywaniu nie miałam najmniejszych problemów z wytłumaczeniem, co w pokerze oznaczało postawienie czy podbicie oraz czym różniła się kareta od strita. Łeb mi od tego rozsadzało, ale musiałam przyznać, że gra w pokera przypadła mi do gustu. Tylko towarzystwo apodyktycznej, wszystkowiedzącej siostry mego ojca było trudne do zaakceptowania.

Kiedy zasiedliśmy do obiadu, po którym mieliśmy udać się z powrotem do domu, czułam nieskrywaną radość, gdyż tym razem pobyt u ciotki nie przerodził się w czas pełen napięć i kłótni. Ojciec był zadowolony i nienaturalnie zrelaksowany, co okazywał rozleniwieniem i przysypianiem na fotelu. Moja matka natomiast, choć widać było w niej lekkie napięcie, o dziwo, nie reagowała przesadnie nerwowo na każdy ruch ciotki.

– Katarzyno... – powiedziała Matylda, kiedy kończyliśmy obiad.
– Widzę, że jesteś jakaś radośniejsza. Czyżbyś w końcu zrozumiała, że to, jak wyglądasz, jest błogosławieństwem?

Błogosławieństwem? Myślałam, że wybuchnę, że wskoczę na stół i zatańczę ognistą sambę, z impetem wykopując talerz za talerzem, wykrzykując przy tym całą prawdę o moim odchudzaniu.

– Nie! – odparłam impulsywnie, nie zastanawiając się nad następstwami tego krótkiego słówka.

Ciotkę zamurowało. Jej policzki nabrały purpurowej barwy, a powieki kilkakrotnie nerwowo opadły i podniosły się.

– Jak to „nie”? – zapytała w osłupieniu. Odłożyła przy tym sztucce, co zwykła czynić na znak, że coś ją albo zdenerwowało, albo zachwyciło. Tu o zachwycie jednak nie mogło być mowy. – Nie wierzysz moim słowom? Nie wierzysz w to, że prawdziwym szczęściem jest wyglądać jak ty i że wszystkim dookoła powinnaś się chwalić swoimi atrakcyjnymi kształtami?

„Chwalić kształtami?! – pomyślałam z kpiną. – O czym ona, do cholery, mówi? Czym tu się chwalić i komu? Czyli że powinnam stanąć na środku szkolnego boiska i krzyknąć: «Słuchajcie – ważę jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów i jestem z tego dumna! Zobaczcie, jak moje pośladki cudownie falują!»”.

– To nie tak... – odparłam krótko, powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś więcej.

– A więc jak? Oświeć mnie, Katarzyno! – odrzekła sarkastycznie i bardzo stanowczo.

– Nie chciałabym psuć miłego nastroju – powiedziałam najbardziej słodko jak potrafiłam. – Może następnym razem o tym porozmawiamy?

– Natychmiast mi tu mów, co masz na myśli! Mnie się nie odmawia! – prychnęła. – Jak ty ją wychowujesz, Robercie?

– Katarzyno? – rzekł ojciec tym swoim „wojskowym” tonem głosu, nieznoszącym sprzeciwu.

Rzuciłam kątem oka na moją matkę. Była spanikowana. Pobladła, przygryzała dolną wargę i nerwowo pstrykała palcami.

– Więc... – zaczęłam.

– Nie zaczyna się od „więc”, Katarzyno, a ty, Małgorzato, opanuj się z tymi palcami. Rozwalisz sobie stawy i kto będzie się zajmował moim bratem?

„Jakby to było najważniejsze! Cholerna egoistyczna siostrzyczka!”

– Skoro mam powiedzieć, co tak naprawdę myślę, to już mówię!
– Mój ton głosu wbił ją w siedzenie. – Te twoje opowieści o tym, że dużo kilogramów to dużo radości, że jak się ma trochę z prawego boku i trochę z lewego, to wtedy się jest prawdziwą kobietą, to... to jest największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam! Największa! Przez te cholerne kilogramy mam ze wszystkim problemy! Ze wszystkim! W szkole nie mam żadnych przyjaciół. Wszyscy mnie wyśmiewają, nazywając mnie lochą, świnia i baleronom! Miłe, co? Powód do dumy, co? Nienawidzę swojego ciała, nienawidzę siebie za to, że doprowadziłam się do takiego stanu. NIE-NA-WI-DZĘ! I wiesz, co? Jestem na diecie!

– Na... diecie? – wydukała ciotka, wyglądając, jakby usłyszała coś szokującego.

– W przeciwieństwie do mojej matki, która nigdy nie musiała być na diecie, ja odziedziczyłam gen obżarstwa po ojcu i jeśli chcę wyglądać jak człowiek, muszę przejść na dietę, muszę ćwiczyć i w ogóle muszę inaczej żyć.

– Chcesz... schudnąć? – zapytała z przerażeniem.

– Już schudłam i chcę schudnąć jeszcze prawie trzydzieści kilo!

– Trzydzieści? – Ciotkę dosłownie wbiło w krzesło.

– Tak, trzydzieści! Jem teraz dużo mniej. Myślisz, że dlatego twoje koty tak do mnie lgnęły przy stole? Na pewno nie dlatego, że mnie lubią. Rzucalam im większą część z tego, co mi wladowałaś na talerz.

Ciotka złapała się za brodę i zaczęła nerwowo oddychać.

– Małgorzato, nalej mi czegoś – wysapała.

– Soku?

– Nie bądź głupia! Koniaku! Tam, w kredensie.

Matka trzęsącymi się rękoma nalala bursztynowego napoju do pękatego kielicha, a ciotka jednym haustem wypila całą jego zawartość.

– Jak mogłeś do tego dopuścić, Robercie? – zapytała w końcu.

– Ja? Te sprawy mnie nie dotyczą.

– No, skoro dzieją się pod twoim dachem, to chyba ciebie, do cholery, dotyczą? – odparła, a ja w głębi duszy przytaknęłam jej ten jeden jedyny raz.

„Tak, tato, tak, jestem twoją córką, więc to ciebie dotyczy jak diabli!”

– Jak mam niby zauważyć, że ona schudła? Przy takiej masie trudno coś dostrzec – rzekł nieszczercze ojciec, a ja poczułam ukłucie w sercu.

– Nie jestem żadną masą, ojcze! Mam ciało, któremu dałeś na imię Katarzyna! Mam ręce, nogi i całkiem sprawny mózg, który nie najgorzej rozumuje. Nie chcę już dłużej wyglądać jak monstrum, dlatego zapisałam się na terapię dla grubasów, o której doskonale wiedziałeś!

W tym momencie zrozumiałam, że posunęłam się za daleko.

– Robercie?

– To nie moja wina...

– Oczywiście, że nie twoja, nigdy bym ciebie o takie bzdury nie podejrzewała. To twoja wina, Małgorzato!

Patrzyłam na ciotkę i czułam, jak wzbiera we mnie złość. Miałam ochotę wziąć ze stołu karafkę z wodą i chlusnąć jej prosto w twarz. Zamiast tego odchrząknęłam, czym już wzbudziłam spore zdziwienie i zbliżyłam się do Matyldy.

– O co ci chodzi? – wyrzuciła natychmiast ciotka, a ja poczułam,

jak złość jeszcze bardziej we mnie wzbiera.

„A niech to! Raz się żyje!”

– Mnie? Mnie zupełnie o nic nie chodzi, ale widzę, że ty masz problem! – rzekłam, a ciotka z wrażenia usiadła. – Moje odchudzanie to moja sprawa, nikogo innego. Ani matka, ani ojciec nie mają z tym nic wspólnego.

– Ale po co ci to, Katarzyno? Chcesz wyglądać tak samo beznadziejnie jak twoja matka?

– Moja matka nie wygląda beznadziejnie! Jest piękną kobietą. – Spojrzałam kątem oka na mamę, której spanikowana twarz nabrała buraczanego koloru. – Co więcej, powiem, że chciałabym wyglądać tak jak ona, to znaczy ważyć te pięćdziesiąt kilka kilogramów, i nigdy nie być grubasem!

Ciotka zapowietrzyła się, a po chwili zaczęła głośno sapać.

– Co to za ton? To mnie obraża! Robercie... zrób coś z tym!

– Przecież to prawda! Od prawdy nie uciekniesz, nawet jakbyś zrobiła i tysiąc charytatywnych aukcji, akcji czy czego tam jeszcze! Mam dosyć przymilania się tobie! – rzuciłam stanowczo, odwróciłam się i nie patrząc na rodziców, skierowałam się do pokoju, żeby zebrać swoje rzeczy.

Kiedy się pakowałam, słyszałam, jak ojciec uspokajał swoją siostrę, a matka tłumaczyła, że przez tę dietę coś się ze mną dzieje, że jestem nadpobudliwa i że myślę nieracjonalnie. Wykazała się sprytem ta moja matka, nie ma co! Nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś szczerze zwalał na dietę, ale niech jej tam!

Próbowałam wymknąć się do garażu, aby nie mieć kontaktu z ciotką, ale ona, jak zwykle zresztą, okazała się najprzebieglejszą z przebiegłych i stała u drzwi wyjściowych, niczym więzienny wartownik.

– Słucham! – syknęła w moją stronę.

– Do widzenia – odparłam, choć przez chwilę wahałam się, czy nie powiedzieć raczej „żegnaj”. Wiedziałam jednak, że wtedy miałabym już zupełnie przechłapane.

– Tylko tyle? – zapytała, a ja w myślach wykrzyczałam w jej stronę: „Tylko tyle, ty wielki pulpecie, zadufany w sobie, swoich kotach

i falbankach”. Ugryzłam się jednak w język, bo za plecami usłyszałam hałas. Stali tam moi rodzice: matka – poważnie wystraszona, a ojciec – wściekły, żeby nie powiedzieć gorzej.

– Przepraszam – wycedziłam.

– Tylko tyle? – ponowiła.

– Przepraszam, ciociu – wypowiedziałam z trudem.

Jej twarz zalał szeroki, triumfalny uśmiech, należący do tych z serii: „Zgadnij, kto wygrał, cieniasie?”.

– Wybaczam ci, bo wiem, że to wina tej cholерnej diety! Sama widzisz, że to największe zło z możliwych. Człowiek, który się odchudza, zupełnie głupieje i traci zdolność zdroworozsądkowego myślenia. Mam nadzieję, że zmądrzejesz, dziecino.

– Zmądrzeję na pewno – odrzekłam przewrotnie, mając na myśli zupełnie co innego niż ciotka.

– Dziękujemy za miły pobyt, Matyldo – wtrąciła się matka, skutecznie zamykając mi usta.

– Właśnie, Matyldo, to była świetna partyjka pokera – dodał ojciec.

– Może niedługo to powtórzymy?

Przeszedł mnie dreszcz, a w mojej głowie słowo „NIE” odbijało się nieskończenie wiele razy.

– Oczywiście, że powtórzymy. Najpewniej już niedługo w Zakopanem.

– Racja, w Zakopanem.

– Przed wyjazdem mam jednak jeszcze mnóstwo przygotowań do styczniowego balu charytatywnego na rzecz rannych w czasie misji wojskowych. Ileż to wyzwań, ileż ustaleń! Trzeba naprawdę wykazać się nadzwyczajną inteligencją, aby temu wszystkiemu sprostać.

Ciotka gderwała o swoim balu jeszcze przez chwilę i skończyła tylko dlatego, że zadzwonił jej telefon.

– Ooo! – powiedziała z podnieceniem, patrząc na wyświetlacz, co zapewne miało nam uświadomić, że dzwonił ktoś ważny. – To sam Ludwik Kowalski, ten generał!

13. Dziwne wrażenie szczęśliwości

Gdy znalazłam się z powrotem w swoim pokoju, natychmiast odpaliłam komputer. Myślałam tylko o mejlu, który dostałam wczoraj. Nic na niego nie odpisałam, bo nim się odważyłam, wyjechaliśmy i po prostu nie zdążyłam, a u Matyldy nie miałam głowy do sklecenia czegoś sensownego. W drodze powrotnej w myślach wykaligrafowałam jednak

odpowiedź: „Witaj, Maks! Jest kilka powodów, dla których odpowiedziałam na twój list. Po pierwsze, byłabym skończoną idiotką, odmawiając kontaktowania się z chłopakiem, który tak niecodziennie, rzekłabym – ekscentrycznie, do mnie mówi. Słowo «Kasia» jest zupełnie obce mojemu słownikowi imion własnych. Po drugie, nie mogłabym nie odpowiedzieć chłopakowi, który całkowicie bezinteresownie chce ze mną rozmawiać i na dodatek uważa mnie za osobę inteligentną. Nigdy nie wątpiłam w swój umysł, ale słyszeć to z ust innych osób jest miłe, nie powiem. Po trzecie, do końca swoich dni nie dawałoby mi spokoju, gdybym nie porozmawiała z tobą, gdyż jesteś facetem, który mnie widział i: a) nie uciekł, b) nie padł ze śmiechu, c) nie dostał zawału. No to jestem, Maks! Kaśka (nazywana także Kacha, Key, Kasieńka, ewentualnie, ale absolutnie niechętnie, Katarzyna; Kasia – Twoja wersja mojego imienia – to zdecydowanie najrzadziej spotykana forma)”.

Oczywiście mejla o takiej treści nigdy nie wystukałam, zamiast tego szybko sprawdziłam swoją pocztę. Mnóstwo śmieci, wiadomość od Zochy i...

– Jest! – krzyknęłam.

@ 20.12.2013, 22:10

Od: Max

Do: Key

Temat: Pusto tu...

Nie ma cię, Kasiu.

Rozumiem.

Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

Maks

– Cholera, cholera, cholera! – wybuchłam.

Przecież nie tego chciałam, nie tak miało być! Nie tak! Ale z drugiej strony, czego oczekiwałam, co on mógł sobie o mnie pomyśleć? Przecież nie odezwałam się do niego nawet słowem, przecież nie napisałam mu: „TAK, TAK, TAK!”, przecież...

Natychmiast kliknęłam „odpowiedz” i zaczęłam zastanawiać się, jak rozpocząć.

– Kasieńko, telefon! – Usłyszałam głos matki. – Zosia!

Podeszłam do obklejonej wycinkami z gazet szafki nocnej

i podniosłam czerwoną słuchawkę.

– Hej! – zawołałam na powitanie. – Co tam u ciebie?

– Raczej co tam u ciebie? Chciałam do ciebie wcześniej zadzwonić, ale nie mogłam, bo znowu mam szlaban na komórkę. Ale to nieważne! Mów natychmiast, czego on od ciebie chciał. – W głosie Zochy wyraźnie brzmiało podniecenie.

– Ale kto? – zapytałam głupio, choć z tonu przyjaciółki wnioskowałam, że w jakiś niemożliwy do pojęcia dla mnie sposób dowiedziała się o Maksie.

– Jak to kto? Ten chłopak od ciebie, Maks. Wczoraj, po treningu, jak odbierał swojego brata, podszedł do mnie. No, wiesz, byłam w szoku, totalnie i cała zrobiłam się czerwona. Musiałam strasznie śmiesznie wyglądać... Cholera...

– Zocha! Skup się!

– Dobra, dobra! No więc, podszedł do mnie i nawijał coś o jakichś sprawach, co nie mogą czekać do następnej sesji. No w każdym razie chciał namiar na ciebie. Dałam mu, nie gniewasz się?

– Namiar na mnie? – zapytałam. Wcześniej w ogóle nie zastanawiałam się, skąd Maks wziął mojego mejla.

– No tak! Mejla mu dałam! Co on od ciebie chciał?

– Chciał pogadać. Przysłał mi wiadomość.

– I co?!

– I nic. Nim zdążyłam mu odpowiedzieć, stary wywłókł nas do ciotki.

– O, kurczę!

– Totalna beznadzieja, jak zawsze.

– Jak wytrzymałaś?

– Nie wytrzymałam. Pokłóciłam się.

– Masz szlaban?

– Jakoś mi uszło.

– No, ale co z tym Maksem? Co za pilne informacje miał dla ciebie?

– Żadne. To znaczy o żadnych mi nie pisał. Chciał ze mną pogadać.

– Pogadać?

– Tak. Napisał, że mam super głos!

– Co?!

– No... I jeszcze kilka innych rzeczy. Prześlę ci mejla, to sama przeczytasz.

– Wyślij natychmiast! A co mu odpisałaś?

– Jeszcze nic.

– Jak to nic?! Pisz do niego natychmiast! To przecież niezłe ciacho, a to, jak na mój orzeszkowaty mózg, dość niecodzienna sytuacja. Nie rozumiem, najpierw wpatrywał się w ciebie. Co ja mówię? On po prostu pożerał cię wzrokiem! Potem do ciebie napisał i na dodatek chciał z tobą pogadać, a ty go olałaś?

– Nie, no jasne, że nie!

– To bierz się do pisania! I natychmiast wyślij mi jego mejla!

– Się robi, pani Apodyktyczna do Bólu! – wyrecytowałam i wybuchłam śmiechem, prowokując Zośkę do tego samego.

– Ciao, Key! – odparła w końcu.

– Ciao!

W sumie chyba łatwiej byłoby mi porozmawiać z Makssem niż cokolwiek do niego napisać. Myślałam nad jakimkolwiek tekstem z dobre pół godziny i nic mi do głowy nie przychodziło. Nic, co by było na tyle dobre, abym mogła mu z czystym sumieniem wysłać. Żałowałam, że nie zapytałam Zochy, ale doszłam do wniosku, że jej rady byłyby mało przydatne, gdyż doświadczenie z facetami miała takie samo, co i ja, czyli zerowe.

– Kasieńko, kolacja! – usłyszałam głos matki zza drzwi.

– Kurde! Ani chwili spokoju w tym domu – bąknęłam do siebie.

– Mówiłaś coś?!

– Nie, już idę – odpowiedziałam, okazując zdziwienie, bo nie przypuszczałam, że moja matka miała aż tak dobry słuch.

Po chwili wróciłam z talerzem pełnym warzyw. Ojciec poszedł do garażu, więc mogłam bezkarnie zjeść wszystko u siebie.

Na monitorze cały czas wyświetlał się pusty mejl, którego jakoś nie potrafiłam wypełnić słowami. Wciągnęłam marchewkę i po rozgrzaniu palców wystukałam pierwsze litery.

@ 21.12.2013, 17:49

Od: Key

Do: Max

Temat: Małe spóźnienie

@ Maks,

Przepraszam, że nie odpisałam od razu, ale wyjechaliśmy ~~do durnej~~ ~~ciotki~~ i nie miałam jak ~~do Ciebie napisać, choć bardzo chciałam.~~

~~Uwierz mi jednak, że w myślach napisałam tysiąc wersji tego listu.~~

O czym chciałbyś rozmawiać?

K.

Kliknęłam i poszło. Serce waliło mi jak oszalałe, a ręce spocły się niemilosiernie. Jezu, co to były za emocje!

– Uspokój się, idiotko, bo zawału dostaniesz – szepnęłam do siebie, ale na niewiele się to zdało, bo oczekiwanie na odpowiedź wyraźnie potęgowało zdenerwowanie.

Zjadłam kolejną marchewkę i włączyłam MP4. Puściłam Pink i próbując opanować emocje, wsłuchiwałam się w tekst piosenki „Try”, która wyśmienicie pasowała do mojego nastroju. Pogłodziłam ją i zaczęłam wykonywać przesadne wygibasy w jej rytm, starając się tworzyć jakieś choreograficzne układy. Przez chwilę czułam się bosko, jakbym była w innym świecie. No w sumie to jak miałam się czuć, kiedy jakiś facet się mną interesował? I w dodatku facet, któremu zależało na tym, żeby ze mną pogadać? I który mnie widział i nie spanikował?

– O, cholera! A może to jakiś zboczeniec? – zaczęłam głośno analizować. – Jakiś obłąkaniec, co szuka sobie ofiary, żeby ją rytualnie pokroić na plasterki? Są przecież tacy. No chociażby „Dexter”... Cholera, u mnie byłoby co kroić... Przeróżające. Nie mogę tak myśleć. To normalny chłopak, i basta!

Kiedy ponownie sprawdziłam pocztę, zamarłam, bo zobaczyłam odpowiedź.

@ 21.12.2013, 18:07

Od: Max

Do: Key

Temat: O, rety!!!

Droga Kasiu!

Jezu! Znowu „droga” i znowu „Kasiu”?

@ Tak się cieszę, że jesteś, że odpisałaś, że chcesz ze mną rozmawiać (bardzo spodobało mi się to słowo z twojego mejla).

Pytasz, o czym chcę rozmawiać... O wszystkim, bo wydaje mi się, że z tobą mogę.

Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś! Super!

Co to za chłopak? Nigdy nie widziałam, aby się cieszył z czegokolwiek... Cholera...

@ Uśmiechasz się teraz? Na pewno. Ty dużo się uśmiechasz. Ja się uśmiechałam? On chyba mnie z kimś pomylił...

Oderwałam się na chwilę od mejla, bo dręcząca myśl, że mógł mnie z kimś pomylić, nie dawała mi spokoju. Kurczę, w grupie są przecież dwie Kaśki. Cholera!

@ Lubisz czytać? Ja uwielbiam. Poczytałbym ci coś, choć moim marzeniem byłoby, abyś to ty mi poczytała. Już ci mówiłem, że masz świetny głos.

Miłego wieczoru, Kasiu!

Maks

PS Przepraszam, jeśli jestem zbyt wylewny, ale jakoś ręka mi się rwie do pisania, a nie mam zwyczaju kasować swoich myśli. Uważasz, że to głupie?

Całkowicie pochłonięta słowami Maksa, wczytywałam się w nie bez końca, nie wierząc w ich realność. Były takie niezwykłe, takie niedzisiejsze. Przecież pasowały bardziej do jakiegoś brytyjskiego romansidła z przełomu XVIII i XIX wieku, a nie do korespondencji w dobie Internetu. Zresztą z żadnym facetem nie miałam jeszcze tak zażyłych relacji, więc o czym ja w ogóle mówiłam. Nie mogłam uwierzyć, że ten zimny, zamknięty w sobie Maks z jakichś niejasnych powodów zapragnął mnie poznać. To było bardzo zaskakujące, ale również i ekscytujące.

– No dobrze, panie Maksymilianie – powiedziałam uroczyście i szeroko się uśmiechnęłam. – Skoro panu na tym zależy, porozmawiajmy!

@ 21.12.013, 18:24

Od: Key

Do: Max

Temat: Lubisz słowo „cieszę się”?

Maks,

Mnóstwo pytań zadałeś, ale postaram się na nie odpowiedzieć i choć po części zaspokoić twoją ciekawość.

@ Czytanie. Uwielbiam czytać i czytam dużo, niezależnie od gatunku. Bardzo lubię słuchać, gdy ktoś czyta, ale lubię też czytać innym. Chętnie ci poczytam. Ponoć czytam bardzo obrazowo i barwnie (tak mawiają moi mali słuchacze – mam dwóch kuzynów nicponiów, którzy czasami trafiają pod moje skrzydła). Nie czytam katalogów i instrukcji obsługi, bo nie wyczuwam w nich emocji, które pozwalałyby unosić się gdzieś tam, hen-hen. Kiedy czytam, lubię w tle słuchać muzyki. Zwykle muzyki filmowej, którą absolutnie uwielbiam. Też lubisz?

Uśmiechanie. Nie uśmiecham się zbyt często, choć przyznam, że na terapii byłam dziwnie szczęśliwa i po prostu uśmiech sam wciskał się na moje usta.

Rozmawianie. Co znaczy „rozmawiać o wszystkim”?

~~Dziękuję za życzenia miłego wieczoru, ale ten wieczór dzięki Tobie jest po prostu nadzwyczajny.~~

Też życzę ci miłego wieczoru.

K.

PS Wylewność to jedna z moich ulubionych cech u mężczyzn, więc jeśli chcesz ze mną rozmawiać, nigdy się nie ograniczaj, bardzo proszę.

PS 2 Wiesz, że na terapii są dwie Kaśki? Na pewno jestem tą, o której myślałeś?

Po napisaniu przeczytałam wiadomość chyba z dziesięć razy. Oczywiście miałam mnóstwo wątpliwości, typu: „Czy aby nie jestem zbyt otwarta? Czy nie przesadzam? Czy mnie opacznie nie zrozumie?”. Po wyrzuceniu niektórych fraz, postanowiłam jednak nie zmieniać niczego więcej. On przecież też był bardzo otwarty w swoim liście i tak cudownie wylewny. Kliknęłam „wyślij”.

– Po ptakach – mruknęłam, zagryzając dolną wargę.

Zacząłam nerwowo stukać paznokciami w blat biurka i raz za razem sprawdzałam pocztę. Bałam się, że źle odczyta to, co do niego napisałam. Bałam się, że uzna mnie za wariatkę. Najbardziej jednak drżałam o to, że odpisze, że się pomylił i że rzeczywiście nie jestem tą Kaśką, o której myślał.

Pogłośniłam muzykę.

– Kasieńko? – W drzwiach zjawiła się matka. – Coś się stało?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Ścisz trochę, ojciec zaraz wróci, a wiesz, jak go denerwuje głośna muzyka.

Prawda była taka, że mojego ojca wszystko denerwowało: zbyt głośna muzyka, zbyt gorąca kawa, za słodka herbata, za chłodna zupa, za ciasne skarpety i za luźne podkoszulki... Malkontent jakich mało.

– Dobra – powiedziałam, ścisząc nieznacznie.

– Ojciec nie jest złym człowiekiem, córeńko. On się o nas troszczy, wiesz?

– Być może, ale dziwnie to okazuje. Nie uważasz?

– Ojciec ma swój charakter. Nie zmieni się już. Ale musisz pamiętać, że wiele dla nas zrobił. Bez niego nie poradziłabym sobie.

– Tego nie wiesz – odparłam zadziornie.

– Wiem, kochanie, wiem.

– Dlaczego go bronisz?

Matka zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Po chwili podniosła na mnie wzrok i westchnęła.

– Jesteś mądrą dziewczyną i jesteś dobrym obserwatorem, ale pamiętaj, że każdy pewne sprawy widzi inaczej.

– Niektóre rzeczy są oczywiste – odparłam, a matka uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie, jakby dokonała jakiegoś wiekopomnego odkrycia.

– No właśnie, pewne rzeczy są oczywiste! Ćwiczyłaś dzisiaj?

– Jeszcze nie – odpowiedziałam, czując karcącą nutę w pytaniu matki.

– A zamierzasz?

– Za pół godziny.

– Co dziś robisz?

- Orbitrek, brzuski i... – Skrzywiłam się. – ...zestaw na nogi.
- Zawołaj mnie, poćwiczę z tobą.
- Dobrze.

Kątem oka zerknęłam na monitor i zobaczyłam, że pojawiła się jakaś wiadomość.

– Czekasz na mejla?

– Tak.

– Pewnie od Zosi?

– Tak – skłamałam, bo nie chciałam wtajemniczać matki w coś, o czym sama niewiele wiedziałam.

– Widzimy się za pół godziny? – upewniła się.

– Zawolałam cię – odparłam zdawkowo.

Matka nie zdążyła jeszcze zatrzaskać za sobą drzwi, kiedy ja już otwierałam wiadomość od Maksa.

@ 21.12.2013, 18:40

Od: Max

Do: Key

Temat: Rzeczywiście lubię słowa „cieszę się”. A ty?

Droga Kasiu!

No i będę się powtarzał. Cieszę się, że rozmawiamy, cieszę się, że napisałaś, cieszę się z wielu powodów. Z tego powodu, że się teraz uśmiechasz, też się cieszę! Bo uśmiechasz się, prawda?

Jasne, że tak! Myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi z powodu tych jego kilku słów. Z radości, z podekscytowania, z niedowierzania. Zaczęłam chichotać. Szczerze mówiąc, chichotałam jak głupia.

@ Bo ja śmieję się jak głupi.

Rety! On też?

@ Nie wiem dlaczego, ale wszystko mnie cieszy. Cieszy mnie na przykład to, że lubisz czytać, i to, że inni lubią, kiedy ty z lubością im czytasz (nie wątpię, że są zafascynowani twoim głosem!).

Z lubością? Kto w dzisiejszych czasach używał jeszcze takich słów? To nie może być ten Maks! To nie może być żaden facet!!!

@ Cieszę się, że czytając, wzruszasz się, bo zawsze myślałem, że coś ze mną jest nie w porządku, skoro ja właśnie tak się czuję.

Mamy ze sobą tyle wspólnego! Na przykład słuchanie muzyki. Też

uwielbiam muzykę filmową, przede wszystkim Hanza Zimmera – znasz jego utwory? Bajeczne. No i Lisa Gerrard. Ale prawie nikt z moich znajomych tego nie słucha.

Jeżu, ja ich słuchałam! Przecież to jest najlepsza filmówka, jaką znałam!

@ Miłego wieczoru (ponownie, a co mi tam)!

Maks

PS Generalnie nie jestem wylewny. Raczej należę do tych małomównych, co pewnie zauważyłaś, ale czasami, gdy się cieszę (!), ponosi mnie!

PS 2 Zawsze jestem świadomy, z kim rozmawiam. Nie mógłbym pomylić Ciebie z jakąkolwiek inną osobą, nawet gdyby w grupie były tylko dziewczyny o imieniu Kasia.

Zupełnie ogłupiała, gapiałam się w monitor i spijałam słowa Makska. Nie bardzo mogłam się w tym wszystkim połapać. To było tak różowe, że aż kłuło w oczy. Za nic w świecie nie pasowało mi do portretu wyniosłego Makska, nazywanego „Panem Tajemniczym”, jaki zdążyłam już sobie wyrobić. W pewnym momencie zaczęłam się nawet zastanawiać nad tym, czy on sobie ze mnie nie żartował, czy nie naigrawał się. Rozważałam i to, czy nie założył się z kumplami, że mnie omota, a później publicznie ośmieszy.

Wstałam od komputera i otworzyłam okno. Rześkie wieczorne powietrze smagało moją twarz. Było na tyle przyjemnie, że oparłam się o parapet i wyglądęłam na ulicę. Sąsiad z naprzeciwka siłował się z furtką, próbując naprawić toporną klamkę. Przeklinał przy tym siarczyście i na tyle donośnie, że rozpoznawałam wypowiedane przez niego słowa bez problemu. Nagle tuż obok niego pojawiła się starsza kobieta, której nigdy tu nie widziałam. Wyglądała nieco śmiesznie w fioletowym, mocno opinającym jej ciało stroju z cekinami, żółtych butach w brązową panterkę i srebrnej czapce, spod której wystawały długie blond włosy po nieudanej fioletowej płukance. Nie miałam pojęcia, skąd się tu wzięła. Faktem było, że stanęła przy sąsiedzie i powiedziała do niego coś, co sprawiło, że przytaknął i przestał przeklinać. Potem zerknęła na mnie. Lekko uśmiechnęła się, dotknęła koniuszka nosa palcem wskazującym i poprawiwszy sobie czapkę,

pobiegła dalej. Poczułam, jak dreszcz przebiegł przez moje ciało i doznałam dziwnego wrażenia szczęśliwości. Nigdy wcześniej coś takiego mnie nie spotkało, coś tak nieoczekiwanego i na wskroś przesywającego. Patrząc na wysportowane ciało kobiety, które zniknęło z horyzontu, nagle zapragnęłam poćwiczyć.

– Samo się nie zrobi... – mruknęłam, kierując się do garderoby.

Wiedziałam, że czterdzieści minut na siłowni pozwoli mi odetchnąć od tego, co działo się w mojej głowie.

– Mamo, idę poćwiczyć! – zawołałam, kierując się w stronę pomieszczenia, w którym katowałam swoje ciało.

– Zaraz przyjdę – usłyszałam, ale byłam przekonana, że matka zjawi się dopiero za dobrą chwilę, bo najpierw musiała uporządkować kuchnię po kolacji, którą ojciec zdążył już zjeść.

Postawiłam wodę na krześle, ściągnęłam obcisłą bluzę i stanęłam przed lustrem. Piankowy strój, który miałam na sobie, sprawiał, że nie wyglądałam zbyt atrakcyjnie, jednak z tygodnia na tydzień na pewno coraz lepiej. Jeszcze miesiąc temu chciałam wynieść stąd to lustro, ale Penelopa powiedziała, że to absolutnie konieczne, aby na siebie patrzeć, aby uświadomić sobie, czego pragniemy się pozbyć i do czego nigdy nie chcielibyśmy wracać. W sumie się z nią zgadzałam i choć patrzenie nie sprawiało mi najmniejszej satysfakcji, to wiedziałam, że nie chciałam już nigdy więcej wyglądać tak jak wcześniej. Od pierwszego ważenia u Penelopy ubyło mi już czternaście kilo, z czego w głębi duszy się cieszyłam, ale jak to się miało do dwudziestu sześciu, które były przede mną? To prawie nic.

Aby nieco osłodzić przyglądanie się sobie w lustrze, poprzyklejałam na nim żółte kartki z napisami: *Waleniom wstęp wzbroniony*, *Otoczaki do (u)boju*, *Honorowi dawcy tłuszczu w akcji*, które zawsze powodowały, że było mi lżej i weselej. Najbardziej jednak lubiłam napis DZIAŁAJ!, który nakreśliłam grubym, różowym pisakiem, rażącym oczy nawet z dużej odległości. To było moje motto. Nie prowokowało mnie do śmiania się, ale motywowało do pracy. A tego, szczególnie na początku, potrzebowałam najbardziej.

– Do roboty, Key! – powiedziałam i po krótkiej rozgrzewce weszłam na orbitrek.

Na MP4 włączyłam sobie Jennifer Lopez, którą uwielbiałam, szczególnie na siłowni, i zaczęłam zmagania z własnymi ograniczeniami. Tak jak przypuszczałam, matka przyszła, kiedy robiłam już brzuszki, a raczej kiedy nieudolnie próbowałam oderwać plecy od maty.

– Jak tam? – zapytała.

– Yhm – wymruczałam, bo na więcej nie było mnie stać.

Po chwili, kiedy doliczyłam do trzydziestu, padłam, łapiąc powietrze.

– Pierwsza seria? – zapytała, próbując robić rozgrzewkę. Nie była w tym najlepsza, bo siłownia czy fitness to chyba ostatnie z rzeczy, na jakie dobrowolnie się zgadzała.

– I być może ostatnia – odparłam.

– Nie żartuj nawet! Muszą być trzy, przecież wiesz.

– Taaa... – powiedziałam i zabrałam się do drugiej trzydziestki.

Kiedy po czterdziestu minutach robiłam już ostatnie wymachy nogami, pot spływał mi z czoła, szyi, ramion, dosłownie z każdej widocznej i niewidocznej części mojego przydużego ciała. Byłam tak wykończona, że nawet ukochane piosenki już mnie nie pobudzały. Nie miałam sił na myślenie o czymkolwiek, poza odpoczynkiem.

– Jestem z ciebie dumna, Kasiętko – powiedziała moja matka, kiedy nieco uspokoiłam oddech i ugasilałam pragnienie.

– A z czego możesz być dumna? Z tego, że sapię, czy z tego, że dyszę? – zapytałam sarkastycznie.

– Oj, przestań. Jestem dumna, że chcesz coś zmienić i że nie odpuszczasz. Niedługo przestaniesz i sapać, i dyszeć. Zobaczysz!

– Wiem, ale to nie jest łatwe.

– Przecież nikt nie mówił, że to będzie łatwe, ale musisz to zrobić, póki jesteś młoda. Z wiekiem chudnięcie jest coraz trudniejsze.

– Wiem.

– No to skoro wszystko wiesz... – Matka uśmiechnęła się szeroko i podała mi rękę, abym mogła wstać. – ...to załatwione. O której jutro?

14. Czy ja mam na drugie Rozterka?

Nie otworzyłam skrzynki mejlowej ani w sobotę wieczorem, ani w niedzielę przed śniadaniem, ani przed gimnastyką, ani przed spacerem. Chciałam tego ogromnie, ale ze wszech sił powstrzymywałam się. Najnormalniej w świecie opanował mnie strach, całkowicie irracjonalny. Nawet jeśli Maks okazałby się oszustem, co szkodziło mi z nim porozmawiać? Czy w ogóle mogłam coś stracić? „Może naprawdę chciał pogadać? – rozważałam. – Może to normalny chłopak, najzwyczajniejszy chłopak? Może...”.

Odpaliłam kompa.

– Kasieńko, obiad! – Usłyszałam głos matki.

„Ależ ona ma wyczucie czasu!” – pomyślałam, choć wiedziałam, że najlepsze, co mogło mi się trafić przy odchudzaniu, to punktualna matka. Pięć posiłków co trzy godziny, nie mniej, nie więcej – to podstawowa zasada, choć w praktyce nie było to takie proste. Właśnie dzięki skrupulatności mojej matki udawało mi się trzymać harmonogramu diety, nawet w chwilach, w których w ogóle nie myślałam o jedzeniu.

Pośpiesznie sprawdziłam skrzynkę. Znalazłam dwa mejle od Zochy: jeden o tytule „WOW!!!”, a drugi – „Z jakiej on jest planety?”, kilka śmieci, newslettery i dwa mejle od Maksa.

– Yes! – krzyknęłam.

– Obiad! – Usłyszałam z dołu.

Nie zareagowałam na to jednak, bo owładnęło mną podekscytowanie.

@ 21.12.2013, 20:08

Od: Max

Do: Key

Temat: A ja tu czekam, a ciebie pewnie coś innego cieszy...

Kasiu!

Pewnie zajęta jesteś? Albo gdzieś wyszłaś ze znajomymi?

Jeżeli bym ich miała...

@ Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłem?

Wystraszyłeś jak diabli...

@ Odezwiw się.

Maks

I co ja miałam o nim myśleć? Że był... nietypowy, nieprzewidywalny? Wzięłam łyk wody mineralnej i otworzyłam drugi mejl.

@ 21.12.2013, 22:56

Od: Max

Do: Key

Temat: A jednak...

Wystraszyłem cię... Przepraszam, jeśli tak się czujesz. Jeśli będziesz miała ochotę, napisz, proszę.

Miłej nocy.

Maks

PS Mimo wszystko cieszę się z tych kilku zdań, które do mnie dziś nakreśliłaś.

PS 2 I mam nadzieję na więcej!

Poczułam się głupio, bo odniosłam wrażenie, że najzwyczajniej w świecie zależało mu na mojej odpowiedzi. A może zależało mu na mnie? „Nie bądź durna!” – zgałam się za zbyt optymizm, który nie miał specjalnego uzasadnienia. Do tej pory suma przeżyć miłosnych na moim koncie wynosiła bowiem okrągłutkie zero. Snułam co najwyżej marzenia o spotkaniu jakiegokolwiek chłopaka, który by mnie zaakceptował. Nawet nie śniłam o tym, że będzie się dopominał o kontakt ze mną, że będzie mu na mnie zależało. Kiedy tak nagle dostałam coś znacznie przerastającego moje fantazje, przeraziłam się.

Wróciłam raz jeszcze do mejla. Ten jego tęskny ton kłócił się z oschłym stylem bycia Maksa, z jego zdystansowaniem i surowym spojrzeniem. Nie pasował mi po prostu do niego. Zdążyłam go zaszufładować jako tajemniczego i mało komunikatywnego faceta. Intrygującego i pociągającego jak cholera, ale również niewrażliwego i niesubtelnego. Co innego wynikało natomiast z jego mejli.

„Czego on ode mnie chce? Po co do mnie pisze?” – pojawiało się w mojej głowie, jak mantra. Z jednej strony wietrzyłam podstęp, a z drugiej liczyłam na to, że ktoś, kto potrafił pisać w tak delikatny

sposób, nie mógł być skończonym, dwulicowym chamelem, wysyłającym mejle tylko po to, aby kogoś pognać, aby komuś dopiec.

Po obiedzie, który niemożliwie mi się dłużył, usiadłam przed komputerem z zamiarem wysłania czegoś do Maksa. Nie wiedziałam tylko, co miałam napisać. Udawać pewną siebie, otwartą na nowe znajomości z facetami? Hmm... Czułam, że jeśli zacznę kłamać, nic nam z tego nie wyjdzie. Postanowiłam więc napisać prawdę, tylko prawdę.

@ 22.12.2013, 15:20

Od: Key

Do: Max

Temat: Tłumaczenia

Wiesz, powinnam napisać wcześniej, ale jakoś tak wyszło, że... stchórzyłam.

Nie boję się rozmawiać, nie boję się ciebie, ale boję się, że robisz to dla ubawu moim kosztem. Nie wiem, dlaczego tak uważam, bo przecież nie dałeś mi żadnych powodów, abym myślała w ten sposób. Z drugiej strony, nigdy nie dałeś mi powodów, abym teraz mogła ci zaufać. Zawsze gdy na mnie patrzyłeś, miałam wrażenie, że mnie oceniasz, że mnie filtrujesz, nie wiem sama... Twój wzrok był taki nieodgadniony i przyznam, że nieco przerażający.

Ja po prostu nie chcę być jakąś tam ofiarą. Zdecydowanie wolałabym, aby to uczucie w relacjach damsko-męskich pozostało mi obce. Dlatego nie pisałam.

K.

PS Wystraszyłeś mnie jak cholera ~~bo nie co dzień zdarza mi się, że ktoś chce ze mną rozmawiać w tak otwarty sposób.~~

PS 2 Twoje „PS-y” są naprawdę nad wyraz i nadspodziewanie interesujące!

~~PS 3 Wolałabym, aby moje obawy okazały się idiotyczne...~~

Wysłałam i zaczęłam czytać wiadomości od Zochy. Nastrój poprawił mi się błyskawicznie, bo nadawała jak zwykle w tym swoim zabawnym stylu. Stwierdziła, że Maks to jakiś niesamowity wrażliwiec, z gatunku, jak to ona określiła, „całkowicie wymarłego na naszej

parszywej planecie”. Dodała jeszcze, że „takich jak on w dzisiejszych czasach spotykamy jedynie w powieściach romantycznych i historyjkach naszych babć, więc, stara, bierz się za niego, a jak nie chcesz, daj mi znać...”. Uśmiech przez dobrą chwilę nie schodził z moich ust.

– Wariatka – podsumowałam i sprawdziłam pocztę przychodzącą.

Niczego jednak nie znalazłam. Od razu przeszło mi przez myśl, że Maks nie będzie chciał niczego napisać, bo kto by się w końcu zadawał z taką rozchwianą emocjonalnie krejzolką jak ja. Tylko Zocha... Znowu się uśmiechnęłam, bo to najprawdziwsza prawda. Byłyśmy skazane na siebie. Dwie popaprane outsiderki...

Przez to niekończące się oczekiwanie, za nic nie mogłam znaleźć dla siebie miejsca. Czego się nie dotknęłam i tak myślami powracałam do skrzynki pocztowej i uparcie pojawiającego się pytania: „Czy już jest? Czy już jest? Czy już jest?”. Szperałam w Internecie, ale na żadnej stronie nie pobyłam zbyt długo, bo i tak co chwilę lądowałam w skrzynce mejlowej. Zaczęłam czytać nowego e-booka, jednak jakoś mi nie wchodził. Potem wzięłam się za przygotowywanie zaległego referatu, ale i tak nie byłam w stanie się do niego przyłożyć. Nic mi nie szło. Nic, bo przez cały czas myślałam tylko o mejlu od Maksa. „A może napisać do niego jeszcze raz? A może przeprosić go za durne zachowanie?” – roztrząsałam i w końcu zdecydowałam się wysłać kolejną wiadomość.

@ 22.12.2013, 15:59

Od: Key

Do: Max

Temat: Tłumaczenia cd.

Maks,

Mam nadzieję, że nie obraziłeś się na mnie i cisza z twojej strony to jedynie znak, że jesteś gdzieś poza siecią. Przeszło mi przez myśl, że teraz czerpiesz przyjemność z tego, że mi nie odpisujesz i że traktujesz to jako nauczkę, bo chcesz mi pokazać, jak to jest, kiedy się kogoś olewa. Przyznam, że to nie jest miłe uczucie i dodam, że wcale cię nie olewałam...

Mam nadzieję, że zrozumiałeś, dlaczego milczałam. Po prostu się bałam a co jak co, ale strach to najbardziej znienawidzone przeze mnie

~~uczucie.~~

K.

PS Czy ty aby na pewno nie jesteś jakimś pokręconym maniakiem? Kiedy już chciałam kliknąć, aby wysłać jeszcze „ciepłą” wiadomość, usłyszałam sygnał nadejścia mejla. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Szybko otworzyłam wiadomość i aż mnie zamurowało.

@ 22.12.2013, 15:58

Od: Max

Do: Key

Temat: Początki bywają trudne

Droga Kasiu,

Na te słowa zadrzałam. Znowu użył określenia „Droga Kasiu”. Zapłonęła we mnie nadzieja, że jednak wszystko było w porządku.

@ Wiesz, kiedy zjawiłaś się na terapii, od razu zwróciłem na Ciebie uwagę. Przez twój szeroki uśmiech, przez to, jak się czerwienisz, przez to, jak zjednujesz sobie ludzi, przez to, jak śpiewnie mówisz po włosku, zresztą przez wiele rzeczy, które od razu podpowiedziały mi, że jesteś inna. Cudownie inna.

Cudownie inna??? Co to znaczy?

@ Stąd mój wzrok, moje spojrzenie. Nie mogłem po prostu uwierzyć, że ktoś taki znalazł się na mojej drodze. Nie mogłem się oderwać od patrzenia na Ciebie. Jesteś idealną kompozycją współcześnie zanikających cech, więc dlatego tak bardzo chciałem z Tobą porozmawiać.

Zupełnie nie wiedziałam, co miał na myśli, pisząc „idealną kompozycją współcześnie zanikających cech”, ale było to bardzo miłe. Serce waliło mi jak szalone.

@ Kiedy zabierałem się do pisania pierwszej wiadomości do Ciebie, po niezbyt udanej rozmowie wigilijnej, miałem stracha. I to jakiego! Bałem się, że mnie wyśmiejesz, olejesz, że mi nawymyślasz... Nie wiem, dlaczego tak się bałem, ale tak było. Teraz boję się jeszcze bardziej, bo nie chciałbym Cię zawieść.

Może to dobrze, że oboje się boimy? Jak myślisz?

Wiesz, nie lubię kłamać. W zasadzie nigdy tego nie robię. Jeśli czuję, że nie ma wyjścia i muszę rozminąć się z prawdą, to wolę milczeć.

Kłamstwo jest dla mnie trudne do zaakceptowania, po prostu. Dlatego możesz być pewna, że nie okłamię cię, nawet gdybym czuł, że tak byłoby lepiej. To mogę ci obiecać.

Dziękuję!

@ Hmm... Nie jestem oszołomem, oszustem, kombinatorem, członkiem sekty, zboczeńcem, sadystą, szaleńcem (choć akurat w tym przypadku pewności stuprocentowej nie mam!), naganiaczem, zidiociałym małolatem, który chce zrobić ci kawał! Jestem zwyczajnym facetem, który chce pogadać. Tylko tyle i aż tyle.

Czy to dla ciebie wystarczająca deklaracja?

Maks

PS Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie wystraszę.

PS 2 Lubię „PS-y”. Są czymś, co tylko pozornie nie pasuje do pozostałej treści listu.

Znowu śleczalam nad jego mejlem, wczytując się w każde zdanie, jakbym co najmniej analizowała jakieś dzieło literackie. Miałam wypieki na policzkach, a mój oddech był co najmniej nieregularny. „Nie ekscytuj się tak, bo zemdlejesz!” – zganiałam siebie w myślach, choć na nic się to zdało, bo emocje rozpięły mnie do granic wytrzymałości.

Kiedy chciałam zacząć pisać odpowiedź, nieopatrznie wysłałam poprzednią, którą dopiero co skrobnęłam.

– O cholera! – krzyknęłam. – Cholera! Cholera! Cholera!

– Coś się stało? – Usłyszałam głos matki.

– Nie, nic! – odpowiedziałam, choć tak naprawdę powinnam krzyknąć, że znowu spartoliłam coś fajnego.

Było mi głupio i jedyne, co przyszło mi do głowy, to udać się na siłownię, na przyspieszone ćwiczenia. Nie był to najlepszy pomysł, bo przez cały czas czułam się piekielnie ociężała. Nie potrafiłam uwolnić się od przytłaczających mnie myśli, że głupim kliknięciem mogłam zniweczyć coś... coś tak nieoczekiwanego dla mnie, że aż wręcz niemożliwego.

Kiedy po niecałej godzinie wróciłam, wykapałam się i z przestraczem usiadłam do kompa, zastałam tam kolejną wiadomość od Maksa. Wzięłam głęboki oddech i otworzyłam ją.

@ 22.12.2013, 16:20

Od: Max

Do: Key

Temat: Całkiem ciekawe te tłumaczenia:)

Coś mi się wydaje, że ten mail powstał wcześniej niż moja przydługa odpowiedź. Wysłałaś go przez przypadek?

Jest świetny! Nazwę go „Kasia i maniakalny Maks”.

Cieszę się, że jakimś cudem ocalał (znowu się cieszę).

A co tam u ciebie?

Bosko! Już bosko!

@ Maks

PS Nie chciałbym się powtarzać, ale naprawdę nie jestem żadnym maniakiem. Wierzysz?

PS 2 Masz piękne imię, Kasiu. Proszę, używaj go zawsze.

Namiastka w postaci samotnej litery „K” nic nie znaczy i jest... jakaś taka smutna, czyli w ogóle do ciebie nie pasuje.

Uśmiechnęłam się sama do siebie, a raczej zaśmiałam się z siebie, przywołując w myślach ponadgodzinne rozterki, które mi towarzyszyły.

– Ale ja jestem szurnięta! – skarciłam się, prychając.

Zerknęłam na okno, za którym królowała granatowa połać, i zabrałam się do pisania.

@ 22.12.2013, 17:39

Od: Key

Do: Max

Temat: Jak niemaniak z niemaniakiem

Maks,

A więc dobrze! Twoja deklaracja niebycia maniakiem jest dla mnie chwilowo wystarczająca:)

Ze spraw zwyczajnych:

Rzeczywiście ten drugi list nie miał być wysłany, ale cóż... tak to już jest. ~~Totalna ze mnie niezdara komputerowa...~~

Jeszcze dwa dni temu nie pomyślałabym, że pisanie listów za pośrednictwem czegoś tak mało uduchowionego, jak komputer może być inspirujące i ekscytujące. A jednak!

Dziś na spacerze zamiast Pink, Muse czy czegoś równie energetycznego, nastawiłam muzykę filmową. Wybrałam „Angielskiego

pacjenta”. WOW! Jakie emocje! Znasz to? Bo ja uwielbiam i książkę, i film, i muzykę.

Ubóstwiam filmówkę za to, że nikt nie narzuca mi słów i sama mogę je wymyślić, a na dodatek za każdym razem inne, za to, że mówi tak wiele, za to, że pobudza wyobraźnię i zmusza do myślenia w niepowtarzalny sposób. Za wiele, wiele rzeczy...

Ze spraw nadzwyczajnych:

Kiedyś przeczytałam graffiti na murze: „Wolność zaczyna się tam, gdzie kończy się strach”. Nie czuć wolności to tak, jakby przestać oddychać, przestać marzyć, jakby pozwolić komuś zaciskać na gardle skorodowany drut... Okropne.

Mam swój mały świat, który nazywam Wolność. Tam czuję się swobodnie, tam nikt mnie nie nadzoruje, nikt nie odlicza czasu i nie każe robić absurdalnych rzeczy. ~~Czułbyś się tam dobrze, jestem pewna!~~

À propos strachu... Znam też taki „dobry” strach. To bardziej podekscytowanie i radość pomieszana z niepewnością. Jest pożyteczny, bo oznacza, że na czymś nam zależy. Cieszę się (oho, przeszło na mnie!), że odczuwasz to ~~w stosunku do mnie~~.

Co porabiasz?

Key

PS Przyjęłam twoją deklarację w odniesieniu do psychicznej zdrowotności, aczkolwiek... obejrzałam dziś „Milczenie owiec” (po raz enty), żeby jeszcze lepiej przyjrzeć się Hannibalowi i stać się ekspertem w rozpoznawaniu prawdziwego maniaka:)

Nieco wyluzowana i zadowolona z siebie, wysłałam wiadomość, by już po chwili dostać odpowiedź.

@ 22.12.2013, 17:49

Od: Max

Do: Key

Temat: Wiadomość dla specjalistki od rozpoznawania maniaków i innych podejrzanych typów

Droga Kasiu,

Rety! Znowu chciałem zacząć od zwrotu „cieszę się”, ale postanowiłem się powstrzymać, żebyś nie myślała, że jestem jakimś nadpobudliwym, uchachanym gościem, co niczego innego poza

cieszeniem się nie robi:)

Choć nie wiem o tobie jeszcze zbyt wiele, to jestem pewien, że niezwykle dużo nas łączy. Choćby i muzyka filmowa. Naprawdę niewielu moich znajomych rozumie, dlaczego jej słucham, a jeszcze mniej słucha jej w ogóle. A ty? Ty sięgasz po nią z tych samych powodów, co ja: bo tworzą się obrazy, bo za każdym razem można dopasować do niej takie słowa, które podpowiada serce, bo akurat ta muzyka daje nieograniczone możliwości dla wyobraźni.

Muzyki z „Angielskiego pacjenta” nie znam. Słyszałem o filmie, ale nie oglądałem. Ale skoro tobie się podoba... Aż mnie ręka korci, żeby poczynić zakupy w necie. I wiesz co? Chyba zaraz to zrobię!

Nie wierzyłam, że to się działo naprawdę, że to był ten sam Maks...

@ Pytasz o to, co porabiam... Uprzejmie donoszę, że dokładnie w tym momencie piszę list do pewnej dziewczyny, która nie tak dawno uważała mnie za maniaka bądź innego dość podejrzanego typu (zdaje się, że nadal za niego uważa?). Próbuję odgadnąć, czym karmi się jej dusza, podejrzeć jej myśli i pragnienia. I muszę przyznać, że to są wspaniałe poszukiwania...

Jezu, skąd on się urwał?!

@ Bardzo podobało mi się rozwinięcie tego, co nazwałaś „Ze spraw nadzwyczajnych”. Zresztą słowo „podobało” niezbyt tutaj pasuje. To było boskie! Jesteś bardzo wrażliwa, Kasiu, nie myliłem się. I zauważasz napisy na murach (a widzisz czasami takie w stylu: „Romek – masz świetny tyłek”?).

Strach to chyba jedno z trudniejszych do opanowania uczuć, zgadzam się, choć znam takich, którzy czasami lubią się czegoś pobać. Pewnie dla równowagi – trochę spokoju, trochę strachu.

Pokażesz mi kiedyś swój świat?

Jasne! Już! Zaraz! Natychmiast!

@ Przyjmuję twoją definicję dobrego i złego strachu za obowiązującą. A mówiąc całkowicie serio – pięknie to określiłaś. Nie zrobiłbym tego lepiej.

A ty co porabiasz? Czego teraz słuchasz?

Maks

PS Widzę, że jednak ani trochę nie przekonałem cię, iż żaden ze mnie maniak:) Może słusznie? Może... Obawiam się jednak, że twoja wiedza o poplątanych, wręcz niebezpiecznych obiektach płci przeciwnej jest zbyt ograniczona i powinnaś ją poszerzyć, analizując następujące postaci o psychopatycznych skłonnościach: budzący postrach nie tylko wśród niebieskich żyłatek Gargamel ze „Smerfów” i krwio pijca Tom z przerażającej opowieści „Tom i Jerry”! Mogą okazać się przydatne!

PS 2 Naprawdę nie możesz podpisywać się „Kasia”?

Nie byłam w stanie uwierzyć w to, co czytałam. Oczywiście, prześledziłam jego list linijka za linijką, niczym Sherlock Holmes, doszukując się ukrytych treści, jednak w przeciwieństwie do jednego z moich ulubionych powieściowych bohaterów nie znalazłam drugiego dna. Byłam za to prawdziwie podekscytowana tym, co pisał, ile pisał i w jakim stylu to robił. Nie pojmowałam tego, co się działo wokół mnie – zwykłej, najzwyklejszej Kaśki z grupy anonimowych grubasów. Nie mogłam ogarnąć, dlaczego w moim przeciętnym życiu zjawił się ktoś tak nieprzeciętny, tak nieoczekiwanie wrażliwy i dowcipny.

@ 22.12.2013, 18:10

Od: Key

Do: Max

Temat: Brzydactwa całkiem atrakcyjne, poproszę

Maks,

Masz już muzyczkę z „Angielskiego pacjenta”? Ja słucham jej dziś na okrągło. Jest bajeczna ~~i tak samo nieobliczalna, niesamowita i ekscytująca, co nasze dzisiejsze rozmowy~~. Obejrzyj też film – wstrząsająco cudowny. O książce nie wspomnę.

Wiesz, lubię podglądać świat i stąd mam sporo spostrzeżeń dotyczących tego, co nas otacza. Przyglądam się pięknym budowlom, idealistycznym monumentom, wspaniałym alejom i podziwiam architektów, którzy odnaleźli w sobie wrażliwość, pozwalającą im coś tak niezwykłego wykreować. Przyznam ci się jednak, że prawdziwą pasję wywołuje we mnie to, co z pozoru jest brzydkie, zniszczone, obdrapane, co wzbudza powszechną odrazę i niechęć. Potrafię w tym odnaleźć całkiem sporo piękna i czegoś nadzwyczajnego, blasku, który czasem usycha pod twardą skorupą brudu, kurzu czy farby. Lubię

graffiti, nie wszystkie, ale takie, w których jest jakaś treść, jakieś przesłanie. Twój przykład: „Romek – masz świetny tyłek” może nie jest zbyt filozoficzny, ale pobudza wyobraźnię (Hmmm... Mam wujka o imieniu Romek, ale coś mi się wydaje, że jego słuszny wiek skazuje jego tyłek na inne określenia) i prowokuje do uśmiechnięcia się. Często powracam do jednego z moich ulubionych graffiti, które ktoś wymalował na wiadukcie: „Gdzie byłbyś bez miłości? Nigdzie, bo przecież byś się nie urodził!”. Nie uważasz, że jest mocne? ~~Cieężko się żyje bez miłości przecież.~~

Czasami mówimy, że ktoś jest z innego świata. Ja bym powiedziała, że każdy z nas jest z innego świata, ale wiem też, że mamy w sobie sporo sił i determinacji, aby odnaleźć jakiś most, przejście, które nas połączy na chwilę, na dłużej, czasami na całe życie.

Wysyłam ci wirtualne zaproszenie do mojego świata. ~~Może tam odkryjesz więcej z tego, czym karmi się moja dusza, jakie mam pragnienia i myśli? Tak czy inaczej, z radością zezwalam na twoje poszukiwania:)~~

O rzeczach ważnych:

Nigdy nie lubiłam ćwiczyć i pewnie to sprawiło, że jestem w takim, a nie innym położeniu. Choć nie było to oczywiste, dojrzałam do przeświadczenia, że ćwiczyć muszę, bo chcę. Dietę też muszę trzymać, bo chcę. Wiem już, że dam radę tylko wówczas, gdy będę mocno zmotywowana. A teraz jestem. Czasami jest mi ciężko, nie chce mi się ćwiczyć, mam ochotę na pączka albo dwa, ale wtedy przed oczami staje mi Penelopa. Nie chcę jej zawieść, nie chcę zawieść siebie i mojej matki. Chcę wytrwać, żeby się sprawdzić, i mocno wierzę, że mi się uda!

Key

PS Dziękuję za wskazówki dotyczące postaci o psychopatycznych skłonnościach. Obie znam doskonale, ale przypomnieć sobie nigdy nie zawadzi.

PS 2 Wiesz, trochę czasu upłynie, nim przyzwyczaję się do imienia Kasia. Naprawdę nikt mnie ~~nim nie rozpieszczał~~ tak nie nazywał. Jeśli pozwolisz, zostawię ten przywilej tobie na wyłączność.

15. Wyjazd, czyli koniec świata

Kiedy o drugiej w nocy zbyt głośno zaczęłam odśpiewywać „Diamonds” Rihanny, do mojego pokoju wkroczył ojciec w swojej kraciastej flanelowej pidżamie.

– Katarzyno! – rzekł stanowczo, zachowując pokerową minę.

– Tak? – zapytałam niewinnie, jakbym zupełnie nie miała pojęcia, o co mogło mu chodzić.

Ojciec storpedował mnie wzrokiem, skutecznie gasząc mój radosny nastrój.

– Godzina?

Spojrzałam na zegarek, choć doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że jest środek nocy. Zimne oczy ojca i ściśnięte w cienką linię usta dawały jednoznaczną odpowiedź, co powinnam zrobić.

– Wiem, że jest późno, ale chciałabym to skończyć – odparłam krótko, zdając sobie sprawę, że mam nikłe szanse na ciągnięcie mejlowania z Maksymem.

Iloma wiadomościami się wymieniliśmy? Dwudziestoma? Trzydziestoma? Nie wiem, nie liczyłam, ale jestem pewna, że to był najlepszy wieczór w moim życiu, i czułam, że niestety wbrew mojej woli nieodwracalnie się kończył. Przypuszczałam też, że nie dam rady napisać do Maksa nawet słowa, bo za chwilę pewnie usłyszę od ojca: „Dwadzieścia siedem sekund” czy coś w tym stylu.

– Trzy minuty – powiedział.

– Czy ja naprawdę nie mogę mieć choć odrobiny swobody? – Oczy ojca stały się lodowate. – Muszę to skończyć! To jest bardzo ważne!

Powiedziałabym nawet, że to coś najważniejszego, co w moim życiu się dotychczas zdarzyło, jednak gdybym oświadczyła ojcu, że przez ten cały czas rozkoszowałam się korespondowaniem z pierwszym chłopakiem, który zapragnął nawiązać ze mną damsko-męską relację, dostałabym szlaban, a on mógłby skończyć z nitrogliceryną pod językiem.

– Dziesięć minut! – rzucił krótko.

Gdy tylko zamknął drzwi, wystukałam na klawiaturze:

@ 23.12.2013, 02:10

Od: Key

Do: Max

Temat: Późno albo wcześniej

Muszę kończyć.

Do dzisiaj.

Key

Uśmiechnęłam się i wyłączyłam komputer.

* * *

Rano obudziła mnie matka swoim rytualnym brzdękaniem w szklanki. Zerwałam się na równe nogi, bo wiedziałam, że jestem w niedoczasie. W łazience spojrzałam w lustro i ujrzałam podkrążone oczy oraz zapuchnięte powieki, które sprawiały, że moje niebieskie oczy zamieniły się w wąskie szparki.

– I jak ty dziś wyglądasz, Katarzyno? – zaintonowałam w charakterystyczny dla ojca sposób, po czym zaczęłam w błyskawicznym tempie doprowadzać się do porządku.

Kiedy zakładałam dzinsy, doznałam szoku. Takiego najprawdziwszego szoku, bo poczułam luz w pasie.

– Jezu, schudłam! – powiedziałam z niedowierzaniem, starannie przyglądając się kolejnym centymetrom szczęścia. – Dobra nasza, mała!

Choć wiedziałam, że nie powinnam tego robić, stanęłam na wadze i aż podskoczyłam, widząc na niej osiemdziesiąt sześć kilogramów!

To o kolejne cztery kilo mniej!

– Schudłam! – zakomunikowałam radośnie, kiedy zeszłam na dół.

– Cudownie! – odparła matka, podchodząc do mnie. Ojciec ani drgnął, zaczytując się w jakimś politycznym magazynie. – Gdzie?

– W pasie. Po ostatniej przeróbce spodni znowu mam luz! Zobacz!

– Pokazałam matce lekko odstające džinsy.

– Świetnie! No widzisz? Wszystko idzie dobrze. Niedługo będziesz miała dwudziesty kilogram!

– Mamo! Ja już prawie mam dwadzieścia mniej! Rozumiesz?

Matka spojrzała na mnie. Z ręki wypadła jej drewniana łopatka, której używała, przygotowując omlet dla ojca. Objęła mnie serdecznie i pocałowała w policzek.

– Będą i kolejne! Zobaczysz, całą czterdziestkę stracisz!

– Co straci? – niespodziewanie zapytał ojciec.

– Kilogramy, Robercie. Kasieńka znowu schudła. Cudownie, prawda?

– Aaa... – mruknął i nie patrząc nawet w moją stronę, powrócił do lektury artykułu dotyczącego przekrętów podczas ostatnich wyborów w jakimś afrykańskim kraju. – Katarzyno, wyjeżdżamy o dziesiątej. Nie spóźnij się.

– Co? – zapytałam, zupełnie nie pamiętając o tym, że dziś zaczyna się najpodlejszy dla mnie okres w roku.

– Wyjeżdżamy!

„Nie! Nie! Nie!”

– Nie chcę jechać! – powiedziałam w tak zdecydowany sposób, że ojca zamurowało.

Sama zresztą też byłam zaskoczona swoją postawą. Zazwyczaj przyjmowałam do wiadomości ojcowskie rozkazy i, nie zgadzając się z nimi wewnątrz, i tak się do nich stosowałam.

– To zupełnie bez znaczenia. Cała rodzina jedzie – odparł po chwili.

– Ale ja mam mnóstwo pracy, muszę się uczyć, robimy z Zośką projekt zaliczeniowy z włoskiego, przygotowuję się do konkursu z historii, no i niedługo matura! – broniłam się, choć od początku czułam, że byłam na straconej pozycji.

Gdyby jakimś cudem ojciec pozwolił mi zostać samej w domu, musiałby przez dwa tygodnie wysłuchiwać pouczających mów swojej wszechwiedzącej siostry Matyldy, a byłam przekonana, że za nic w świecie nie chciałby skupiać na sobie jej uwagi.

– Możesz się uczyć w Zakopanem.

– Ale ja potrzebuję spokoju! Nie potrafię się uczyć w hałasie, a poza tym mam osiemnaście lat i mogę decydować o sobie! – palnęłam, czując, że przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę.

Spodziewałam się najgorszego, jakiegoś krzyknienia, groźby czy walnięcia pięścią w stół, jednak zamiast tego ojciec obłaskawił mnie zaskoczonym spojrzeniem i odłożył gazetę.

– Kto by pomyślał... – zaczął, po czym uśmiechnął się, wprawiając w osłupienie i mnie, i moją wystraszoną matkę. – Jesteś żywą kopią Matyldy.

– Matyldy? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Ucieszy się moja siostrzyczka, kiedy jej powiem, że jednak masz swoje zdanie. Doskonale!

„Nie chcę sprawiać satysfakcji żadnej ciotce, a już na pewno ciotce Matyldzie! Chcę zostać w domu, do cholery jasnej!”

– Koniec dyskusji – wrócił do swojego rozkazującego tonu. Uśmiech znikł z jego twarzy szybciej, niż się pojawił. – O dziesiątej wyjazd! – zaordynował i ponownie schował się za gazetą.

„Tak jest, generale!”

Byłam wściekła na to, że wyjeżdżamy. Jak diabli! Akurat w tym momencie, kiedy dopiero co moje życie nabrało kolorów, kiedy pojawił się w nim Maks, kiedy tyle się zmieniło... Właśnie w takiej chwili miałam to wszystko zostawić i wyjechać na całe dwa tygodnie...

Gdy wróciłam do pokoju, najpierw szybko spakowałam torbę, a potem rzuciłam się do komputera. Znalazłam tam wiadomość od Maksa.

@ 23.12.2013, 02:12

Od: Max

Do: Key

Temat: Ktoś tu wykazał się racjonalnością

Spać czasem też trzeba.

Miłej nocy!

Do jutra!

Maks

PS To był cudowny wieczór i... poranek! Dziękuję ci!

Czytając jego słowa, nie mogłam uwierzyć, że ktoś tak niesamowity stanął na mojej drodze i trwał na niej ze mną, a co więcej, uważał nasz wspólny czas za cudowny i nawet mi za niego dziękował! „Dlaczego muszę wyjeżdżać? Właśnie teraz? – zarzucałam się pytaniami, które, oczywiście, musiały pozostać bez odpowiedzi. – Czemu ja mam takiego pecha?”.

@ 23.12.2013, 09:22

Od: Key

Do: Max

Temat: Absencja mimo woli

Maks,

Zupełnie wypadło mi z głowy, że już prawie święta. Dzisiaj wyjeżdżam na dwa tygodnie na rodzinny zjazd do Zakopca. Ciotka Róża, która jest chyba najnormalniejsza w mojej pokręconej rodzinie, ma tam pensjonat, który co roku okupujemy. Potencjalnie każdy by się cieszył z takiej możliwości, ale dla mnie to jest najgorszy czas w roku.

Key

PS Ja też ci dziękuję. I za wczoraj, i za dziś. ~~Nigdy czegoś takiego nie doznałam.~~

Wysłałam i czekając na odpowiedź, spakowałam wszystko to, co uznałam za pomocne w walce z zakopiańską niewolą. Odpowiedź od Maksa przyszła bardzo szybko.

@ 23.12.2013, 09:29

Od: Max

Do: Key

Temat: W świecie wirtualnym absencji brak

Droga Kasiu!

Zakopane to magiczne miejsce, w którym czas jakoś tak inaczej biegnie. Zobaczysz, że będzie fajnie, i po powrocie stwierdzisz, że to najlepszy, a nie najgorszy czas w roku!

Jakoś nie podzielałam jego optymizmu...

@ Jedź sobie spokojnie, a jak będziesz miała ochotę, napisz do mnie.

Przecież mieliśmy się spotkać! Przecież mieliśmy mieć naszą pierwszą randkę! Pomocy!

@ Wiesz, dziś rano obudziłem się z zapuchniętymi oczami, ale też z szerokim uśmiechem na twarzy. Dawno tak doskonale nie spędziłem wieczoru!

Jesteś wyjątkową osobą, Kasiu.

Do zobaczenia niedługo!

Maks

PS Jeśli pisząc o tym, że masz pokreconą rodzinę, chciałaś mnie do siebie zniechęcić, nie udało ci się! Nadal zamierzam uczyć się ciebie, niezależnie od wszystkiego...

Przeczytałam jego słowa błyskawicznie, zatrzymując się dłużej na ostatnim zdaniu, które jeszcze bardziej utwierdziło mnie w przekonaniu, że za nic w świecie nie chciałam nigdzie wyjeżdżać. „On zamierza uczyć się mnie, a ja muszę jechać? Do diabła!”.

@ 23.12.2013, 09:34

Od: Key

Do: Max

Temat: Na rodzinnych zjazdach wcale nie jest fajnie...

Maks!

To prawda, że Zakopane jest boskie! Nic do niego nie mam, tyle że mnie kojarzy się głównie z fatalnymi rodzinnymi zjazdami, których szczerze nie cierpię. Naprawdę nie chcę jechać! Uwierz mi, zgodziłabym się na złamanie ręki, grypę żołądkową, skręt kiszek, serię omdleń czy ropne zapalenie ucha, byle tylko zostać w domu.

O dziesiątej wyjeżdżamy na całe dwa tygodnie. ~~Nie wiem, jak ja to przeżyję?~~ Trzymaj za mnie kciuki.

Do zobaczenia.

Key

PS Użyłam zwrotu, iż mam pokreconą rodzinę, wcale nie dlatego, że chciałam cię zniechęcić do siebie. Do tego celu posłużyłabym się innym fortem lub, co bardziej prawdopodobne, byłabym po prostu szczerą.

~~PS 2 Wiesz, ten zwrot „uczę się ciebie” zabrzmiał niesamowicie! Bosko!~~ Uczysz się mnie? Co to dokładnie oznacza?

Kiedy kliknęłam „wyślij”, w pokoju zjawił się ojciec. Spojrzał na mnie surowo i zmarszczył brwi.

– Za dwadzieścia jeden minut wyjeżdżamy, a ty co?

– Kończę referat – skłamałam na poczekaniu, czując, że się czerwienię.

– To co ty robiłaś wczoraj?

– Wczoraj go zaczęłam. – Brnęłam dalej w perfidny wykręt.

Ojciec stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, wahając się, czy coś dodać do i tak przydługiej wypowiedzi, ale ostatecznie zakończył swoją kwestię cmoknięciem.

– Dziewiętnaście minut trzydzieści sekund.

„Nie chcę jechać!!! Ale będę co do sekundy!” – wyrzuciłam buntowniczo w myślach.

– Oczywiście.

Gdy zamknął drzwi, natychmiast sprawdziłam mejla. Tak bardzo liczyłam, że Maks coś napisze, cokolwiek, co osłodzi mi gorzki rodzinny wyjazd. Nie zawiodłam się.

@ 23.12.2013, 09:41

Od: Max

Do: Key

Temat: Kciuki zaciśnięte

Kasiu!

To, że nie będzie ciebie na święta, to najgorszy prezent, jaki mogłam dostać, ale może po prostu tak miało być. Nadrobimy wszystko po powrocie. Przecież to raptem dwa tygodnie.

Są przecież jeszcze komórki. Damy radę.

Maks

PS Szczerść... jest bardzo ważna.

PS 2 Uczenie się ciebie jest jak podróż w wymarzone miejsce. Tam nigdy nie ma nudy.

Nie mogłam uwierzyć w to, co czytałam. Który facet jest aż taki wrażliwy? Przecież to kobieta z natury jest romantyczna, a facet to ten rozsądny. „Kim ty jesteś, Maks?”.

Natychmiast zabrałam się do odpisywania, czując, jak z pośpiechu pocą mi się dłonie, a serce wystukuje rytm bardziej przypominający wezwanie do boju.

@ 23.12.2013, 09:49

Od: Key

Do: Max

Temat: Dwa ~~cholerne~~ tygodnie

Maks,

Muszę już lecieć. Niedługo napiszę.

Do zobaczenia wkrótce (~~pocieszam się...~~).

Key

PS ~~Jestem zauroczona~~ Podoba mi się twoja definicja uczenia się mnie. Bardzo.

Nie czekając na odpowiedź, choć coś mi podpowiadało, że otrzymałabym ją szybko, zerwałam się, aby sprawdzić, czy wszystko spakowałam. Nie mogłam o niczym zapomnieć, ani o ciuchach do trenowania, ani o eleganckiej sukience, którą musiałam wziąć na Wigilię, ani o kalendarzu od Penelopy, bo moja terapeutka poćwiartowałaby mnie za to, że w okresie największej jadłospisowej rozpusty nie dokonałam żadnych zapisków. Kiedy na zegarku wyskoczyła dziewiąta pięćdziesiąt dziewięć, zjawiłam się w garażu z torbą podróżną i plecakiem. Ojciec sprawdził czas i mlasnął.

– Niestety.

– Ale co „niestety”? – zapytałam, będąc pewną, że nie spóźniłam się.

– Niestety, matka się zapewne spóźni.

„Biedna mama...” – zdążyłam pomyśleć, gdy w tym samym momencie w drzwiach stanęła właśnie ona. W rękach trzymała torby, garnitur ojca i jakieś prezenty, misternie opakowane w czerwony papier.

– Jeszcze nie wybiła dziesiąta – stwierdziła z nutką satysfakcji w głosie, a ojciec potwierdził to gorzkim mruknięciem.

16. „Gruby” nie zawsze znaczy to samo

Zbliżając się do Pensjonatu u Róży, spodziewałam się najgorszego od samego początku i... nie zawiodłam się.

– Co wy jej, do cholery, zrobiliście?! – krzyknęła ciotka Matyllda na powitanie. – To... to niedopuszczalne! Chorą ją tu przywieźliście czy co? – trajkotała, nie czekając nawet na udzielenie odpowiedzi. – Podejdz no do ukochanej cioci – dodała i rozkładając szeroko ramiona, zmusiła mnie do wtulenia się w nią. – Diety... Już ja tu o ciebie zadbam.

Ostatnie jej słowa zabrzmiały tak słodko i złowieszczo zarazem, że aż mną wstrząsnęły.

– No, widzicie?! Widzicie?! Mrozu nie ma, a dziecko się telepie z zimna. Widzisz, do czego doprowadziłaś, Małgorzato? Ona bierze z ciebie przykład i wysycha. Mój ty słodki Boże! – Złapała mnie za policzki tak mocno, że zrobiła mi z ust kaczy dziób i patrząc prosto w oczy, dodała: – Bierz, dziecko, przykład z każdego w tej rodzinie, tylko nie z Małgorzaty!

Powiedziała to chyba w najbardziej sarkastyczny sposób, jaki umiała. Naszła mnie przemożna chęć, aby coś jej odszczeknąć, ale zaciśnięta na moich ustach pulchna dłoń ciotki blokowała mnie bardzo skutecznie. Gdy Matyllda poluzowała uścisk, zerknęłam na moją matkę. Była przerażona i biała jak kreda, a jej zaszklone oczy mówiły, że było jej przykro. Rzuciłam spojrzenie w stronę ojca, ale jego twarz, jak zazwyczaj zresztą, była kamienna i całkowicie nieprzenikniona. Poczułam narastającą wściekłość i warknęłam:

– Nikogo nie naśladowuję! I jeżeli miałabym brać przykład z kogokolwiek, to byłaby to właśnie moja matka!

Ciotkę zamurowało. Nerwowo spojrzała na swojego brata, który aż się zapowietrzył. Wujek Zygmunt wpatrywał się we mnie, ze zdziwienia unosząc brwi, kuzynka Amelia z wrażenia rozdziawiła usta, a ciotka Barbara wsparła się o ścianę budynku.

– No, tak. Tak, tak! To wszystko tłumaczy... – wydusiła z siebie po dobrej chwili Matylda i nabrawszy do płuc powietrza, wystrzeliła, używając swego „markowego”, dokazującego tonu głosu. – Widzicie, co powoduje to cholerne odchudzanie? Małgorzato, tylko spójrz, co dzieje się z twoją córką, do czego ją doprowadziłaś! To hańba dla naszej rodziny! – Złapała się za serce i dodała słodko w moją stronę: – Ale to nie twoja wina, Katarzyno, zupełnie nie twoja.

Po takim ostrym wstępie wydawało mi się, że już chyba nic mnie nie zaskoczy. A jednak... Kiedy na śniadaniu odmówiłam zjedzenia naleśników z twarogiem, śmietaną i cukrem, a potem pogardziłam tartą jabłkową, ciotka rozpętała istną burzę.

– Małgorzato! – Moja matka aż podskoczyła na swoim siedzeniu. – Jak mogłaś tak skrzywdzić naszą Katarzynę! Taka piękna była! A teraz? Przecież ona nic nie je. To mi wygląda już na zaczątki jakiejś choleryjnej bulimii czy anoreksji! A ty, Robercie?! – wrzasnęła w stronę mojego ojca. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Ja?

– No chyba to nadzwyczaj oczywiste, że mówię do ciebie, a nie do kuzyna Roberta, który siedzi na końcu stołu i bezmyślnie dłubie sobie w zębach.

Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast w stronę wspomnianego członka rodziny, a on, próbując maskować swoje napiętnowane zachowanie, ukrył się pod stołem, udając, że czegoś tam szuka.

– Robercie, co zamierzasz z tym zrobić?

– Ja? – powtórzył.

– Czy ty też się odchudzasz?

– Ja?

Ciotka uderzyła dłonią w stół.

– Co z tobą nie tak? Czy ja mówię niewyraźnie? Przecież moje pytanie jest klarowne, a kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, o co mi chodzi! W końcu jesteś MOIM bratem, a to zobowiązuje!

Ojciec uniósł brwi.

- No dobrze, a więc ja muszę tu zainterweniować. Będzie tak...
- Ciotka Matyllda wzięła głęboki oddech i gdy już chciała zacząć swój wywód, wyrwałam się przed nią.
- Nie chcę żadnej interwencji! Mnie jest teraz lepiej!
- Katarzyno! – rzucił twardo ojciec.
- Nie, nie! – zaoponowała Matyllda, uśmiechając się sarkastycznie.
- Daj jej mówić. Ona myśli, że jest dorosła, że wszystko wie. No...
- Zwróciła się do mnie. – Mów, Katarzyno, mów!
- Nie mam do powiedzenia nic poza tym, że naprawdę czuję się lepiej. Dieta mi służy.
- Typowe! – Zaśmiała się teatralnie. – Na diecie tak się ponoć mówi, bo w omamach, powodowanych niedostatkami tłuszczu, białek i tych, no, węglowodanów, różne rzeczy wydają się całkiem inne niż w rzeczywistości.
- Mnie się nic nie wydaje! Mnie naprawdę jest teraz lepiej. Chcę i będę się dalej odchudzać!
- Ale po co ci to? – zapytała, nieco tracąc rezon.
- Nie chcę już kiedykolwiek być gruba!
- A skąd ci przyszło do głowy, że byłaś gruba?
- Byłam? Ja jestem gruba!
- Ty?
- Prawie każdy z was jest gruby! Wam może to odpowiada, ale nie mnie! Ja nie chcę być gruba!

W pokoju nastąpiła cisza. Wszystkich dosłownie zatkało, nawet Matylldę, której raczej się to nie zdarzało.

– Pozwól, że coś ci powiem, młoda damo! – zaczęła po chwili niezręcznego milczenia. – Cała rodzina jest dumna z kształtnych ciał, które są naszym znakiem rozpoznawczym, przy czym nikt nie mówi tu o byciu grubym. Aby być grubym, trzeba by dopracować się postury... no, powiedzmy, świętej pamięci wujka Hipolita. Gruby to znaczy nieruchliwy, niezgrabny, niezaradny. Jak doskonale wiesz, rodzina Laska należy do bardzo przedsiębiorczych, o czym świadczą nasze majątki, firmy i dokonania. Mówiąc, że jesteśmy grubi, a dokładniej, że prawie każdy z nas jest gruby, obrażasz nas.

– Nie chciałam nikogo obrażać, ale najwidoczniej ja inaczej rozumiem słowo „gruby”. Dla mnie gruby to ważący za dużo, a ja właśnie tak siebie postrzegałam i nadal postrzegam. Przez lata nic z tym nie robiłam, ale cieszę się, że w końcu zmadrzałam.

Moje słowa najwyraźniej zszokowały zastygłą w napięciu rodzinę, bo wujek Robert nieopatrznie upuścił widelec na talerz, a ciotka Helena przewróciła szklankę z sokiem aroniowym, powodując niemałe zamieszanie. Matylda jednak, o dziwo, w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

– Ale masz... hmmm... miałaś piękne ciało.

– Piękne ciało? Nie widziałam i nie widzę w swoim ciele niczego pięknego.

– Niczego? O czym ty mówisz?

– Dla mnie w otyłości nie ma niczego ciekawego.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Nie mam już siły.

Robercie, ty coś powiedz! – zwróciła się do mojego ojca.

– Ja? – odparł mało przytomnie.

– Nie wytrzymam! Małgorzato, nalej mojemu bratu czegoś mocniejszego, bo mu się mózg zlasował. – Matka zerwała się na równe nogi i podała ojcu brandy. – Mnie też nalej. Muszę się wzmocnić.

Patrzyłam z jakimś dziwnym spokojem na rozwój sytuacji. Na to, jak Matylda po wypiciu jednym haustem kielicha bursztynowego napitku zupełnie niespodziewanie skończyła mnie dręczyć, skupiając się na nowej ofierze, mojej kuzynce Aleksandrze, która niefortunnie zrobiła trwałą ondulację, nie zdając sobie najwyraźniej sprawy, że właśnie ten zabieg fryzjerski był przez ciotkę szykanowany. Na to, jak starszyzna zaczęła się spierać nad wyższością grillowanego warkocza z wieprzowych polędwiczek ciotki Heleny nad karkówką w zielonym pieprzu wuja Franka. Na wszystko patrzyłam ze spokojem.

Po śniadaniu matka poprosiła, abym poszła z nią na spacer. Nigdy tego nie robiła, ale ja w sumie nie miałam nic przeciwko, bo, szczerze mówiąc, ku mojemu zaskoczeniu brakowało mi jakiegokolwiek ruchu.

– Wiesz... – zagadnęła, kiedy krupówkowy zapach wędzonych oscypków mocno już podrażniał mój zmysł węchu. – Nie spieraj się z ciotką o tę dietę. Przyznaj jej rację i tyle.

– Ale ja nie chcę!

– Wiem, że nie chcesz i wiem, że ona nie ma racji, ale zrób to dla świętego spokoju. Jest Boże Narodzenie.

– Co nie znaczy, że mam kłamać.

– Nie każę ci kłamać, Kasieńko. Proszę tylko, abyś ugryzła się w język następnym razem, który nastąpi zapewne już przy dzisiejszej kolacji. Błagam cię, zrób Matyldzie prezent świąteczny i przyznaj, że diety nie są zdrowe.

– Kiedy ja wcale tak nie myślę.

– Wiem, że nie myślisz, ale satysfakcja ciotki Matyldy uzdrowiłaby świąteczną atmosferę.

– Mamo, nie szantażuj mnie! – oburzyłam się.

– Proszę... – ponowiła przeciągle.

– Nie mogę ci tego obiecać.

– Czego nie możesz obiecać? – Usłyszałam za swoimi plecami przyjazny głos ciotki Róży.

Moja matka zmieszała się, po czym udała, że złapał ją kaszel.

– Że nie pokłócisz się z Matyldą, co? – rzuciła do mnie.

Zwróciłam się w stronę najoryginalniejszej z rodu Laska, czerwonowłosej ciotki Róży. Jej oczy wydały mi się nad wyraz serdeczne i szczerze, a co najważniejsze, nie dojrzałam w nich ani krzty obłudy i złości.

– Tak, o ciotkę Matyldę chodzi – stwierdziłam odważnie.

– O twoje odchudzanie?

– Aha.

– Nie martw się. Ta zrzędząca jędza w końcu się przyzwyczai. Kiedy ja się odchudzałam, dokuczała mi przez prawie dekadę, aż zrozumiała, że nie należę już do grona obżartuchów.

– Przez prawie dekadę? Nie wiem, czy wytrzymam tak długo...

– Matylda jest uparta, ale ty musisz być jeszcze bardziej.

Ciotka Róża łagodnie uśmiechnęła się, lekko rozchylając usta.

– Ale zaraz... – Olśniło mnie. – To oznacza, że ty? Że ty też kiedyś się odchudzałaś?

– Jasne! Nie wiedziałyście o tym?

Razem z matką pokręciłyśmy głowami.

– No, to jest bardzo ciekawa historia, bo wyobraźcie sobie, że jakieś trzydzieści sześć... – Zawahała się. – ...nie, trzydzieści siedem lat temu razem z Matyldą postanowiłyśmy się zbuntować przeciw temu, jak wyglądamy, i oznajmiłyśmy naszej rodzinie, że zamierzamy schudnąć. Byłyśmy młode i chciałyśmy podobać się rówieśnikom, a niestety nasze nadprogramowe kilogramy skutecznie odstraszały wszelkich zalotników, nawet tych gabarytowo nam podobnych. Prawie cała rodzina próbowała wybić nam to z głów, z wyjątkiem mojego kuzyna Maksa. – Na sam dźwięk tego imienia głośno nabrałam powietrza w płuca. – Coś się stało? – zapytała ciotka.

– Nie, nic.

– Maks, czyli ksiądz, tak? – zagadnęła moja matka.

– Dokładnie tak. Obecnie jest proboszczem w naszej parafii – dodała. – A więc Maks był rodzinnym chudzielcem, i to jedynym, więc ucieszyło go, że ktoś jeszcze miałby dołączyć do wyklętego kręgu, w którym znajdował się od urodzenia. Mocno nam kibicował i zaangażował się tak bardzo, że stał się naszym stuprocentowym kontrolerem. Ze mną mu się udało, bo poddałam się rygorowi i schudłam. Z Matyldą jednak nie za bardzo. – Róża zaśmiała się głośno. – Ona nie lubiła, gdy ktokolwiek decydował za nią. Od dziecka miała swój charakter, nie ma co!

„Nadal go ma!” – przemknęło mi przez myśl.

– Oj, byłaby na mnie zła, gdyby dotarło do niej, że wam o tym opowiadam, bo musicie wiedzieć, że ona do dziś nie przyznaje się, iż chciała kiedykolwiek się odchudzić. Cała ona!

– Ale dlaczego Matylda tak bardzo sprzeciwia się mojemu odchudzaniu?

– Nie do końca to rozumiem, ale wyjścia są dwa: albo naprawdę wierzy w wyższość otyłych osób nad szczupłymi, albo, co bardziej prawdopodobne, nie chce, aby komukolwiek się udało, gdy ona zawiodła.

– Jest zazdrosna? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak mi się wydaje. Od kiedy jestem szczupła, w ogóle nie traktuje mnie po partnersku i zawsze docina mi, kiedy tylko nadarza się okazja.

- Skądś to znam – wtrąciła matka.
- Nie możesz się jej poddawać, Małgorzato! A ty, moja droga...
- Spojrzała na mnie. – ...musisz robić swoje.
- Czyli?
- Czyli trzymać się diety, ćwiczyć i nie zwracać uwagi na zaczepki Matyldy, bo one jeszcze długo się nie skończą, o ile w ogóle.
- Ale co mam jej odpowiadać, kiedy mnie dręczy?
- Po pierwsze, musisz przestać się jej bać. A po drugie, musisz kilka razy stanowczo zadeklarować, że postanowiłaś być na diecie i decyzji nie zmienisz. Myślę, że przestanie cię tak ostro atakować i znajdzie sobie jakąś nową ofiarę. Zresztą sama widziałaś przy śniadaniu. Ona była pewna, że cię złamie, a kiedy jej się nie udało, natychmiast zmieniła cel. Taka już jest.

Ostatnie słowa ciotki Róży wzięłam sobie głęboko do serca i postanowiłam spojrzeć na Matyldę zupełnie inaczej. Nie jak na obiekt, który przerażał samym wyglądem, tylko jak na kogoś, kto miał prawo do odmiennego zdania, ale na pewno nie miał prawa do zmieniania moich osobistych decyzji.

17. Skuteczne rady

Kiedy ubrana we fioletową sukienkę do kolan i czarne szpilki upinałam włosy, usłyszałam sygnał nadchodzącego SMS-a. To nie mogła być Zocha, bo z nią rozmawiałam jakąś godzinę wcześniej i omówiłyśmy chyba wszystkie możliwe tematy, skupiając się na tym, co obecnie najbardziej mnie nurtowało, czyli na Maksie. Skoro nie Zocha, to mógł być jedynie on.



Kasiu droga, życzę ci mimo wszystko pięknych świąt, pełnych niepowtarzalnych emocji. Myślę o tobie bez przerwy. Maks.

Moje serce podskoczyło z radości. Zrobiło mi się gorąco od tego, co przeczytałam, a raczej od jednego zdania: „Myślę o tobie bez przerwy”. Uświadomiło mi też, a raczej udowodniło, że stosunek Maksa do mnie nie miał koleżeńskiego charakteru, że on czuł coś więcej, że chciał czegoś więcej. „Tak! Tak! Tak!” – wiwatowałam w myślach i natychmiast zaczęłam stukać odpowiedź.



Maks, chciałabym, abyś w te święta zaznał radości i ~~miłości~~ miłości.
Key.

Wysłałam, dwukrotnie kasując i na nowo pisząc słowo „miłości”, i natychmiast tego pożałowałam. Nie miałam pewności, jak Maks zareaguje na takie życzenia i czy nie będzie ich uważał za przesadzone. On przecież życzył mi zaledwie pięknych świąt, a ja, jak skończona idiotka, dałam się ponieść. Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

Kasiu, doskonale wiesz, że pewne okoliczności sprawiły, iż tylko połowicznie będę w stanie doświadczyć tych emocji. Ale już całkiem niedługo zamierzam to nadrobić. Szykuję niespodziankę.

Maks.

Zadrzałam. Co miał na myśli, pisząc, że zamierza to nadrobić? I jak chce to zrobić? Niespodzianka? O czym on myślał? Może go zapytać?

– Nie... – mruknęłam i pełna sprzeczności, wystukałam lakoniczną odpowiedź.

Maks! ~~Nie mogę się doczekać!~~ No i teraz będę myślała o twojej niespodziance! To nie fair! Tymczasem spędź radośnie święta. Ja też spróbuję, choć w moim przypadku może się to okazać trudne. Zmykam na kolację. Key.



Zmykaj! Do później! Maks.

Rozdygotana od emocji, dotarłam do sali, w której ciotka Róża przygotowała uroczystą Wigilię. W tym roku w wystroju dominowały szarości i fiolety, co akurat bardzo mi odpowiadało. Niezbyt pasowało to jednak ciotce Matyldzie, hołdującej czerwieni i złotu. Nawet w tak podniosłym dniu nie trzymała na wodzy swojego ciętego języka i prawiała uszczypliwości swojej kuzynce.

– To żeś wymyśliła w tym roku! Umawialiśmy się na czerwień, Rózo!

– Na nic się nie umawialiśmy! Poza tym uważam, że ta kolorystyka świetnie pasuje do Bożego Narodzenia.

– Chyba tylko ty tak myślisz! – Matylda podsumowała pogardliwie. – Te szarości trochę biednie się prezentują.

– Daj spokój! Choć raz przyznałabyś, że zrobiłam coś ładnego! Miałam wrażenie, że w ciotce Róży się zagotowało i że zamiast dyplomatycznego „daj spokój”, chciała wypalić „odpieprz się” lub coś jeszcze bardziej niecenzuralnego.

– Rózo, jeśli by mi się podobało, na pewno usłyszałaś to z moich ust.

– Czy ty kiedyś byłaś zadowolona?

– A i owszem. I potrafię to okazać. Nie raz widziałaś, gdy coś chwaliłam.

Dyskusja ciotek trwała do czasu, aż wuj Franek, jako ostatni z gości, zajął swoje miejsce.

– No, nareszcie jesteś, Franciszku! Bałam się, że zasłabiesz. Z głodu, rzecz jasna. Zaczynamy! – oznajmiła ciotka Matylda.

* * *

Tegoroczna kolacja wigilijna była zaskakująco spokojna. Być może dlatego, że ciotka Róża zadbała o śpiewniki i cała rodzina przez dłuższą część wieczoru odśpiewywała mniej lub bardziej znane bożonarodzeniowe pieśni. Matylda wiodła w tym prym, choć, szczerze mówiąc, głosu wybitnego wcale nie miała. Dzięki ogólnemu zaangażowaniu w kolędowanie czułam się wyjątkowo dobrze i swobodnie. Matylda nie miała czasu na wciskanie we mnie żadnych potraw ani na krytykę mojego postanowienia o byciu na diecie.

Rok temu zjadłam z tuzin pierogów z kapustą i grzybami, kilka kawałków makowca, sernika i jabłeczніка, kopiasty talerz kutii i makiełek, nie mówiąc o piernikach w różnej postaci. W tym roku zadowolłam się pięcioma pierogami, barszczem z uszkami i kilkoma przepyszными kawałkami ciast, których nie byłam w stanie sobie odmówić. Rozpierała mnie jednak duma, że dałam radę pohamować się

przed wchłonięciem większej ilości jedzenia. Wszystko wyglądało przecież nadzwyczaj smaczkowicie i tak też pachniało.

Gdy kolacja wigilijna dobiegała końca, ucichły też śpiewy. Wtedy Matylda znowu zaczęła mnie męczyć.

– Kiedyś wuj Stanisław też był na diecie. Znasz wujka Stanisława?

– Nie.

– A wiesz dlaczego?

– Nie.

– Bo dieta go wykończyła, ot co. Młody chłop był, porządnie wyglądał i głupot mu się zachciało. Zastanów się, czy ty też tego chcesz.

– Ciotka westchnęła i łypnęła na mnie bykiem.

– Nie zmienię zdania – odparłam, starając się, aby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

Matylda obrzuciła mnie niedowierzającym spojrzeniem. Miałam wrażenie, że trochę ją swoją stanowczością zaskoczyłam.

– Jeszcze zobaczymy – mruknęła, a ja poczułam się, jakbym wygrała kolejną bitwę.

Chciało mi się wiwatować, ale zamiast tego zasłoniłam usta, aby ukryć uśmiech, który pojawił się na mojej twarzy.

– Rózo? – Matylda zmieniła front. – Tak sobie myślę... Dlaczego nie zaprosiłaś Maksa na Wigilię?

Choć wiedziałam, że chodziło o księdza, serce i tak zabiło mi szybciej. Maks... W niewytłumaczalny sposób natychmiast powróciłam myślami do naszej ostatniej SMS-owej rozmowy. Poczułam gdzieś wewnątrz siebie ucisk, który sprawiał mi rozkoszny ból i pozwolił choć na krótki moment uciec od miejsca, którego nie lubiłam, i od ludzi, za większością których nie przepadałam.

– Ma swoją Wigilię w parafii.

– Co nie znaczy, że nie mógłby do nas na chwilę wpaść. Przecież jesteśmy jego rodziną.

– Gdyby mógł, na pewno by się zjawił. Ma teraz turnus świąteczny.

– Jaki znów turnus?

– Osób, które są na diecie. – Matylda jęknęła z dezaprobatą.

– Wcale nie popieram tej jego wywrotowej działalności, ale faktem

jest, że to ksiądz, a z tym fachem warto mieć dobre relacje. Za rok postaraj się, Rózo, żeby go nie zabrakło.

– To nie ode mnie zależy! Jak chcesz, sama z nim pogadaj.

– Ja wszystkim zajmować się nie mogę, nawet jakbym chciała!

Bo wyobraź sobie...

Przyglądałam się ciotce z niechęcią, kiedy tak gderwała o rzeczach mało istotnych, dopuszczając innych do głosu wyłącznie wtedy, gdy tego chciała, i na tyle czasu, na ile pragnęła. Nie mogłam uwierzyć, że nikt poza ciotką Różą nie był w stanie jej się sprzeciwić, że nikt nie mógł wstać i powiedzieć jej prosto w twarz: „Gadasz od rzeczy!” albo zwyczajnie: „Nie zgadzam się”. Wszyscy siedzieli przy stole, szepcząc pokątnie do sąsiadujących osób, niczym spiskowcy, a Matylda po prostu prowadziła swoje wywody, oczekując pełnej aprobaty.

Wskazówka ciotki Róży, aby zachowywać stanowczość w stosunku do Matyldy, okazała się dla mnie zbawienna w wieczór wigilijny.

– Nie kosztowałaś jeszcze kulek makowych, Katarzyno – zagaiła.

– Bo to nie jest potrawa wigilijna – odparłam, zaskakując ją swoją ripostą.

– Nie jest, nie jest... Ale na stole jest i zjeść ją należy.

– Ja dziękuję. Skosztowałam wielu potraw i mi wystarczy.

W Wigilię nie należy się objadać – skwitowałam, sprawiając, że Matylda dostała wypieków na policzkach.

– Ale... ale ty, Wiktorio, spróbuj – zwróciła się do młodszej córki wujka Franka, która nie odezwawszy się ani słowem, pochłonęła jeden z przysmaków ciotki Zofii.

W ten prosty sposób pozbyłam się nadmiernego zainteresowania ze strony Matyldy, kierując jej uwagę na innych. W tym roku najbardziej oberwało się Weronice, kuzynce z Krakowa, która zamierzała iść na studia polonistyczne, co w żaden sposób nie harmonizowało z planami, jakie miała wobec niej Matylda. Dzięki temu wieczór wigilijny nie był dla mnie taki straszny jak zwykle. Oczywiście Weronika nie mogła go z pewnością zaliczyć do udanych, ale postanowiłam nie zastanawiać się nad tym, bo to, o czym myślałam, pochłonęło mnie całkowicie.

To znaczy myślenie o Maksie pochłonęło mnie całkowicie.

Zastanawiałam się, jak on spędzał swoje święta, co robił, z kim był i przede wszystkim, co lub kto zaprzętał jego głowę.

„Myślę o tobie bez przerwy” – powtórzyłam jego słowną pieśczętę i poczułam, jak fala gorąca zaczęła ogarniać całe moje ciało. „A jeśli to takie czcze gadanie? Jeśli to nie jest prawdą?” – wątpiłam, by po chwili powrócić do optymistycznych rozważań.

Poświęcałam mu każdą wolną chwilę. Nie było godziny, abym nie uciekała do wizualizacji czarnowłosego chłopaka o błękitnych oczach, który całkowicie zawładnął moimi myślami i chyba też moim sercem... „Jezu... – westchnęłam, kiedy dokonałam tego odkrycia. – Ja go chyba... Ja go najnormalniej w świecie...”

– O, Boże! – wyrwało mi się.

Nieopatrznie przerwałam Matyldzie kolejną perorę, sprawiając, że zmierzyła mnie poirytowanym spojrzeniem.

– Katarzyno! – zganił mnie ojciec.

– Przepraszam – odparłam szybko, okazując skruchę tak, aby ciotka nie miała powodów do czepiania się. Chciałam jak najszybciej wrócić do swoich myśli.

– No nie wiem, Katarzyno. To twoje zachowanie... Mam nadzieję, że to nie kolejny dowód na niedobory w organizmie spowodowane dietą.

– Oj, Matyldo, skończmy już temat diety – wyratowała mnie ciotka Róża. – Katarzyna jest już dorosłą dziewczyną i na pewno sobie z tym wyzwaniem poradzi. Mamy Wigilię i nadszedł czas czytania opowieści biblijnych. Może ja zacznę?

– No, niech będzie – odparła, niezbyt usatysfakcjonowana, gdyż zapewne wolałaby samodzielnie podjąć decyzję, kto w tym roku miałby zacząć czytać.

„Kochana ciotka Róża” – pomyślałam i znów pograżyłam się w swoich rozważaniach.

* * *

Kolejne dni mijały niespodziewanie szybko, gdyż większość czasu spędzałam na pieszych wycieczkach. Towarzyszyłam ciotce Róży, która w codziennym grafiku miała zawsze zaplanowany spacer z kijkami. W ten sposób wyrывałam się każdego dnia na niemal dwugodzinny

marsz. Nie było to może jakieś szalone tempo, ale zawsze można to było nazwać wysiłkiem fizycznym, który wpasowywał się jak ulał w jeden z podstawowych punktów terapii.

Karminowousta ciotka zadziwiła mnie swoją osobowością. Zawsze ją lubiłam, ale nigdy tak naprawdę jej nie poznałam. Okazała się niezwykle ciekawą i charyzmatyczną osobą, a co najważniejsze, nie męczyła mnie żadnymi typowymi dla mojej rodziny kulinarnymi wywodami, których serdecznie miałam dość. Zamiast tego wyjawiała mi te prawdziwe i te trochę mniej prawdziwe historie o miejscach i ludziach związanych z Zakopanem. To były niezwykle opowieści z życia Witkacego, Kornela Makuszyńskiego czy Heleny Modrzejewskiej.

– Wiesz, Kaśka – powiedziała w czasie sylwestrowego spaceru – ja tylko cały czas gadam.

– Ale to jest ciekawe!

– No, może i masz rację, też lubię te historyjki. Ale dziś chciałabym posłuchać czegoś o tobie.

– O mnie?

– O tobie.

– Ale ze mnie nie jest żadna Modrzejewska, żeby zaraz opowieści jakieś snuć.

– Widzisz... pewnie i piękna Helena Modrzejewska myślała w ten sposób, gdy była w twoim wieku i nazywała się jeszcze Jadwiga Misel. Dziś niejeden dałby fortunę, żeby poznać historię tej urodziwej i wybitnej Polki, gdy miała osiemnaście lat. To jak?

– No dobrze, tylko ja naprawdę nie wiem, o czym mam opowiadać.

– To może o tym chłopaku, z którym ciągle SMS-ujesz? – zapytała, wpatrując się we mnie przenikliwie.

Poczułam narastające zawstydzienie.

– Nie musisz udawać. Opowiedz mi o nim.

– Ale skąd...? Skąd wiesz?

– A na ile lat wyglądam? Przecież nie na dwadzieścia, na czterdzieści też nie. – Zaśmiała się. – Sześćdziesiątka mi niedługo stuknie i swoje wiem. Nie zapominaj, że cztery dziewczyny wychowałam.

Przełknęłam ślinę i zaciągnęłam się chłodnym powietrzem.

Na dworze było przyjemnie, choć wielu, a przede wszystkim ciotka Matylda, narzekało, że nie ma śniegu. Mnie jednak taka niby wiosenna pogoda bardzo odpowiadała.

– Jest taki jeden chłopak, ale to nie jest mój chłopak, to po prostu taki chłopak, no normalny chłopak. – Ciotka uśmiechnęła się.

– I poznaliśmy się na terapii, a raczej w Internecie... To znaczy... Plotę trzy po trzy...

– To jest bardzo ciekawe.

– A więc poznaliśmy się na sesji grupowej, ale potem on do mnie napisał i tak to się zaczęło.

– I jak jest teraz?

– Niesamowicie... Bo on jest inny... – Rozmarzyłam się. – Jest wrażliwy, pisze w taki subtelny sposób, czyta książki i lubi mnie...

– Róża spojrzała pytająco, więc szybko dodałam: – Tak mi się powiedziało. Nie wiem, co on właściwie czuje. To nie jest oczywiste, chociaż...

– Chociaż...?

– Chociaż pisze, że o mnie myśli, że nie może się mnie doczekać, że szykuje dla mnie niespodziankę... Sama już nie wiem...

„To znaczy wiem! Wiem doskonale! I chcę to wykrzyknąć! Chcę, ale... nie potrafię... Boję się... Boję się, że jak to powiem, to wszystko zniknie...”.

– Widzę, że wiesz, co chciałabyś powiedzieć, ale masz stracha – rzekła Róża, po chwili mojego milczenia, w czasie którego prowadziłam wewnętrzny monolog.

Była taka mądra i... zorientowana w TYCH sprawach. Jadąc do stolicy Tatr, nie przypuszczałam, że fajna ciotka Róża może okazać się niezwykłą, postępową, najwspanialszą krewną, jaką mogłam sobie w tym momencie wymarzyć. Nie dość, że wspierała mnie w odchudzaniu, w radzeniu sobie z Matyldą, to jeszcze rozumiała moje rozterki sercowe.

– To normalne, że się boisz, ale wiesz, nie tylko ty to czujesz. Jeśli on jest taki, jak mówisz, to pewnie też się boi. Bo nie jest filozofią zniszczyć, a zbudować. A strach powoduje, że bardziej się starasz, że chcesz, żeby to było piękne.

Ostatnie zdania rezonowały we mnie jeszcze przez chwilę, którą szłyśmy bez słów, zmierzając w stronę Gubałówki. Ta mądra czerwonołosa kobieta nie powiedziała przecież niczego odkrywczego, niczego, czego bym nie wiedziała. Ale to dopiero ona uświadomiła mi, że to, co działo się między mną a Maksem, to jedna wielka budowa. Tworzyliśmy coś, co mogło być piękne i tylko od nas zależało, czy takie będzie.

– To wspaniałe, co teraz czujesz. Wiesz, wspomnienia moich nastoletnich miłości są dla mnie jednymi z radośniejszych. W letnie popołudnia lubię czasami z lampką wina usiąść na balkonie i patrząc na Giewont, przypominać sobie historie sprzed lat. Ech... Zazwyczaj nie kończę na jednej lampce... – Zaśmiała się, prowokując mnie do tego samego. – To twoja pierwsza miłość?

– Eee... Tak – wydusiłam z siebie, czując, jak wewnętrzny głos o wielkiej sile trąbił wszem i wobec: „Kocham, kocham, kocham!”.

– Moja droga, jeśli będziesz chciała o tym pogadać, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. Nie jestem Matyldą, żeby wyciskać z ciebie jakiegokolwiek deklaracje. Chciałabym tylko, abyś pamiętała, że taki stan, w jakim się teraz znajdujesz, jest najcudowniejszym. Ciesz się nim, ile wlezie!

18. Nadzwyczaj radosne dni

Piekielnie bałam się sylwestra, bo zważając na doświadczenia z lat poprzednich, czułam, że i w tym roku Matylda będzie szalała ze swoimi głupimi pomysłami. Po tym, co pokazała w trakcie tegorocznego pobytu w Zakopanem, nie liczyłam na to, aby ten sylwester miał przyjaźniejszy przebieg. Zastanawiałam się już od kilku dni nad tym, w jaki sposób wymigać się od rodzinnej imprezy i... wymyśliłam coś, czego jeszcze nigdy nie testowałam.

– Bóle kostne? – Matylda zawyła radośnie, jakby usłyszała dobrą nowinę. – To oczywisty dowód na zgubny wpływ diety na twoje życie. Zawsze byłaś okazem zdrowia. Słyszysz, Małgorzato? Katarzyna ma pierwsze symptomy osteoporowizny czy czegoś takiego. W każdym razie kości jej próchnieją. Dieta! Dieta zbiera swoje plony!

Bardzo chciałam skomentować głupoty, które z takim nadęciem z siebie wyrzucała, ale w głębi duszy cieszyłam się, że połknęła przynętę. Ugryzłam się w język i najnormalniej w świecie zniknęłam jej z oczu, to znaczy udałam się do pokoju, gdzie w ciszy mogłam przywitać Nowy Rok.

Byłam naprawdę zadowolona z perspektywy sylwestrowego odosobnienia. Miałam do nadrobienia pamiętnik i zapiski w planerze od Penelopy. Zostało mi także przyjrzenie się sobie w lustrze. Nadal szczególnie mnie to nie ekscytowało, chociaż widziałam już różnicę w wyglądzie mojego ciała, a ta różnica cieszyła mnie jak diabli. Chciałam też trochę poczytać, a przede wszystkim miałam nadzieję na solidne pogaduchy z Zochą, bo powoli zaczynało mi tego brakować.

Gdy już miałam do niej zadzwonić, sprawdziłam skrzynkę mejlową i znalazłam w niej wiadomość od Maksa. Moje serce zaczęło wariować.

@ 31.12.2013, 19:38

Od: Max

Do: Key

Temat: Ostatni dzień roku czas skończyć

Kasiu!

Ostatni dzień roku to w naszej rodzinie czas podsumowań. Każdy z nas ma przed obiadem obowiązek opisanego tego, co mu się udało i czego nie zrobił w ciągu mijającego roku. Przyznam ci, że dla mnie było to bardzo trudne zadanie, bo w tym roku prawie nic mi się nie udało. Nic, poza poznaniem ciebie. Rozświecisz ten mój szary świat...

Nie mogłam uwierzyć, że rozświeciłam jego świat. Bardziej pasowało mi stwierdzenie, że to Maks był światłem w moim życiu!

@ Życzę ci pięknych chwil w nowym roku!

Do zobaczenia już niedługo.

Maks

PS Nie przepadam za sylwestrowymi zabawami, choć przyznam, że w tym roku może być wesoło. Przyjechała nasza rodzina z Włoch, więc jest głośno i jeszcze raz głośno!

Szybko skrobnęłam odpowiedź, czując prawdziwą radość z pisania do Maksa.

@ 31.12.2013, 20:46

Od: Key

Do: Max

Temat: Ostatni dzień roku prawie skończony

Maks, ~~mój drogi!~~

W naszej rodzinie nie ma żadnych tradycji sylwestrowych, chyba że zaliczyłabym do nich suto zastawione stoły i monologi ciotki Matyldy. Nudy...

Cieszę się, że rozświecisz twój świat. ~~Maks, ty na pewno bardziej rozświecisz mój.~~

Wyszalej się!

Cudownego nowego roku! ~~Mam nadzieję, że to będzie nasz rok!~~

Key

PS Zazdroszczę ci włoskiej rodziny. Jest zapewne głośno, nie wątpię, ale też wesoło! Farciarz! Rozumiem, że ty po włosku *parli correntemente*? Och, ile bym dała za takie włoskie pogaduchy...

Kiedy wysłałam odpowiedź, podeszłam do okna. Jacyś śpiewający ludzie, popijając szampana, przemierzali ulicę. Jakie byłoby to przyjemne znaleźć się na jakiejś normalnej imprezie, w normalnym

towarzystwie, bez zrzędzącej ciotki, której przeszkadzało wszystko, co nie było podobne do niej samej i do jej stylu bycia. Za imprezę z Maksym oddałabym wszystko...

@ 31.12.2013, 20:55

Od: Max

Do: Key

Temat: Co tu się dzieje?!

Droga Kasiu!

Paolo właśnie wypytywał mnie o to, co ja takiego robię na telefonie. Nie dają mi spokoju, bo śpiewają, tańczą i nie przyjmują do wiadomości, że mógłbym chcieć spędzić wieczór sylwestrowy przy kominku. Wypili już kilka galonów wina, więc sama rozumiesz – JEST GŁOŚNO!

Jeśli chodzi o mój włoski, to od dziecka mówię w tym języku, choć nie używam go poza domem i spotkaniami z rodziną.

Kasiu, grożą, że za chwilę utopiają mi komórkę w winie, czego bardzo bym nie chciał, więc muszę im trochę potowarzyszyć!

Miłego wieczoru!

Maks

PS To, że znikam, nie znaczy, że nie myślę o tobie...

Czytając jego wiadomość, nieustannie się uśmiechałam. Chociaż on się dobrze bawił... Ale przecież i ja nie mogłam narzekać, bo miałam święty spokój, a w planach wyczekiwana rozmowa z Zochą, najcudowniejszą dziewczyną pod słońcem. Ależ miałam jej dużo do opowiedzenia!

* * *

Rankiem obudziła mnie matka.

– Kasiu, chodź na śniadanie. Są plany na dzisiejszy dzień.

– O, Boże! – stęknęłam, przeczuwając jakiś koszmarny pomysł Matyldy na spędzenie noworocznego przedpołudnia.

– Idziemy na lodowisko.

– Gdzie?

– Na lodowisko.

– Ale ja nie jeżdżę na łyżwach.

– Prawie nikt nie jeździ, ale Matylda wynajęła całe lodowisko i trzech instruktorów tylko dla nas.

– Może powiem, że mam jeszcze te bóle kostne?

– Wiesz, że i tak będzie ci kazała iść. Ojciec też idzie.

– Mój ojciec?

– Aha.

– No to idę – zmieniłam front, nie mogąc uwierzyć, że mój ojciec zgodził się na jakikolwiek wysiłek fizyczny, a już na pewno na tak ryzykowny jak łyżwy.

Gdy znaleźliśmy się na lodowisku, ociągałam się z założeniem łyżew tak długo, jak tylko się dało. Matylda za to nie ociągała się wcale i wcisnąwszy stopy w bieluńskie figurówki, wparowała na lodowisko. Byłam zszokowana, jak dobrze sobie radziła. Jej potężne ciało wcale nie przeszkadzało w szybkim jeźdzeniu, kręceniu piruetów i robieniu jakichś tam figur. Swoją zwinnością zaskoczyła nie tylko mnie, ale i całą rodzinę, a nawet trzech nieco spłoszonych instruktorów.

– Widzicie? Nic nie zapomniałam! Jak ktoś jest dobry, to przez całe życie! – skowytła i wykręcając kółko za kółkiem, starała się pokazać swoje imponujące umiejętności.

Zaciągała na lód wszystkich krewnych po kolei, nie napotykając większego oporu.

– No już, Robercie! Skoro Franciszek może, to ty też!

– Chyba nie dam rady.

– Nonsens! Wykaż się odwagą!

Ojciec w końcu wszedł na lód, odepchnął się od bandy i nie mając pojęcia o tym, jak powinien zahamować, z całym impetem wjechał centralnie w swoją siostrę.

– Coś ty narobił! O, Boże! O, Jezu! – krzyczała Matylda. – Karetkę wołać! Najlepszego lekarza! Moja noga! Mówcie zaraz, co z nią! O, Boże, co z moją nogą?

Przez następne kilkanaście minut wysłuchiwalismy lamentów, pojękiwań, a nawet przekleństw i grózb, które wychodziły z ust Matyldy. Kiedy w końcu pojawili się ratownicy medyczni, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Jeden z nich podszedł do ciotki.

– Lekarz?

– Jestem ratownikiem medycznym – odparł postawny mężczyzna w okularach.

– Chciałam cholernego lekarza, nie ratownika medycznego! Mój stan jest ciężki!

– Lekarz zbada panią na izbie przyjęć. Jestem dyplomowanym ratownikiem medycznym.

– Z jakim stażem? – zapytała dziwnie przytomnie.

– Proszę się nie ruszać.

– Z jakim stażem, pytałam?!

– Dziesięcioletnim – odparł mężczyzna.

– Hmm... Jak tak, to proszę! Tylko jeśli pan coś sknoci, to do końca życia się pan nie wypłaci. Mam doskonałych prawników.

Ratownik nic nie odpowiedział, tylko obrzucił Matyldę zde gustowanym spojrzeniem i zabrał się do pracy.

Jak się okazało, ciotka doznała złamania otwartego z przemieszczeniem, które wymagało przeprowadzenia operacji. Wiązało się to z tym, że musiała zostać w szpitalu przez co najmniej sześć dób, czyli do końca naszego pobytu. Nigdy jej aż tak źle nie życzyłam, ale nieobecność despotycznej ciotki sprawiła, że kilka następných dni stało się najfajniejszymi, jakie mi się przytrafiły w Zakopanem. Tylko ojciec chodził jak struty i zaskakująco długo przesiadywał przy łóżku Matyldy.

– Męcą go wyrzuty sumienia – podsumowała ciotka Róża, kiedy wychodziłyśmy ze szpitala następnego dnia.

– Biedny Robert – odparła moja matka. – Przecież on tego nie chciał.

– Nikt nie mówi, że chciał. Zdarzyło się i tyle.

– Masz rację... Ale do tego ten szpital, a on tak nie cierpi szpitali...

– Nic mu nie będzie.

– Biedny Robert...

– To facet, nie żałuj go tak, Małgośka! Za tydzień już nie będzie o tym pamiętał.

Ciotka Róża miała dużo racji, bo mój ojciec raczej niczego długo nie rozpamiętywał. No, chyba że chodziło o politykę. Niektóre wybory

parlamentarne czy sejmowe debaty potrafił analizować całymi dniami, mając za wolnego słuchacza moją matkę. Nawet wracając do domu, słuchał jakiejś politycznej audycji, którą wcześniej sobie nagrał, i komentował ją na głos. Nie wspomniał ani słowem swojej siostry. Co więcej, nawet do niej nie zadzwonił, a w Zakopanem raczył to czynić co kilka godzin. Nie uszło to nawet uwagi mojej matki.

- Robercie, a może byś zatelefonował do Matyldy?
- Przecież byłem u niej rano i dzwoniłem przed wyjazdem.
- W Zakopanem ciągle miałeś z nią kontakt.
- Ale teraz już nie muszę. Róża się nią zajmuje.
- To może ja zadzwonię?
- Chcesz ją zdenerwować?
- Ale...
- Jutro zadzwonię! – skwitował, pogłaśniając audycję.

Gdy w końcu dojechaliśmy do domu, był środek nocy. Przez całą drogę powrotną sprawdzałam skrzynkę mejlową, ale od poprzedniego dnia nie było w niej żadnych wiadomości od Maksa. Wcześniej codziennie pisał SMS-y bądź mejle, ale w dniu, kiedy miałam już wrócić, kiedy byłam coraz bliżej domu, milczał. „Co się stało? Dlaczego nie pisał...? Dlaczego nie odpowiedział na mojego SMS-a? Może jego treść: «Jestem już w drodze. Jeszcze tylko sześć godzin. To niedługo» była zbyt oschła? – wariowałam z niewiedzy. – A jeśli mu się odwidziało? A jak stwierdził, że jednak nie warto poświęcać mi czasu? Co takiego się zmieniło, co...?”. Moje myśli doprowadzały mnie do szaleństwa. Byłam niespokojna i rozbita. Nie mogłam usiedzieć w miejscu, nie dawałam rady zasnąć. Czułam każdy mięsień, a kręgosłup niesamowicie dokazywał. Jedyne, co mi zostawało, to próbować zagłuszyć ból i dręczące rozważania, słuchając ulubionej przeze mnie ostatnio grupy LemON, a w szczególności piosenki „Napraw”, którą w trakcie podróży puściłam ze dwadzieścia razy.

Kiedy dojechaliśmy, zabrałam swoje rzeczy i udając wielkie zmęczenie, skierowałam się do pokoju.

„Napiszę... Muszę, bo zwariuję...”. Przez chwilę zastanawiałam się nad wysłaniem mejla, ale uznałam, że SMS-a Maks odbierze natychmiast, a ja przecież chciałam od razu dostać potwierdzenie, że nic

się nie zmieniło, że... że nadal mu na mnie zależy...



Jestem już na miejscu. Szczęśliwie. Czy u ciebie wszystko w porządku?
Nie odzywasz się... K.

Po chwili usłyszałam kojący sygnał nadchodzącej odpowiedzi.



Kasiu, przepraszam, że się nie odzywałem. Cały dzień byłem zajęty. Trudna sytuacja. Cieszę się, że już jesteś. Bardzo. Śpij spokojnie. Maks.

Odetchnęłam głęboko. Ulżyło mi niesamowicie, bo chyba nigdy w życiu nie czułam takiego emocjonalnego obciążenia i nigdy jeszcze tak bardzo mi na czymś i na kimś nie zależało...

Znowu w myślach opieprzyłam siebie za nadwrażliwość oraz snucie bezpodstawnych wątpliwości i czarnych scenariuszy, solennie obiecując, że następnym razem będę myślała racjonalnie. „Może ktoś był chory, może musiał się kimś zająć... – analizowałam. – A ja sobie wyobrażałam nie wiadomo co... Ogarnij się, dziewczyno!”

– Miłej nocy, Maks – szepnęłam i zaczęłam zbierać się do spania, marząc, by we śnie pojawił się tylko on.

19. Lżejszy krok

Pomimo iż szłam tego dnia do szkoły, za którą nieszczególnie przepadałam, cieszyłam się, że najgorszy okres w roku był już za mną. Większość ludzi uwielbia Boże Narodzenie, a sylwester wręcz ubóstwia. Dla mnie to niezbyt przyjemny czas, spędzony w towarzystwie, z którym najchętniej widywałamby tylko na herbatę i to niekoniecznie każdego roku. No może z wyjątkiem ciotki Róży, która zawsze była w porządku, a w tym roku absolutnie mnie zauroczyła.

Gdy przyszedłam do jadalni, zobaczyłam moją matkę, zwyczajowo krzątającą się po kuchni. Tego ranka wyglądała jednak bardzo źle. Nie ze względu na uczesanie czy ubiór, bo to jak zawsze miała dopracowane, ale jej twarz zdradzała, że była wyczerpana.

– Schudłam – szepnęłam do niej, uradowana.

– Ważyłaś się?

– Nie wytrzymałam. W środę idę do Penelopy na oficjalne pomiary, ale chciałam zobaczyć co i jak.

– Ile?

– Osiemdziesiąt pięć!

– To naprawdę dobry wynik. Były święta, a ty i tak schudłaś.

Te słowa mojej mamy dały mi do myślenia, bo istotnie ludzie zazwyczaj tyją w święta, a ja nie dość, że nie przytyłam, to jeszcze schudłam. Może zaledwie kilogram, ale zawsze to o kilogram mniej do ustalonej czterdziestki.

– Bosko! – dodałam, podekscytowana, wzbudzając zainteresowanie ojca, który łypnął na mnie znad gazety.

– Masz dzisiaj trening? – zapytała matka, uśmiechając się blado.

– Tak. A po lekcjach idę z Zochą do biblioteki, więc zjem coś na mieście.

– Ale coś rozsądnego, dobrze?

– Sałatkę z tuńczykiem w Eko Barze.

– Tylko bez pieczywa – zastrzegła.

– Mamo! – odparłam oburzona. – Nie jestem dzieckiem! Wiem, co mi wolno!

– No, sęk w tym, że jesteś dzieckiem, kochanie, i to moim, więc muszę mieć pewność. Całkiem niedawno obiecałam, że ci pomogę, pamiętasz może? – dodała i pakując moje drugie śniadanie, czyli jogurt naturalny i garść płatków, wymieszanych z siemieniem lnianym i suszonymi morelami, cichutko zaczęła nucić swoją ukochaną piosenkę, czyli „Wonderful world” Louisa Armstronga. Zawsze lubiłam słuchać tego jej cichutkiego świergotu.

– Będę po piątej – rzucił ojciec, wychodząc.

– Dziś twoje ulubione krokiety, Robercie – odparła zalotnie matka.

– Tylko bez sosu – dodał stanowczo.

Miałam ochotę krzyknąć w jego stronę, aby się przymknął i choć raz podziękował swojej żonie za przygotowanie obiadu zgodnie z jego widzimisię, ale pohamowałam się. Spojrzałam na matkę i ku swojemu zaskoczeniu dojrzałam na jej twarzy delikatny uśmiech, jakby dopiero co usłyszała jeden ze słodszych komplementów.

– Miłego dnia, Robercie – zakończyła i podeszła do niego, strzepując z jego palta niewidoczny okruszek.

Zdawało mi się, że zrobiła to tylko po to, aby skłonić go do jakiegoś gestu sympatii, do drobnego całusa albo chociaż uśmiechu. Zamiast tego musiała zadowolić się zdawkowym: „Tobie też”.

* * *

Zmierzając w stronę szkoły, uśmiechałam się do siebie, myśląc o kolejnym straconym kilogramie. Udało się!

„Masz motyle w brzuchu, które wpierdzielają twój tłuszcz, chudzielcu” – odpowiedziała Zocha, kiedy podzieliłam się z nią w SMS-ie swoim kolejnym sukcesem. Myślałam potem o tych motylach, o tych uczuciach, które narastały we mnie coraz bardziej. Uśmiechałam się do siebie i radośnie podrygiwałam. Nadal trudno było mi uwierzyć, że to wszystko działa się naprawdę, że taki fantastyczny facet jak Maks zainteresował się taką niczym niewyróżniającą się dziewczyną jak ja.

To było wręcz irracjonalne, ale jednak przytrafiło się! Powracałam myślami do słów Maksa, do rozmów o tylu zwyczajnych i niezwykłych sprawach. Do mojej wczorajszej huśtawki nastrojów, niepewności i uspokajających słów Maksa: „Cieszę się, że już jesteś. Bardzo”. Odnosiłam wrażenie, że myśląc o nim, przeskakiwałam sobie z chmurki na chmurkę, rozplływając się nad tym, co mnie spotkało. To moje bujanie w obłokach przerwałam, przekraczając próg szkoły, a raczej nie ja je przerwałam, tylko wredne „plastikowe”, które właśnie gromadziły się przy wejściu.

– Patrzcie, locha lezie!

Pomyślałam, że niezależnie od tego, ile bym nie schudła, dla nich i tak zawsze będę obleśnie gruba. Chciałam krzyknąć w ich stronę, że schudłam ponad dwadzieścia kilo, ale zdałam sobie sprawę, że osiemdziesiąt pięć kilogramów brzmi dla nich tak samo abstrakcyjnie, co sto siedem, bo one przecież ważą nie więcej niż pięćdziesiąt parę...

– Ciekawe, czy gacie jej dziś nie pękną?

Usłyszałam szyderczy śmiech i poczułam, jak wzbiera we mnie złość.

„Nie zepsujecie mi tego dnia, o nie!” – postanowiłam. Durne krowy robiły sporo zamieszania tym swoim sztucznym, piskliwym śmiechem i teatralnymi minami. Popatrzyłam na wypacykowaną „Chudą Ankę” i na jej przesadnie wyeksponowany biust. Skierowałam się w jej stronę, choć nigdy wcześniej tego nie robiłam. „Plastikowe” ucichły i zaskoczone moją postawą gapiły się na mnie jak sroki w gnat.

– Wiesz... – powiedziałaam przesłodzonym głosem, pasującym bardziej do jednej z nich – coś ci się przykleiło do włosów, chyba guma do żucia. Jak na mój gust, będziesz musiała je obciąć.

Trudno mi było ogarnąć to, co działo się potem. Anka wpadła w szal i wrzeszcząc na wszystkie „plastikowe”, kazała szukać sobie we włosach wyimaginowanej przeze mnie gumy do żucia. Przez chwilę patrzyłam na całe to zamieszanie, czując ogarniającą mnie satysfakcję. Pierwszy raz odważyłam się im dopiec. Pierwszy raz chociaż przez moment to ja byłam górą i co więcej, coś mi mówiło, że nie był to mój ostatni popis. Wiedziałam, że ich zemsta będzie okrutna, ale nie bałam się tego ani trochę, bo czułam się dziwnie silna, jakbym w tej jednej

chwili coś w sobie przełamała.

Zocha nie mogła uwierzyć, że zagięłam Ankę. Razem zwijałyśmy się ze śmiechu w korytarzu na drugim piętrze, zarezerwowanym dla odmieńców, dziwolągów i outsiderów.

– Jezu, ona cię teraz normalnie zgnębi – powiedziała w końcu, kiedy zaczęła trzeźwo myśleć. – Nas zgnębi...

– A co robiła do tej pory? – zapytałam przytomnie.

– Fakt. Ale wydaje mi się, że ona da radę być jeszcze ostrzejsza.

– No to i my będziemy jeszcze ostrzejsze – rzekłam odważnie.

– Słuchaj, Zocha, tobie te mały nie mają nic do zarzucenia. Jesteś przecież chudsza od najchudszej z nich, a im głównie o to przecież chodzi. Nienawidzą takich jak ja, grubasów, ale ja już nie jestem tą starą Kaśką, co trzęsała się przed nimi. Mam je w dupie i szczerze mówiąc, jeśli będą mi coś wytykały, nie pozostanę im dłużna.

– Ale ty groźna jesteś, nie poznaję cię! – podsumowała Zocha, szturchając mnie w bok. – Jeszcze zacznę się ciebie bać!

Gdy mijałyśmy różne grupki ludzi na drugim piętrze, wszyscy jakoś dziwnie na mnie patrzyli. Podejrzewałam, że sprawa z gumą we włosach rozeszła się po szkole i każdy, kto żyw, w tajemnicy przed „plastikowymi” cieszył się, że w stronę szykanującej wszystkich „Chudej Anki” w końcu poleciała odważna riposta. Byłam taką cichą bohaterką poranka, nieznaną dotąd nikomu bojowniczką, która postanowiła użyć oręża słownego w imię walki z wykluczeniem.

* * *

W bibliotece nie spędziłyśmy dużo czasu, bo nasz referat na historię wymagał niewielkich poprawek. Zmierzając w stronę Eko Baru, obgadywałyśmy tabuny przechodniów, zastanawiając się nad tym, dokąd zmierzali i czym na co dzień się zajmowali. Bardzo lubiłyśmy takie fantazjowanie, bo zazwyczaj śmiałyśmy się przy tym do rozpuku.

– Zobacz na tamtego – powiedziała Zocha, wskazując wysokiego, czarnowłosego mężczyznę, ubranego w elegancki grafitowy płaszcz w jodełkę. – Wygląda jak twój Maks za dwadzieścia lat, no nie?

Choć nie było zimno, poczułam dojmujący chłód, ogarniający całe moje ciało.

– Jezu, Zocha, jaki „mój”?! – palnęłam.
– No, tak się mówi – odparła. – Od kiedy ty taka wrażliwa jesteś, co?

– Nie wiem... – powiedziałam wymijająco, wstydząc się swojego nieoczekiwanego wybuchu.
– A tak w ogóle to coś mi się zdaje, że komuś tu na kimś zależy... – dodała tajemniczo. – Motyli coraz więcej, co?
– Przestań!
– Kaśka! – Zocha złapała mnie za rękę. – Kasieńko ty moja najukochańsza... – Trajkotała, ciesząc się przy tym, jakby wygrała na loterii. – ...ty się zabujałaś!
– O, przestań! Coś ci powiezieć! – oburzyłam się, choć serce grzmiało swoją własną melodię. – Fajny facet, i tyle.
– Ale oczy ci się świecą! Tak inaczej!
– Nawet go nie znam!
– Jak to go nie znasz?! Tyle czasu z nim przegadałaś.
– Wirtualnie, Zocha, wirtualnie. Nie rozmawiałam z nim, patrząc mu w oczy. A to spora różnica.
– Ale było miło?
– Przecież ci mówiłam, że było super, bo... bo Maks jest super, ale dopiero jak poznam go na lajfie, to ci powiem, co o nim naprawdę myślę.
– Właśnie! Kaśka! Kiedy masz sesję?
Zaparło mi dech w piersiach i najwyraźniej musiałam zrobić jakąś czadową minę, bo Zocha patrzyła na mnie z niedowierzaniem.
– O co chodzi?
Nic nie odpowiedziałam, tylko nadal stałam w bezruchu.
– Hej?
– Sesja jest w środę... – wydusiłam z siebie.
Zocha nadal przyglądała mi się, jakbym co najmniej urwała się z księżycy. Pewnie i tak wyglądałam.
– Boisz się?
– Jak diabli.
– No, ale przecież tego chcesz. A czy to nie ty przed chwilą powiedziałaś, że jak poznasz go na lajfie, to będziesz mogła powiezieć,

jaki jest naprawdę?

– Jezu...

– Przecież on nie gryzie. Wyluzuj, kobieto!

– Łatwo ci powiedzieć.

– A jasne, że łatwo, bo nie widzę w tym nic trudnego. Jutro się z nim zobaczysz i w końcu będziesz mogła pogadać. No i najważniejsze, że spojrzysz mu w oczy.

Całkowicie mnie zatkało. Stałam jak wryta i złapałam się za głowę. Zośka bez słowa patrzyła na mnie, nie mając pojęcia, co mnie napadło.

– O, kurwa! – przeklełam, sprawiając, że dwie starsze kobiety, które przechodziły obok, odwróciły się, obrzucając mnie karcącym spojrzeniem. – Nie dam rady!

– Kaśka, dasz radę! Bez dwóch zdań! Teraz to już musisz się z nim spotkać – ciągnęła, ale ja w żaden sposób nie reagowałam. – Tak normalnie spotkać, czyli pogadać, a nie tylko siedzieć obok siebie na sesji czy wysyłać mejle. Przecież to na tym polega, że ludzie się spotykają, gadają ze sobą, podobają się sobie, a potem to już zostaje tylko „I żyli długo i szczęśliwie”.

– Przestań się nabijać, Zocha! Ja na serio mam problem, cholera! Ja... ja nie wiem, jak się powinnam jutro zachować.

– Zachować się? Czy ty normalna jesteś?! – Zocha stanęła naprzeciwko i złapała mnie za dłonie. Miała takie same kościste palce jak moja matka i tak jak ona potrafiła je mocno zacisnąć. – Masz być sobą! Przecież on cię widział, on ci się przyglądał i na pewno cię zlustrował. Rozmawiał z tobą. No dobra, tylko wirtualnie, ale rozmawiał, co oznacza, że jest w pełni świadomy, jaka jesteś, czaisz?

– Aha – odparłam zdawkowo, bez przekonania.

– Uwierz w końcu w siebie, chudzielcu, że jesteś fajną dziewczyną, bo jak nie, to cię zdziesią! – Zocha wykonała groźący ruch ręką, a że była ode mnie sporo niższa i zdecydowanie chudsza, rozbawiła mnie tym.

Gdy wychodziłyśmy z Eko Baru, w którym zgodnie z obietnicą daną matce zamówiłam sałatkę z tuńczykiem i marynowanymi cebulkami, Zocha nadal trwała o tym samym.

– Słuchaj, jeśli tyle już rozmawialiście ze sobą, to jedyne, czego

teraz wam potrzeba, to właśnie spotkania. I...

– Myślisz, że ja tego nie wiem? – przerwałam jej. – Ja to wszystko wiem. Doskonale to rozumiem, ale to jest silniejsze ode mnie, bo... za bardzo mi na nim zależy. – Moja przyjaciółka uśmiechnęła się z satysfakcją, jakby właśnie na te słowa czekała. – Zrozum, że to jest za idealne, żeby mogło być prawdziwe.

– Kaśka, to może ty zrozum, że to jest idealne i na dodatek prawdziwe.

Tymi słowami Zocha odprawiła mnie na trening, w czasie którego rozważałam słuszność jej słów. Dopingowało mnie to do niepoddawania się, kiedy traciłam siły, kiedy powinno mi się już nie chceć. I wtedy powoli zaczęło docierać do mnie, że ćwiczę więcej właśnie przez Maksa i właśnie dla Maksa. To jego osoba, choć na razie zaledwie wirtualnie, powodowała, że wyciskałam z siebie siódme poty, aby wyglądać tak, jak chciałam, tyle że w zdecydowanie krótszym czasie.

* * *

Gdy wpadłam do domu, w głowie kołatała mi tylko jedna myśl: „Sprawdzić mejla”. W szkole wchodziłam na skrzynkę kilka razy, ale niczego od Maksa nie dostałam. Chciałam nawet do niego napisać, ale moje tchórzostwo okazało się silniejsze. Nie rozpakowałam torby, nie przebrałam się, tylko od razu rzuciłam się do komputera. Westchnęłam, widząc wiadomość od Maksa.

@ 7.01.2014, 19:20

Od: Max

Do: Key

Temat: W końcu będzie dobrze...

Droga Kasiu!

U mnie kolejny trudny dzień. Muszę wyjaśnić coś ważnego. I to nie jest dla mnie łatwe. Dla nikogo nie jest.

Nie rozumiałam jego enigmatycznych słów, a już na pewno nie miałam pojęcia, co znaczyło określenie „dla nikogo”...

@ Cieszę się, że już wróciłaś, bo sama świadomość twojej bliskości dodaje mi sił.

Dziś wieczorem, niestety, nie spędzę czasu z tobą, bo idę z rodziną

na uroczystą premierę do teatru, a potem na obowiązkowe after party, więc do późnej nocy mnie nie będzie. Ale ty pisz, odpiszę.

Miłego dnia!

Maks

PS Jutro spotykamy się na sesji. Wybaczysz mi, jeśli będę nieco spięty? Nie należę do tych, którzy są hej do przodu i nie najlepiej mi idzie w kontaktach face-2-face, o czym pewnie już się zdażyłaś przekonać.

Kilka razy przeczytałam jego list. Czułam, że Maksa coś blokowało, że działo się coś skomplikowanego, czego nie mógł załatwić ot tak. Gdzieś między słowami odnajdowałam niepewność, ale nie miałam pojęcia, czego ona dotyczyła. Fakt faktem, że Maks nie był już taki wylewny jak wcześniej, nie okazywał tej niezwyklej wrażliwości, którą tak bardzo mnie ujął. „Dzieje się coś złego...” – podsumowałam, odrzucając jednocześnie dręczącą myśl, że mogło to mieć związek z moją osobą.

O ile pierwsza część jego wiadomości była zawoalowana i napawała lękiem, to druga doskonale pasowała do Maksa, z którym prowadziłam wirtualne rozmowy. Ucieszyłam się, że otwarcie napisał o strachu przed naszym spotkaniem. Czułam, że on też nie wiedział, jak to będzie, kiedy staniemy naprzeciwko siebie i przyjdzie nam powiedzieć zwyczajne „cześć”. „A może nie powinnam iść na sesję? A co jak mnie zobaczy i zmieni zdanie, i nie będzie już «droga Kasiu» ani «cieszę się»?”. Poczułam, jak gardło mi się zaciska, a oczy zaczynają piec. „Ale ty jesteś durna! – skarciłam sama siebie. – Przestań dramatyzować! Przecież on cię widział i nie uciekł!”.

Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, więc podeszłam do okna. Po chodniku znowu biegła starsza kobieta w fioletowym stroju, podkreślającym doskonałą sylwetkę. Spojrzała na mnie, wykonując ten sam drobny gest – muśnięcie czubka nosa wskazującym palcem. „Ciekawe, kto to jest? I czemu zawsze patrzy na mnie...”. Przez moment przyglądałam się jej sprężystym ruchom. Po chwili, tak samo jak za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłam, poczułam jakiś nieoczekiwany przypływ energii i wewnętrznego szczęścia.

„Nie ma się czego bać! Nie ma się czego bać! – powtarzałam

w myślach. – Niczego nie tracisz, idiotko! Najwyżej się nie uda... A jak nie spróbujesz, będziesz sobie wytykała, że tego nie zrobiłaś”.

Usiadłam z powrotem do klawiatury i czując narastającą moc, zaczęłam klecić odpowiedź.

@ 7.01.2014, 19:50

Od: Key

Do: Max

Temat: Trudne dni też kiedyś się kończą

Witaj, Maks,

Na pewno dobrze poradzisz sobie z tą trudną sprawą. Dla równowagi i one są nam czasami potrzebne. Jeśli miałabym ci jakoś pomóc albo chciałbyś o tym pogadać, daj znać. Wiesz, jak mnie znaleźć.

Ja też boję się jutra. Boję się, że nie będę sobą. Boję się, że nie zobaczysz we mnie tego, czego być może oczekujesz. Boję się, że coś pójdzie nie tak i ~~nie będziesz już chciał się ze mną kontaktować~~. Rozumiesz...?

Obiecuj mi, że jeśli coś cię jutro rozczaruje, napiszesz mi o tym szczerze, jak robiłeś to do tej pory.

~~To wszystko jakoś tak szybko się dzieje, że się gubię...~~

Z rzeczy dla ducha:

Mam nadzieję, że to dobra sztuka i będziesz chciał się podzielić swoimi wrażeniami. Lubię teatr, lubię się śmiać w teatrze, płakać zresztą też, i lubię słuchać, jak ludzie opowiadają o wrażeniach po spektaklu. Są wtedy przepelnieni taką niespotykaną energią.

Z rzeczy totalnie przyziemnych:

Dziś po raz pierwszy wykazałam się asertywnością wobec najbardziej znieawidzonej grupy chudzielców w mojej szkole i jestem z tego dumna!

Czekam na Ciebie po drugiej stronie.

Key

PS Przez moment chciałam wycofać się z jutrzejszej sesji, ale tylko przez moment.

Wysłałam i wiedząc, że nie otrzymam odpowiedzi, wyłączyłam komputer. Położyłam się na podłodze i zastanawiałam się nad tym

wszystkim po raz kolejny. W mojej głowie szalał huragan myśli, który, podsycany nieznanymi mi dotychczas ognistymi emocjami, ciężko było okiełznać.

– Coś się stało? – zapytała matka, która jak zwykle znalazła się w moim pokoju w najmniej oczekiwanym momencie.

Wyglądała już nieco lepiej niż rano, choć wyraźnie widać było, że coś jej doskwierało.

– Nie – odparłam od niechcienia.

– Coś się stało! Dziwnie wyglądasz. – Nie dawała za wygraną.

– Jestem zmęczona po treningu – skłamałam. – Ale ty nie jesteś po treningu, a wyglądasz kiepsko.

– A, to nic wielkiego. Nie wysypiam się ostatnio, za dużo stresu w pracy – odparła wymijająco. Jej tłumaczenia w żadnej mierze mnie nie przekonywały, gdyż odnosiłam wrażenie, że wszystkiemu winien był ojciec, a nie praca. – Odpocznij sobie jeszcze chwilę, bo zaraz kolacja. Przygotowałam ci dzisiaj coś dobrego.

Po pysznym, ale spożytym w całkowitym milczeniu posiłku nie miałam już na nic ochoty. Postanowiłam trochę poczytać, ale jakoś mi nie wychodziło, bo kwestia jutrzejszej sesji była nieco ważniejsza, niż koleje losu Katniss Everdeen w „Igrzyskach Śmierci”.

– Cholera, weź się w garść! – złościłam się na siebie, nie mogąc opanować rozhuśtanych emocji.

Nigdy w życiu nie czułam się tak dziwnie rozkojarzona. Nigdy w życiu nie analizowałam niczego tak drobiazgowo. Jezu, nigdy w życiu nie myślałam tak dużo o jednej osobie, a już na pewno nie o chłopaku. Nigdy w życiu nie czytałam czyichś wiadomości po tysiąc razy.

Nie przepadałam za sprawdzaniem poczty w komórce. Miniaturowe literki absolutnie nie oddawały emocji, jakie się za nimi kryły. Włączyłam wobec tego komputer, chcąc raz jeszcze przeczytać ostatnią wiadomość od Maksa, chcąc podręczyć jeszcze bardziej i tak udręczony umysł. Gdy oprócz mejla od Zośki niespodziewanie dojrzałam wiadomość od faceta, który zakorzenił się w mojej głowie, bez wahania dokonałam wyboru.

– Sorry, Zośka! – powiedziałam i czując, jak moje serce zaczyna wiwatować, drżącą ręką kliknęłam wiadomość.

@ 7.01.2014, 20:11

Od: Max

Do: Key

Temat: Spektakl nie zając, nie ucieknie

Spektakl nadal trwa i choć „Bóg mordy” jest naprawdę rewelacyjny, nie mogłem się oprzeć pokusie sprawdzenia poczty. Zrobiłem to już z dziesięć razy. Może nawet więcej...

Kasiu, to ja powinienem się obawiać tego, że cię rozczaruję, że nie spełnię twoich oczekiwań. Przez ostatnie tygodnie tak dobrze się tobie przyjrzałem, że dalsze odkrywanie ciebie będzie dla mnie czystą przyjemnością. Pytanie tylko, czy twoje odczucia będą takie same? Czy będziesz chciała mnie poznawać?

„Czy będziesz chciała mnie poznawać?” – tylko jedna odpowiedź mi się nasuwała: „TAK! TAK! TAK!”.

@ Nie uważasz, że dręczy nas taki „dobry” strach?

Dokładnie tak myślałam, ale nienawidziłam tego uczucia, bo głupiałam przez nie...

@ Cieszę się, że pokonałaś barierę i pokazałaś pazurki w szkole. Dałbym wiele, żeby zobaczyć cię w akcji:)

Muszę kończyć.

Do zobaczenia jutro.

Maks

PS Proszę, nie uciekaj. To nie jest najlepsze rozwiązanie.

PS 2 Muszę sam poradzić sobie w trudnej sytuacji. Raczej nie mogłabyś mi w niczym pomóc.

PS 3 To prawda, że dla równowagi los stawia przed nami przeszkody, które musimy pokonać, aby docenić to, co wartościowe i piękne. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś.

– Dobranoc, Maks – szepnęłam w stronę monitora, po czym zupełnie skołowana tym, co się wokół mnie działo, postanowiłam nic nie odpisywać.

20. Franciszka Księżopolanka

Słońce obejmowało jaskrawymi ramionami Vinci Tower, które tak opromienione wyglądało wręcz zjawiskowo. Emanując radosnymi myślami, weszłam do jego wnętrza i od razu natknęłam się na idealną twarz Leonarda Lwa, recepcjonisty ubranego w biały uniform. Gdy kiwnął w moją stronę głową, odpowiedziałam tym samym, dodając jeszcze do grzecznościowego gestu delikatny uśmiech. „Sympatyczny gość” – pomyślałam, zmierzając w jego stronę. Nie zdołałam jednak dotrzeć do kontuaru, kiedy usłyszałam głośnie rozmowę. Odwróciłam się i zamarłam. Po drugiej stronie holu, w specjalnym pomieszczeniu, wydzielonym dla oczekujących gości, tyłem do mnie stał Maks, rozmawiając z tą samą chudą blondyną w przykrótkiej spódniczce i w seksownych wysokich kozakach. „Właśnie, przecież to jest jego dziewczyna... Jak mogłam o tym zapomnieć!”. Gdy widziałam ich poprzednio, wisiała na jego ramieniu, niczym szarfa, manifestując wszem i wobec stan swego posiadania.

Moje podekscytowanie dzisiejszą sesją uleciało niczym zapach kiepskich perfum tuż po wyjściu z drogerii. Nie wiedzieć dlaczego schowałam się za znajdujący się tuż obok filar i obserwowałam ich. Dziewczyna mizdrzyła się do Maksa, szeptała mu coś na ucho, chichotała, a on zdawał się nie być obojętny na jej delikatne zaczepki, nie cofał jej rąk ani nie uchylał się przed jej bliskością. Widziałam to jakby w zwolnionym tempie. Lekko przekrzywiając głowę, katowałam swoje serce czymś, czego nie przewidziałam, czego nie brałam nawet pod uwagę. On miał dziewczynę! I to nie byle jaką dziewczynę! Ładną, szczupłą laskę, a nie kogoś takiego jak ja. „Jezu, co ja sobie wyobrażałam?!”.

Poczułam suchość w gardle i nagłą konieczność zaczerpnięcia

świeżego powietrza, więc po prostu wybiegłam przed budynek. Poślizgnęłam się jednak na mokrym chodniku i wyłożyłam się jak długa wprost pod nogi Penelopy.

– No, takiego powitania zupełnie nie oczekiwałam! – rzekła radośnie, pomagając mi wstać.

– Ja nie... – wyjąkałam i pozbierałam się, korzystając z pomocnej dłoni.

– Nic ci nie jest? – zapytała, gdy dostrzegła moją pobladłą twarz, ociekającą łzami.

– Nie... To znaczy, źle się czuję – stęknęłam.

– Coś cię boli? – Penelopa wyraźnie się zaniepokoiła.

– Trochę... Nie dam rady wytrwać dziś na sesji.

– Idziesz do lekarza?

– Samo przejdzie – odparłam. – Mam jakąś niestrawność.

– Dobra, leć do domu, ale jutro się zgłaszasz, może być?

– Aha – odparłam bez entuzjazmu, sprawiając, że Penelopa spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Hej, Kaśka, czy to aby na pewno tylko niestrawność?

– Tak, na pewno – powiedziałam zdecydowanie, zmuszając się do sztucznego uśmiechu.

Obrzuciła mnie tym swoim wszystko wiedzającym spojrzeniem. Zawsze odnosiłam wrażenie, że Penelopa to osoba, która nawet bez jednego mojego słowa doskonale wiedziała, co chodziło mi po głowie.

– W następną środę mamy spotkanie indywidualne, to sobie pogadamy. Teraz muszę już lecieć. Do czwartku na grupówce! Trzymaj się!

Penelopa, odziana w dopasowany szary płaszcz z szerokim liliowym pasem, związanym u boku, pomachała do mnie i donośnie stukając obcasami, zniknęła w obrotowych drzwiach Vinci Tower.

Zostałam sama ze swoimi katastroficznymi myślami. „Cham! Palant! Oszust! – zwymyślałam go, a zaraz potem wściekłam się na siebie. – A czego ty się spodziewałaś? Niczego ci nie obiecywał! Chciał przecież tylko pogadać... Nie pisał o niczym więcej... A że myślał o tobie? Że się cieszył z twojego przyjazdu? Że miał jakąś niespodziankę? Cholera, przecież nie można komuś zabronić myślenia,

cieszenia się czy dawania prezentów...”.

Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak podle się czułam. Bez energii, bez uśmiechu i podśpiewywania, które jeszcze przed momentem mi towarzyszyły, wracałam do domu z myślą, aby paść na łóżko i zacząć drzeć się do poduszki. Jak bumerang powracała do mnie stop-klatka z filmu „Blondyna i Maks oszust”, sprawiając, że z oczu bez opamiętania ciekły mi łzy. „Głupia Kaśka! Głupia Kaśka! Głupia Kaśka!” – powtarzałam sobie, kopiąc kamienie, zgniecione papiery i plastikowe nakrętki, które znalazły się na mojej drodze. „Jak mogłaś być taka naiwna?” – pytałam się, nie udzielając jednak żadnej odpowiedzi.

Kipiałam wściekłością, frustracją i złymi emocjami do czasu, aż poczułam anielską woń cukierniczego arcyzmu.

– Pączka! – rzuciłam nerwowo do starszej sprzedawczynie w białym fartuchu. – Albo... dwa. Tak, dwa.

– Dobrze, kochana, już daję dwa pączusie, świeżuteńkie, przepyszne, prosto z rąk naszego mistrza – odpowiedziała, a ja poczułam, jak cieknie mi ślinka.

– I dwa na wynos – wyszeptałam.

– I dodatkowo dwa na wynos, kochana? Dobrze usłyszałam? – upewniła się.

– Tak.

– Czyli w sumie cztery pączusie?

Pokiwałam głową, czując narastającą potrzebę jak najszybszego wchłonięcia przynajmniej jednej drożdżowej kulki oblanej smakowicie wyglądającym lukrem.

– Tych proszę nie pakować!

– Ale których, kochaniutka? – zapytała, irytując mnie już tym swoim przesłodzonym językiem.

– Tych dwóch. – Wskazałam. – Zjem je na miejscu.

Gdy tylko dorwałam się do pączków, pochłonęłam je wielkimi kęsami, nie myśląc zdroworoządkowo, a już na pewno nie biorąc pod uwagę żadnych dietetycznych wskazówek czy konieczności wpisania nieplanowanych słodkości do planera od Penelopy. Bez zastanowienia zżarłam – tak, zżarłam – dwa wielkie pączki z konfiturą różaną, oblane

grubą warstwą lukru.

– Nic ci nie jest? – zapytała mnie bardzo szczupła starsza kobieta o ciepłych oczach, a ja przecząco pokręciłam głową.

Wyglądała nieco ekscentrycznie. Miała długie blond włosy, zabarwione fioletową płukanką, i nosiła bardzo obcisłe ciuchy, podkreślające jej nienaganną sylwetkę, zupełnie niepasującą do stereotypu staruszki.

– Należy jeść spokojnie, powoli i małymi kęsami – wychrypiała kobieta. – I na pewno nie wtedy, gdy serce się kłóci z rozumem.

Zbaraniałam. Kobieta patrzyła na mnie takim mądrym wzrokiem, w którym nie wyczuwałam ani odrobiny kpiny. Zrobiło mi się cholernie głupio i poczułam, że pąsowieję.

– Nie ma się co wstydzić. Kiedy idzie o sprawy damsko-męskie, po prostu rozważaj je, moja droga, przy herbacie, nie przy pączku. – Złapała mnie za przedramię w tak dziwny sposób, że przeszedł mnie dreszcz, po którym poczułam się znacznie lepiej. – Do takiej ładnej buzi pasowałaby miętowa.

Nie miałam bladego pojęcia, skąd ta kobieta wiedziała, że było mi źle, że smutek rozszarpywał mi serce, niczym złakniony krwi drapieznik, że rzuciłam się na te pączki tylko dlatego, iż parę chwil wcześniej zobaczyłam coś, co wstrząsnęło mną i moim małym światem. Nie miałam też pojęcia, w jaki sposób ta tajemnicza kobieta sprawiła, że poczułam się lepiej. Co takiego było w jej dotyku? Chciałam ją o to wszystko zapytać, ale przez gardło nie przechodziło mi żadne słowo. Zamiast pytań skierowałam w jej stronę małą paczuszkę z dwoma pączkami.

– To miłe z twojej strony – odparła. – Ale nie mogę ich przyjąć. Może daj je tamtemu panu. – Wskazała na mężczyznę z kolejki, najprawdopodobniej kloszarda. – Nie wygląda na zamożnego.

Pokiwałam głową, nadal nie dając rady wydusić z siebie ani słowa.

– Dobrze.

– Miła z ciebie dziewczyna – podsumowała i musnęła palcem wskazującym koniuszek nosa.

Poczułam kolejny dreszcz przebiegający przez moje ciało. To był przyjemny dreszcz, który w jakiś niewyjaśniony sposób pobudził we

mnie energię. Spojrzałam na moją rozmówczynię i wtedy to do mnie dotarło. To była ta sama kobieta, którą wcześniej dwukrotnie widziałam biegnącą pod moim domem. Z bliska wyglądała jednak na dużo starszą, co nieco mnie zmyliło, ale strój i ten charakterystyczny gest dawały mi pewność, że miałam rację.

– Nic nie mówisz, Kasiu, a ja się nie przedstawiłam! Nazywam się Franciszka Księżopolanka – oświadczyła i delikatnie uśmiechając się, wyszła z cukierni, zostawiając mnie przy małym, owalnym stoliku.

Kiedy się ocknęłam, szybko wręczyłam mężczyźnie paczuszkę z dwoma pączkami, wprawiając go w osłupienie. Nie wypowiedział nawet słowa „dziękuję”, ale wyraz jego twarzy był wystarczającym dowodem wdzięczności. Wybiegłam za kobietą, chcąc zapytać, w jaki sposób dowiedziała się, jak się nazywam, dlaczego biegała przed moim domem i co sprawiło, że znalazła się w tej samej cukierni i o tej samej porze, co ja. A najbardziej chciałam dowiedzieć się, dlaczego odczuwałam ten dziwny dreszcz, gdy muskała nos palcem wskazującym. Nie wiedziałam z jakiego powodu, ale coś mi podpowiadało, że znała moją babcię. Może przez sposób, w jaki na mnie patrzyła? Może przez serdeczność i spokój, które od niej były?

Nie zapinając nawet kurtki, biegłam wzdłuż ulicy, szukając śladów starszej kobiety z przewieszoną przez ramię fioletową torbą. I choć powinna tam być, bo przecież dopiero co wyszła, nie dojrzałam jej ani po jednej stronie ulicy, ani po drugiej. Sprawdziłam w pobliskim warzywniaku, sklepiku spożywczym, a nawet w kwiaciarni. Nigdzie nie było śladu tajemniczej kobiety. „Kim ty jesteś?” – zastanawiałam się.

Wracając do domu, próbowałam nie myśleć o tym, co zobaczyłam w Vinci Tower, mając za temat zastępczy spotkanie oko w oko z kobietą z cukierni.

– Mamo, czy znasz kogoś, kto nazywa się Franciszka Księżopolanka? – zapytałam, gdy dotarłam do domu po ponaddwugodzinnej włóczędze.

– Ktoś z telewizji?

– Nie.

– Polityk? – zapytała, pobudzając tym samym zainteresowanie ojca, który niespodziewanie oderwał się od gazety.

- Polityk?
- Żaden polityk – odpowiedziałam, lekko poirytowana.
- To kobieta koło osiemdziesiątki, gdzieś w wieku babci Zuzy, gdyby żyła.
- Ja, Kasienko, nie znam, niestety, żadnej Franciszki – odparła matka.
- Ojciec oczywiście nie zabrał w tej sprawie głosu, bo z zasady nie zwracał uwagi na kobiety, chyba że brylowały na politycznych salonach.
- O której dzisiaj ćwiczysz? – zapytała matka, kiedy zmierzałam już w stronę swojego pokoju.
- Jeszcze nie wiem.
- Ale pamiętaj, że twój plan na dziś to czterdzieści minut na siłowni.
- Niestety... – odparłam, nie mając wcale w głowie treningu, tylko na przemian Maksa i tajemniczą kobietę, która o nim wiedziała.

* * *

Następny dzień włókł się niesamowicie. Zocha, oczywiście, od razu wyczuła, że coś jest ze mną nie w porządku, ale tego dnia nie miałam nastroju wprowadzać jej w arkana swojej porażki i zwałam wszystko na wyimaginowane problemy żołądkowe.

- No, naprawdę nie byłam na sesji – przekonywałam ją.
- Ale, kurczę, Kaśka, przecież pisałaś z nim, przecież to było ważne! – strofowała mnie, a ja aż kipiałam w środku na myśl, że te godziny przy komputerze, te cudowne rozmowy prowadziłam tak naprawdę bez sensu. Byłam wściekła na siebie za swoją bezgraniczną naiwność.

- Zocha, skręcało mnie. Po prostu nie dałam rady.
- Już ci uwierzę... Mów, co się stało! Natychmiast!

Nagle poczułam, że muszę jej wyznać całą prawdę. Na horyzoncie pojawiła się jednak grupka „plastikowych”, wybawiając mnie z konieczności wypowiedziania się przed przyjaciółką. Dostrzegłszy mnie, zaczęły się szyderczo śmiać.

- Ej, Laska! – zaskowytała „Chuda Anka” – słyszałam, że się wylaszczyłaś! Tylko powiedz mi, w którym miejscu, bo jak dla mnie, to

dupa ci jeszcze urosła!

„Plastikowe” ryknęły gromkim śmiechem. Wyglądały jak stado zagłodzonych małp, które szukało obiektu do szykanowania.

Wzięłam głęboki oddech, przełknęłam ślinę i znacząco spojrzałam na Zoche. Powoli zbliżyłam się do Anki, wprowadzając ją w osłupienie.

– Powiem ci w tajemnicy, bo nawet cię lubię... – rzekłam szyderczo i najciszej jak potrafiłam. – Słyszałam, jak „Lopez” mówił w szatni, że przytyłaś.

Anka zatrzepotała doklejonymi rzęsami i głośno nabrała powietrza.

– Co? Ja? – Wyglądała, jakby usłyszała najgorszą wiadomość w życiu. – Ale... Kłamiesz! To niemożliwe! – zaczęła krzyczeć.

– Ja tylko powtarzam to, co usłyszałam – odparłam spokojnie.

– Nic więcej – dodałam z satysfakcją i odeszłam od ogarniętej szalem Anki i totalnie dezorientowanej grupy jej zwolenniczek.

Kiedy byłyśmy już poza zasięgiem wzroku szkolnych oprawczyń, wybuchłyśmy szaleńczym śmiechem.

– Ale ona miała minę! Coś ty jej nagadała?

– Że „Lopez” powiedział, że przytyła.

– A powiedział?

– A skąd mam wiedzieć? Przecież lowelas „Lopez”, pan idealny i niedostępny dla byle kogo, nie gada z kimś takim jak ja!

Padłyśmy na podłogę i śmiałyśmy się do rozpuku.

– Kacha, wiesz, że ona teraz nie zaśnie, bo przez cały czas będzie stała przed lustrem, szukając na swoim wychudzonym ciele jakichś fałdek czy symptomów czyhającego na nią cellulitu?

– I dobrze, niech szuka!

– Albo lepiej, padnie dziś na fitnessie z wyczerpania. Ostrzegam cię, będziesz ją miała na sumieniu!

– To ona powinna mnie mieć na sumieniu za lata znęcania się nade mną. Żałuję, że dopiero teraz zaczęłam się jej odgryzać.

– Tak, to prawda, ale od teraz wredna Anka będzie bała się tobie dokuczać.

– Nie wydaje mi się. Zresztą okaże się.

– Zaraz też okaże się, jaką jesteś przyjaciółką.

Spojrzałam na Zoche, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– O co ci chodzi?
– O to, że nie powiedziałaś mi prawdy o wczorajszym.
– Ale ty jesteś uparta!
– Jestem, jestem i za to mnie kochasz – stwierdziła Zocha i klepnęła mnie w ramię. – Zamieniam się w słuch.
Nie miałam siły dłużej jej zbywać i opowiedziałam, co się wydarzyło, kończąc z łamiącym się głosem, piekącymi oczyma i zaciśniętym gardłem. Nie rozplakałam się, choć niewiele brakowało.
– Czyli to była ta sama laska, którą widziałyśmy wcześniej? – zapytała po chwili Zocha.
– Aha – mruknęłam.
– O, cholera!
– Właśnie.
– To skomplikowane!
– No...
– Najgorsze, że nie wiemy kto to – stwierdziła.
– Jak to nie wiemy? *Hello!* Kto uwiesza się na ramieniu, szepcze coś do ucha i nie odstępuje na krok?
– Koleżanka? – infantylnie zapytała Zocha.
– Przestań mnie pocieszać! Może jestem gruba, ale nie głupia. To jego laska, a ja nie mogę się z nią równać.
– Tego nie wiesz!
– Jak to nie wiem?! – oburzyłam się. – Jestem od niej o połowę większa i nie mam przywileju ani szeptania, ani przytulania.
– Ale... – Zocha machnęła mi przed nosem palcem wskazującym.
– ...może on nie chce z nią być, tylko z tobą.
– Daj spokój! Kto może chcieć być z kimś takim jak ja? Prawie dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi! Zocha!
– Cholera! – Zocha wywróciła swoimi dużymi oczyma.
– Taaa...
– Musisz go zapytać. Innego wyjścia nie masz.
– Zgłupiałaś? W życiu go o nic nie zapytam! Przecież on mi niczego nie obiecywał. Po tym, co wczoraj zobaczyłam, nie zamierzam mu nawet odpisywać.
– To znaczy, że do ciebie pisał wieczorem?

– Czy pisał? – Wyciągnęłam komórkę i zaczęłam czytać: – „Kasiu, jednak uciekłaś. Co się stało?”, „Kasiu, co jest?”, „Kasiu, jesteś tam? Napisz!!!”, „Kasiu, nic ci nie jest?”. W sumie szesnaście SMS-ów od wczoraj.

– I co?

– I nic. Nie zamierzam odpisywać. Muszę o wszystkim zapomnieć!

– Ale, Kaśka, nawet nie zapytasz go o tę dziewczynę? Może to jakiś cholerny zbieg okoliczności, że ich widziałaś? Może on nie chce z nią być? Zobacz, jak on do ciebie pisze!

– Zośka, wyobrażałam sobie nie wiadomo co i teraz mam za swoje.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Skończmy ten temat.

– I tak nie dam ci spokoju.

– Wiem... – odparłam i przytuliłam się do mojej chudziny, która była mi w tej chwili największą opoką.

21. Gorzki smak strachu

W czwartek postanowiłam zjawić się na sesji w ostatniej chwili, aby przypadkiem nie natknąć się na Maksa z przymilającą się do niego dziewczyną o długich nogach. Na samą myśl, że znowu mogłabym ich zobaczyć razem, zrobiło mi się sucho w gardle.

„Masz iść na sesję i to na niej się skupić! – strofowałam siebie. – Nic innego nie jest ważne! Masz schudnąć – to twój cel!”. Wiedziałam jednak, że będę miała problem ze skoncentrowaniem się nad tematyką warsztatów, bo gdy tylko dojrzę Maksa, moje serce zwariuje, a myśli ogarnie totalny chaos.

Szczęśliwie, w holu nie spotkałam nikogo z mojej grupy, blondyny też nie było. Przywitał mnie za to Leonard Lew, od którego nie mogłam wprost oderwać wzroku, bo swój nietuzinkowy wygląd wzbogacił lekką opalenizną.

– Pani Katarzyno – powitał mnie, gdy zbliżyłam się do kontuaru.

– Pamięta mnie pan? – zapytałam zdziwiona.

– To moja praca – odparł i obdarował mnie profesjonalnym uśmiechem, a ja poczułam się nagle dziwnie wyluzowana.

– A więc wykonuje ją pan wyśmienicie – rzekłam i zaskoczona nagłym przyływem elokwencji uniosłam brwi.

– Dziękuję. Identyfikator, proszę. – Podał mi elegancką smycz z subtelnym napisem: „Vinci Tower. Najlepszy widok na biznes”.

W windzie tym razem towarzyszył mi Eros Ramazzotti, który

swym tęsknym głosem śpiewał o miłości. Miłość... „Jak mogłam być taka głupia...? Co ja sobie wyobrażałam?”. Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze.

– Myśl trzeźwo, kobieto! Obudź się! On jest zajęty, a tacy ciebie nie interesują, choćby byli najfajniejszymi z najfajniejszych! – Wzięłam głęboki oddech i roztarłam twarz rękoma. – Weź się w garść! Jesteś...

No właśnie. Tu się zatrzymałam, bo jaka tak naprawdę byłam? Ciemne, lekko kręcone włosy, gładka cera i niebieskie oczy to jedyne punkty, które nie budziły moich zastrzeżeń. Bo cóż więcej mogło się podobać w nadal za dużym ciele? Moje wnętrze? Żeby je poznać, wciąż trzeba było się przedrzeć przez centymetry tłuszczu.

– Musisz pozbyć się tego tyłka, mała – powiedziałam do siebie, oglądając w lustrze swoje wydatne pośladki. – Nie mówiąc o fałdach na brzuchu – dodałam, choć i tak byłam szczęśliwa, że te znacząco się zmniejszyły. Od feralnych stu siedmiu upłynęło już ponad dwadzieścia kilogramów! Wow!

Wychodząc z windy i widząc napis „Szkoła Latania. Uśmiechnij się”, moje serce zaczęło wariować. Weszłam do środka i zaszyłam się na pierwszej kanapie przy wejściu. Chciałam, aby nikt mnie nie zauważył. Nikt to znaczy Maks.

Po kilku minutach zaczął się ruch, bo dochodziła już godzina siedemnasta i ludzie zmierzali na swoje sesje. Siedziałam jak zahipnotyzowana, tępo wpatrując się w grupki bardziej i mniej znanych mi osób. Dostrzegłam Polę, która plotkowała z Kingą i Tolą z mojej grupy, a potem Michała, który, jak zawsze w osamotnieniu podążał na zajęcia. „Przestań histeryzować! Już! – strofowałam się, gdy w korytarzu pojawił się Maks. – To facet, który chciał tylko z tobą pogadać. Nic więcej!”.

Opuściłam swoją kryjówkę dopiero wtedy, gdy straciłam go z pola widzenia. Moje serce waliło jak oszalałe, kiedy przemierzałam niemal opustoszały hol. Zaledwie kilka osób czekało jeszcze na swoje zajęcia, oglądając na komputerze jakieś fotki i głośno je komentując. Gdy już widziałam mleczne drzwi naszej sali, zaczęła mnie ogarniać panika i chyba tylko dzięki bosko łagodnemu głosowi Josha Grobana, który rozpływał się z podsufitowych głośników, nie zdezerterowałam, tylko

zmusiłam się do cichego pomrukiwania melodii.

– A co ci tak wesoło? – usłyszałam znajomy głos.

– Mnie? Nie. – Pokręciłam głową.

– No, ale na pewno czujesz się lepiej, co? – zapytała Penelopa, klepiąc mnie po plecach.

– Tak, to prawda.

– To wchodzimy.

Tak jak się spodziewałam, wszyscy byli już w środku. Wszyscy, Maks też. Nie miałam jednak odwagi, aby zatrzymać na nim swój wzrok. Spanikowana, natychmiast usiadłam obok Poli.

– *Sono proprio contenta che tu stia meglio*⁵ – powitała mnie.

– *Grazie. Veramente sto meglio*⁶ – odparłam cicho, ale Pola aż jęknęła z zachwytu, słysząc że odpowiadam w języku Rzymian.

– Starczy tych włoskich pieszczot – wtrąciła Penelopa.

– Zaczynamy sesję.

Nasza terapeutka prowadziła dziś nadzwyczaj interesujący moduł dotyczący siły umysłu i jego roli w skutecznym odchudzaniu.

Przekonywała nas, że kluczem do sukcesu w terapii dla odchudzających się jest ujrzenie siebie takimi, jakimi chcielibyśmy być, i silna wiara, że tacy właśnie będziemy. Chodziło jej przede wszystkim o wygląd, o sylwetkę, chociaż nie tylko. Przekonywała nas, że osiągniemy wymarzoną figurę wtedy, gdy będziemy szczęśliwi, gdy nauczymy się rozpoznawać i przewycięzać wszelkie bariery w drodze do celu.

– Potraficie sobie wyobrazić siebie jako człowieka w pełni szczęśliwego? – zapytała, a ja, nie wiedząc czemu, spojrzałam na Maksa, napotykając na jego wzrok.

Zupełnie znieruchomiałam i wyłączyłam się ze słuchania. Maks elektryzował mnie swoimi błękitnymi oczyma tak skutecznie, że nie usłyszałam, iż Penelopa zadała to pytanie właśnie mnie. Pola szturchnęła mnie, przywołując tym samym do porządku.

– Przepraszam – odparłam. – Zamyśliłam się nad tym, o czym mówiłaś.

– Czyli?

– Yyy... Nad tym, jak stać się w pełni szczęśliwą.

– I do jakich wniosków doszłaś?

– Że muszę się wyzbyć tego, co mnie unieszczęśliwia.

– To raczej oczywiste – westchnęła. – A wiesz, co cię unieszczęśliwia?

– Tak, doskonale to wiem – powiedziałam i raz jeszcze, ale teraz całkiem świadomie, spojrzałam na Maksa, który widząc mój surowy wyraz twarzy, zmarszczył czoło.

– Możesz podać jakieś szczegóły?

Odchrząknęłam, oblizałam wargi i patrząc pod nogi, zaczęłam mówić:

– Przede wszystkim nadmiar kilogramów oraz... – Podniosłam wzrok na Penelopę, a potem gniewnym spojrzeniem poczęstowałam wciąż wpatrującego się we mnie Maksa i wystrzeliłam, niczym karabin maszynowy: – ...ludzi ze swojego otoczenia, którzy są kłamcami, kombinatorami i dwulicowymi jednostkami.

– Hmm... Jeśli do takich wniosków doszłaś, muszę ci pogratulować, bo oznacza to, że zidentyfikowałaś czynniki ograniczające twoje szczęście. Dobry początek! – Penelopa uśmiechnęła się szeroko, ukazując równusieńkie, uderzające bielą uzębienie. – A ty, Maks, potrafisz wyobrazić sobie siebie jako osobę w pełni szczęśliwą? – zapytała, a ja po raz pierwszy dziś, na dodatek zupełnie bezkarnie, mogłam wgapiać się w faceta, od którego ze wszech miar nieudacznie starałam się dystansować.

Miał mocno zarysowane kości policzkowe, wyraziste brwi i niezwykle błękitne oczy, które częściowo ukrywał w lekko falujących włosach, jak zawsze pozostawionych w całkowitym nieładzie. Wyglądał tak... nonszalancko. Czarne wranglery powycierane na kolanach, niezasnurowane martensy, rzemyki na nadgarstkach i ekstrawagancka koszulka z napisem: *Moja planeta nazywa się wolność* wpisywały go w jakiś buntowniczy czy też wolnościowy ruch. Zadrzałam, czytając raz jeszcze napis na koszulce, bo od razu przypomniały mi się nasze rozmowy o wolności i o strachu. Zastanawiałam się, czy miał ją wcześniej, czy też kupił ją po naszej rozmowie. Po krótkim milczeniu Maks w końcu przemówił.

– Tak – odparł zdawkowo.

– A coś więcej? – poprosiła Penelopa.

– Wiem, co sprawia, że czuję się szczęśliwy. – Podniósł wzrok i spojrzał na Penelopę, potem na Lenny’ego, a na końcu na mnie.

Poczułam, jak robi mi się gorąco.

– Czyli...?

Maks przeczesał włosy. Zrobił to tak seksownie, że poczułam, jak dreszcz przebiega mi po plecach. Spojrzał na Penelopę, zacisnął wargi i przecząco pokręcił głową.

– To może chociaż to, co cię unieszczęśliwia?

– Hmm... – jęknął.

– Maks, ależ jesteś rozgadany! – zaśmiał się Karol.

– Daj mu pomyśleć! – warknęła moja imienniczka, najwyraźniej zadurzona w Maksie.

Maks ponownie zerknął na terapeutkę, a potem niespodziewanie wprowadził mnie w zakłopotanie dziwnie smutnym wzrokiem.

– Uszczęśliwia mnie, gdy słyszę czyjś śmiech – rzekł, a ja zadrżałam. – Więc wszystko, co sprawia, że go nie słyszę, unieszczęśliwia mnie.

Karol zaczął teatralnie rechotać, a Lenny mu zawtórował.

– Uszczęśliwiłem cię? – zapytał Karol.

– No, nie za bardzo – odpowiedział Maks. – Chodzi mi o śmiech konkretnej osoby.

„O, Boże, tylko nie mów nic więcej! Tylko nie mów nic więcej!” – wyrzucałam z siebie modłę, choć w głębi duszy skamlałam, aby powiedział, że chodziło o mój śmiech.

– Coś jeszcze? – zapytała Penelopa, a ja czułam, że cała płonę.

– Uszczęśliwia mnie pisanie listów – powiedział, a mnie przed oczami natychmiast stanęła nasza mejlowa korespondencja.

– Maksiu, to przecież jakieś prehistoryczne czasy – wtrącił Karol.
– Dziś nikt nie pisze listów!

– Karol, upominam cię! – ostro skwitowała Penelopa, skutecznie go uciszając. – Kontynuuj, Maks.

Pokręcił przecząco głową, co Penelopa uznała za koniec jego wypowiedzi.

– To piękne, co mówisz, choć jesteś dosyć tajemniczy! – Penelopa klasnęła w dłonie. – Pola?

Nie słuchałam tego, co mówiła Pola ani Karol, który wręcz wyrywał się do odpowiedzi. Nie miało to dla mnie znaczenia, bo w mojej głowie cały czas dudniły ostatnie słowa Maksa.

Nie potrafiłam spojrzeć na niego, choć wyczuwałam, że on patrzył na mnie niemal bez przerwy. Byłam tak spięta, jak chyba jeszcze nigdy dotąd, a na dodatek ogarnął mnie paniczny strach, kiedy dotarło do mnie, że po sesji mogłoby dojść do naszej konfrontacji. Gdy tylko Penelopa zakończyła spotkanie, wyleciałam z sali, jakby co najmniej się za mną paliło. Pola obrzuciła mnie oburzonym wzrokiem, łaknąc pewnie plotkowania, ale było mi wszystko jedno. Chciałam za wszelką cenę uciec z tego miejsca, uciec od Maksa i jego oczu, które za każdym razem przenikały mnie na wskroś.

Szcześliwie udało mi się wcisnąć do windy, pełnej rozentuzjasmowanych dziewczyn, które eksplodowały ochami i achami nad jakąś nową kreacją Beyoncé. Kiedy winda zamykała się, w szklanych drzwiach Szkoły Latania zobaczyłam go. Najwyraźniej próbował mnie złapać. „O, Jezusie, niech nie zdąży, niech nie zdąży!” – powtarzałam. Zostałam chyba wysłuchana, bo winda ruszyła, a on nawet nie próbował jej zatrzymać. Może moje spojrzenie tak go zmroziło, że postanowił jedynie odprowadzić mnie wzrokiem i subtelnie kiwnąć dłonią? Może...?

Miałam wrażenie, że na chwilę znalazłam się w jakimś świecie równoległym, w którym przez tubę ktoś relacjonował dopiero co zakończoną sesję, wlewając do mojej głowy słowa Maksa: „Uszczęśliwia mnie, gdy słyszę czyjś śmiech”, „Chodzi mi o śmiech konkretnej osoby”, „Uszczęśliwia mnie pisanie listów”. Wszystko działo się jakby o połowę wolniej, a ja zapadałam się coraz bardziej pod naciskiem słów, wywołujących we mnie nieznaną mi dotąd reakcję. Zagryzłam wargi tak mocno, że aż poczułam dotkliwy ból i syknęłam. W gwarze zaciętej dyskusji, która toczyła się w windzie, żadna z dziewczyn niczego jednak nie usłyszała, a już na pewno nie zauważyła, jak strugami ciekły mi łzy. Gdy zbliżaliśmy się do poziomu zero, przetałam policzki, tuszując słony obraz złości, rozpaczy, niemocy i czegoś jeszcze... chyba strachu.

22. Show must go on

Zocha nie dawała mi spokoju. Przez kolejne dni gderwała na temat tego, że powinnam odpisać Maksowi, ale uparłam się, że tego nie zrobię.

– Zrozum... – powiedziałam w niedzielę, kiedy już miałam dosyć jej nagabywań. – O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żeby dalej z nim gadać, żeby dostawać od niego listy, które będą ciepłe, serdeczne, pogodne i... cholera... wciągające, totalnie odlotowe, czadowe, boskie i... seksowne! Nawet nie wiesz, jak mocno tego chcę!

– To w czym problem? Pogadaj z nim. To wszystko na pewno da się wytłumaczyć!

– Jezu, Zocha, to nie tak. ON Z KIMŚ JEST! Zauważyłaś może? A ja nie bawię się w bycie tą drugą. Znam takie historyjki, one nigdy nie

kończą się dobrze.

– A może jednak spróbujesz? Przecież jemu zależy na tobie! Ile przysłał ci SMS-ów? Pięćdziesiąt?

– Nie liczyłam... – odparłam, choć pewnie Zocha niewiele się pomyliła, jeśli w ogóle. Tych krótkich zapytań w stylu: „Kasia, proszę, odezwij się!” czy „Co zrobiłem?” albo „Na pewno mogę wszystko wyjaśnić!” było bez liku.

– I zapewne nie wiesz, ile wysłał ci mejli, bo skrzynki też nie sprawdzałaś, tak? – Przypierała mnie do muru.

– Nigdy nie będę tą drugą! Nigdy nie powielę błędu mojej matki! – powiedziałam stanowczo.

Zośka przygryzła dolną wargę i zmarszczyła czoło.

– Ale Kaśka, ty go przecież...

– Zamknij się! Nic do niego nie mam. Jest świetny, ale nie dla mnie! Zrozumiałaś?

– Agresywna się zrobiłaś! – zażartowała Zocha.

– Bo mnie prowokujesz! Skończmy ten temat i chodźmy coś zjeść.

Wieczorem byłam już o krok od wysłania do niego SMS-a.

Wystukałam go nawet: „Życzę ci powodzenia. Z blondyną”, ale znowu stchórzyłam i wszystko skasowałam. Zamiast tego zaliczyłam wyjątkowo wykańczający trening, bo oprócz zwyczajowych ćwiczeń na nogi, ręce i brzuch udało mi się przebiec na bieżni dwa kilometry. Niby mało, ale to był mój rekord i gęba sama mi się śmiała. Napisałam na lustrze w siłowni: „Pierwsze 2 za tobą, mała! Tak trzymaj!” i podpisałam to datą 12 stycznia 2014 roku.

* * *

W poniedziałek zastanawiałam się nad tym, co zrobić, aby po południu nie pójść na sesję. Do głowy przychodziły mi dziesiątki szalonych pomysłów – od udawania grypy żołądkowej po bardzo bolesny atak kolki nerkowej, który jakiś czas temu zaliczył mój ojciec. W końcu jednak przystopowałam z fantazjowaniem i postanowiłam stawić czoło temu, co i tak nieuniknione.

Jak na złość na sesję odwiozła mnie matka, więc byłam o dobre pół godziny za wcześnie. Nie miałam zamiaru wchodzić do środka, żeby nie

zobaczyć czegoś, czego widzieć nie chciałam, więc usiadłam na podgrzewanej ławeczce na przystanku autobusowym nieopodal Vinci Tower, oddając się lekturze „Boga mordu”, sztuki, o której wspominał Maks, a którą omawialiśmy z naszą nauczycielką na lekcjach polskiego.

– Ukrywasz się tu przed kimś, *bella*? – zapytała Pola, rozsiadając się obok.

– Ja? Nie, nie... – zaczęłam się plątać, czując, że czerwienieję na twarzy. – Skąd? Przed kim?

– Oj, *bella*, chyba jednak coś ukrywasz?

– Basta! – odparłam i szeroko się uśmiechnęłam. – Zaskoczyłaś mnie. Tyle.

– *Perchè sei così nervosa?*⁷

– Nie jestem. Po prostu się zaczytałam.

– A co czytasz?

– „Boga mordu” – pokazałam.

– Jakież nudy! Przeczytaj „Le lezioni italiani”. To dopiero jest książka! O miłości! Wiesz, jeden Amerykanin zakochał się we Włoszce... – trajkotała, ale ja zupełnie jej nie słuchałam, bo wpatrywałam się w przechodzącą za naszymi plecami parkę: Maksa i zagadującą go seksowną blondynę w przykrótkiej czerwonej spódniczce, czarnych kozakach na wysokiej szpilce i skórzanym płaszczku, który odkrywał więcej, niż przykrywał.

Serce mi skamieniało, bo utwierdziłam się w swoich przypuszczeniach. Żadna kuzynka, siostra, zwyczajna koleżanka czy nawet wyrośnięta bratanica nie odprowadzałyby dwudziestotrzylatkę na sesję bez powodu. Blondyna była laską Maksa! Najzwyklejszą laską, no może nie taką zwyczajną, bo w końcu wyglądała jak seksbomba.

– Cholera! – wysapałam.

Pola zamilkła i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– No, dobrze to ujęłaś! „Cholera” jest tu jak najbardziej na miejscu, bo przecież, jak ktoś jedzie w ciemno do Włoch, to czego ma się tam niby spodziewać? Doskonała książka, przeczytaj!

– Taaa... – odparłam, nie rozumiejąc, o czym mówi Pola.

– Możemy już iść na sesję – zaproponowałam, gdy straciłam Maksa z oczu.

– Co? A, sesja! *Andiamo, mia cara, andiamo!*⁸

Pola gadała jak najęta przez całą drogę na dwudzieste drugie piętro. Przystopowała dopiero na korytarzu Szkoły Latania, kiedy natknęła się na jakąś koleżankę.

– *Bella*, zaraz do ciebie dołączę, okej? – zapytała i, nie czekając na moją odpowiedź, podryfowała w stronę grupki dziewczyn, które, najwyraźniej ucieszone jej widokiem, zaczęły wesoło szczebiotać.

Szłam jak na ścięcie do naszej sali, do granic możliwości przedłużając moment wejścia.

– Siemanko, Kaśka! – usłyszałam wesołkowaty głos Karola.

– Cześć! – odparłam i poczułam, jak wciąga mnie do sali.

– A co ty się tak opierasz? – zapytał.

– Chciałam jeszcze sobie pochodzić.

– Przestań! Na zewnątrz wieje nudą. W środku jest cool – odparł i zaczął stroić miny. – No, włącz już, nie bądź sztywniakiem.

– Kto jest sztywniakiem? – usłyszałam za sobą głos Penelopy.

– Twoja protegowana, której w żaden sposób nie psuję, nie bałamucę ani nie gorszę czy co tam jeszcze. Stwierdzam tylko fakt – tłumaczył się Karol, a Penelopa uśmiechnęła się.

Dla mnie nie miało to jednak znaczenia, bo czułam, jak puls mi przyspieszył, kiedy tylko weszłam do pomieszczenia, w którym oprócz oślepiających promieni słonecznych uderzył mnie przeszywający na wskroś poważny wzrok Maksa.

– Zostały nam dwie minuty, więc zrobimy dzisiaj małe przemeblowanie – oświadczyła Penelopa. – Chyba kogoś brakuje? – zapytała, ale w tym samym momencie do środka wpadła Pola. – Czyli nie. To w porządku. Karol, tutaj... – zaordynowała.

– Ale ja nie chcę! Mnie tu dobrze! – odparł tonem pasującym bardziej do przedszkolaka niż do dorosłego.

– Skoro tu ci dobrze, to i tam będzie w porządku. Już! Przenoś się. Maks, ty tutaj, Lenny tu...

Kiedy skończyliśmy przenosić się, drżałam jeszcze bardziej, bo Penelopa usadziła mnie ramię w ramię z Makssem. To było gorsze od patrzenia na niego, bo byliśmy tak blisko siebie, że słyszałam niemal każdy jego oddech. Godzinna sesja, która powinna minąć mi na

analizowaniu słów moderatorki, zakończyła się kontemplowaniem obecności mojego towarzysza i upajaniem się uwielbianymi przeze mnie męskimi perfumami One Calvina Kleina oraz czymś jeszcze... Maks dał mi małą karteczkę, na której napisał: „Proszę...”. Patrzyłam na nią przez ułamek sekundy, po czym, zewnętrznie nie okazując zainteresowania, wcisnęłam ją do kieszeni spodni. Wewnątrz cała się gotowałam. Serce mi waliło, a żołądek wywracał się do góry nogami, sprawiając, że moja równowaga, i emocjonalna, i fizyczna, była poważnie zachwiana. Z tego dziwnego stanu wyrwał mnie dźwięk słów: „Na dzisiaj koniec”, który spowodował, że wyleciałam na korytarz jak oparzona.

– Kasiu – usłyszałam za sobą cudowny męski głos, powodujący narastanie niekontrolowanych drgań w moim ciele.

Struchlałam, mocno zacisnęłam oczy i usta, ale nie odwróciłam się, tylko przyspieszyłam. Wpadłam do holu z windami.

„Będzie winda, będzie winda, będzie winda” – powtarzałam błagalnie, a widząc wysiadające po prawej dwie dziewczyny, podziękowałam w myślach za spełnienie mojej prośby.

„Jaka ty jesteś głupia...” – podsumowałam, uderzając w przycisk z cyferką zero. W tej samej chwili zobaczyłam Maksa, za którym zamykały się magnetyczne drzwi Szkoły Latania.

– Poczekaj, proszę – powiedział, sprawiając, że nogi zaczęły mi drżeć, a oddech przyspieszył.

Nie odezwałam się jednak, nie wykonałam najmniejszego gestu, tylko wlepiając w niego wzrok, pozwoliłam drzwiom windy zasunąć się. Dziwnie otumaniona, zjeżdżałam w dół, słysząc, jakby gdzieś z daleka energetyczną piosenkę Queen o wymownym tytule: „Show must go on”.

* * *

W czwartek byłam już totalnie wyczerpana myśleniem o tym, co się tyczyło mnie i Maksa. Na środowej sesji indywidualnej Penelopa próbowała ze mnie wycisnąć powód mojego kiepskiego nastroju, ale ponieważ nie zaniedbywałam zapisów „cyrografu”, udało mi się ją przekonać, że wiązał się on z przytłaczającymi przygotowaniami do matury. Zośka też mnie cały czas męczyła i nagabywała o „załatwienie

sprawy”, jak to ona nazywała.

– Słuchaj, nie możesz tego ciągnąć w nieskończoność! Pogadaj z nim na sesji! Przecież on ci nic nie robi, a co najwyżej wszystko wyjaśni! – trąkotała, gdy odprowadzała mnie do Vinci Tower.

– Nie chcę.

– Jezu, jaka ty uparta jesteś! Pomyśl czasem logicznie!

To wszystko da się jakoś wytłumaczyć. On na pewno ma coś na swoje usprawiedliwienie. Przecież skoro tak bardzo chce z tobą pogadać, to mu na tobie zależy.

– Ale widać, że na blondynie bardziej.

– Tego nie wiesz, do jasnej cholery! Weź się w garść, idź po rozum do głowy czy coś w tym rodzaju!

– To po co z nią łązi? – spytałam nerwowo.

– Pewnie ma jakiś powód. Sama go o to zapytaj!

– Nigdy! – rzuciłam gniewnie.

– No to ja go zapytam.

– Ani mi się waż! Cholera! Zocha! Jeszcze by sobie pomyślał, że się w nim zakochałam!

– A nie jest tak?

Spojrzałam na nią, głośno nabrałam powietrza i wypuszczając je, zaczęłam rozcierać czoło.

– Czyli jednak się nie mylę?

– Nie dręcz mnie! Wystarczy, że sama ze sobą nie mogę wytrzymać...

– Dobra! – Zocha stanęła naprzeciwko i wystawiając palec wskazujący, zakomunikowała: – Jeśli nie zrobisz czegoś do jutra, sama do niego zagadam. Więcej o tym nie... – Przerwała, bo w sporej odległości od nas pojawiła się blondyna, ubrana w piękny bielutki płaszczyk z różowym kołnierzem. Jej długie włosy wręcz błyszczały i zwracały uwagę niemal każdego faceta, którego mijała. Bez dwóch zdań była olśniewająco piękna, seksowna i wyzywająca. Uwieszona na ramieniu nikogo innego jak Maksa, dumnie kroczyła wybrukowaną alejką.

Wryło nas obie. Zaszywając się w grupie biznesmenów wychodzących z Vinci Tower, którzy głośno debatowali o jakimś

turnieju golfa, przyglądałyśmy się raniącej mnie dogłębnie scenie.

– No i...? – rzuciłam do Zochy, kiedy oboje zniknęli za obrotowymi drzwiami.

– Niezła – odparła.

– Mało powiedziane! Gdzie mi do niej? Jest pozbawiona wszelkich nadprogramowych kilogramów, nie to co ja! – Parsknęłam żałośnie.

– No właśnie, Kaśka, może on nie lubi wieszaków? Popatrz na mnie, sama skóra i kości. Nie każdemu się to podoba, nie? Idę go zapytać!

– Nigdzie nie idziesz! – Szarpnęłam ją, powodując, że syknęła.

– Sorry, nie chciałam. Nie wtrącaj się!

– Okej – odparła cicho.

– Przyrzeknij.

– Nigdy! – przekomarzała się.

– Już!

– Nie przyrzeknę, ale ci powiem, że robisz błąd. To jest facet dla ciebie!

– *Ciao*, grubasie. – Ucięłam rozmowę, chcąc jak najszybciej uniknąć natarczywości mojej cudownie troskliwej przyjaciółki, którą kochałam nad życie.

– *Ciao*, chudzielcu – wycedziła przez zęby, cmokając mnie w policzek.

Po kilku minutach byłam już na dwudziestym drugim piętrze. W korytarzu natknęłam się na Penelopę, więc, chcąc nie chcąc, zmierzałam na sesję, nie kombinując, co by tu zrobić, aby zwiać.

– Jak tam u ciebie?

– Od wczoraj bez zmian – odezwałam się niezbyt grzecznie.

– Ooo, nie mamy dzisiaj nastroju?

– Nie, sorry, zmęczona jestem – odparłam wymijająco.

– Mnie to nie wygląda TYLKO na zmęczenie.

– To naprawdę zmęczenie – kłamałam, choć nigdy nie byłam w tym dobra. Tym razem też nie szło mi najlepiej, bo już czułam, jak oblewam się rumieńcem, co oczywiście nie umknęło uwagi Penelopy.

– No tak... Ale w razie czego wiesz, gdzie mnie szukać?

Potaknęłam głową, nie podnosząc wzroku na moją terapeutkę.

Byłam przekonana, że Penelopa próbowałaby wycisnąć ze mnie prawdziwą przyczynę mego zachowania, bo kto jak kto, ale ona doskonale wyczuwała moje nastroje. Znalazłyśmy się jednak przed salą numer pięćdziesiąt sześć, co ku memu zadowoleniu definitywnie zakończyło rozmowę zbaczającą na niebezpieczny dla mnie tor.

Kiedy tylko usiadłam, Maks od razu odezwał się do mnie:

– Porozmawiajmy, proszę – wyszeptał.

Głos odbijał się echem w mojej głowie, sprawiając, że każda komórka tańczyła w rytm jego słów.

– Nie mamy o czym – warknęłam.

– Nie rób tego.

– Czego? – odparłam zadziornie.

– Nie uciekaj.

– Nie uciekam. Nie lubię dwuznacznych sytuacji. Nie lubię kłamstw, pamiętasz? – powiedziałam, patrząc Maksowi prosto w oczy.

Te jego cudownie niebieskie oczy! I to jak we mnie je wwiercał! Miał takie głębokie spojrzenie i coś, co prawdziwie mnie poruszyło – lekko zaszklone oczy. Jezu! Poczułam, jak coś się we mnie łamało, jak moja buta pod ciężarem emocji padała na kolana. Szybko odwróciłam głowę, aby doprowadzić się do porządku.

– Proszę, porozmawiajmy – szepnął, a ja wzięłam jego głos za wołanie rozbitka, dryfującego na środku oceanu.

– Nie mamy o czym. To jest oczywiste.

– Ale co?

– Nie rób ze mnie idiotki, Maks. Przecież nie jestem ślepa!

– Powiedz, o co ci chodzi.

– To pomyśl o co, a potem się zastanów, co ty byś zrobił na moim miejscu. No w każdym razie ja czegoś takiego nie akceptuję.

– Ale czego?

– Zapomnij o wszystkim! – rzuciłam, starając się zachować kamienną twarz. Nie było to jednak takie proste, bo w starciu z emocjami, okazywanymi przez Maksa, mój chłód topniał. Na zewnątrz byłam skostniałą zołą, a w środku aż kipiało od żaru, który jednoznacznie mówił mi, jak bardzo pragnęłam z nim być.

– Nie mogę. Nie potrafię. Nie chcę – wyrecytował powoli, a mnie

aż zapulsowało w skroniach.

– Zrób coś dla mnie... i daj mi spokój – odparłam, choć doskonale wiedziałam, że tego nie chciałam. Byłam totalnie skołowana.

– Naprawdę tego pragniesz?

„Jasne, że nie!” – pomyślałam.

– Naprawdę.

– A o czym wy tak szepczecie sobie? – zagadnęła Penelopa, przerywając nam.

Nie zamierzałam odpowiadać, ale widząc wyczekujący i podejrzliwy wzrok terapeutki, palnęłam od niechcenia:

– Takie tam. Nic ważnego.

– A mnie wygląda to na coś bardzo ważnego – skomentowała.

Cała grupa zwróciła się w naszą stronę. Poczułam, jakbyśmy właśnie odgrywali kluczową scenę w dramacie, decydującą o życiu i śmierci.

– Eee... – zająknęłam się.

– Opowiadałem Kasi o tym, że nie znalazłem pomysłu na sesję, którą mam samodzielnie poprowadzić. Nie bardzo chciałem o tym mówić na forum, ale skoro tak wyszło... – odparł, a ja przytaknęłam jego wymyślonemu na poczekaniu kłamstwu.

– Niech będzie – bez przekonania odparła Penelopa.

– Porozmawiamy o tym później, Maks. A teraz postarajcie się skupić na dzisiejszym temacie.

„Głupia! Idiotka! Debilka! Kretynka!” – wyzywałam sama siebie, kiedy Penelopa rozpoczęła wywody na temat utrzymywania motywacji do aktywności fizycznej. Na kartkach zapisywała efekt burzy mózgów i z satysfakcją, malującą się na jej perfekcyjnej twarzy, odnotowywała wszelkie nowe pomysły. Raz czy dwa stęknęłam coś niewyraźnie, chcąc zadowolić terapeutkę, głównie jednak słuchałam, a raczej udawałam, że słucham.

W pewnym momencie poczułam na swoim ramieniu delikatny dotyk. Moje serce zadygotało. Gdybym miała być szczerą w opisanie emocji, jakie mi towarzyszyły, musiałabym krzyknąć: „Nareszcie!”, ponieważ jednak rozum podpowiadał mi, abym się zdystansowała do Maksa, zrzuciłam jego rękę.

– Zostań po sesji... – usłyszałam męski szept, który do reszty mnie rozproszył.

Do głowy przychodziły mi różne scenariusze tego, co powinnam zrobić. Z jednej strony chciałam porozmawiać z Maksem, aby wytłumaczył mi powód pojawiania się blondyny u jego boku. Pragnęłam usłyszeć: „To skończone” czy „To moja siostra, która udaje, że jestem jej chłopakiem”. Z drugiej strony czułam, że najlepiej dla mnie byłoby po prostu uciec, jak najszybciej przestać myśleć o Maksie i zapomnieć o godzinach spędzonych przy mejlach. Cholera!

Kiedy sesja się zakończyła, nie wybiegłam z sali jak poprzednio. Stałam przed Maksem i tak cichutko, jak to było możliwe, oświadczyłam mu:

– Nie lubię kłamstwa i obłudy. Myślałam, że jesteś tego świadomy, ale pomyliłam się. Nie jesteś maniakiem, lecz oszustem. Nie chcę mieć z tobą więcej nic do czynienia.

Wyglądał na zmieszanego. Nie bardzo wiedział, co miał odpowiedzieć, a ja, wykorzystując jego wahanie, odwróciłam się na pięcie i szybko wyszłam.

W korytarzu zobaczyłam blondynę, która wyczekująco spoglądała w stronę naszej sali. Zaskakując samą siebie, stanęłam przy niej. Dziewczyna nawet nie uraczyła mnie spojrzeniem, za to ja dokładnie ją zlustrowałam i ze złością przyznałam sama przed sobą, że wyglądała bosko, jakby została wypożyczona z agencji modelek.

W tej samej chwili z sali wyłonił się Maks. Zdawał się zaskoczony pojawieniem się długonogiej dziewczyny, ale już totalnie zamurowało go, kiedy spostrzegł mnie, stojącą tuż obok. Blondyna podeszła do niego, pociągnęła go za ramię i cmoknęła w policzek. Maks nie patrzył jednak na nią, tylko na mnie, a potem pokręcił przecząco głową, jakby chciał mi tym gestem coś powiedzieć. Nie wiedziałam, co o tym myśleć ani co zrobić, więc tylko wzruszyłam ramionami i obrzucając Maksa piorunującym spojrzeniem, dołączyłam do Poli, która na mój widok aż podskoczyła z radości.

– Mam ci tyle do powiedzenia, *bella* – oznajmiła, a ja ucieszyłam się, bo wiedziałam, że nic ani nikt nie zdoła jej przerwać, a ja będę miała chwilę na swoje przemyślenia.

* * *

Wlokłam się do domu ponad dwie godziny, rozmyślając o tym, co się ze mną działo i w co się wplątałam. Tak bardzo potrzebowałam pogadać z Zochą. Wiedziałam jednak, że z powodu dwóch jedynek z fizyki miała szlaban i z gadania nici, bo dopiero jutro rano odzyska telefon. Snułam się więc po zabłoconych ulicach, nie będąc w stanie racjonalnie myśleć. Próbowałam jakoś sobie tłumaczyć tę przedziwną sytuację, której byłam świadkiem, to zaskakujące zachowanie Maksa. Dwa SMS-y, które wysłał mi zaraz po sesji: „Kasiu, daj mi szansę wszystko wytłumaczyć!” i „Nie chcę cię do niczego zmuszać. Napisałem mejla. Proszę, przeczytaj”, wcale niczego nie ułatwiały.

Wydawało mi się, że stałam na jakimś rozdrożu, kompletnie nie mając pojęcia, którą drogą iść dalej. To było dziwne uczucie, bo jak dotychczas rozterki sercowe nie należały do mojej bajki i znałam je co najwyżej z podsłuchanych opowieści, książek i filmów. No i z rozmarzonych wizji przyszłości, jakie nierzadko snułyśmy z Zochą po przepłakaniu kolejnego filmowego love story.

Wieczorem zeszałam na siłownię, chcąc zmęczyć się na tyle, aby utrudnić sobie myślenie i ułatwić zaśnięcie. Nic z tego! Poszłam spać grubo po północy, myśląc nieustannie o tym, co znaczyły słowa i zachowanie Maksa, i kim tak naprawdę była dla niego blondyna.

23. Angielski pacjent

Piątek zapowiadał się na trudny dzień, bo wiedziałam, że będę torpedowana przez Zochę pytaniami typu: „Jak było?”, „O czym rozmawialiście?” i „Dlaczego go nie zapytałaś?”. Nie cierpię dociekliwej Zochy, ale wiem, że gdyby ona była w podobnej sytuacji, zachowywałabym się identycznie.

Z samego rana zafundowałam sobie przyjemny aperitif. Ostatnimi dniami odnosiłam wrażenie, że chudnę. Spodnie wydawały się jakieś takie luźniejsze, a w rękawkach bluzek wyczuwałam mniejszy ucisk. Moje ciało stawało się bardziej zbite, nabierało mięśni, więc tłuszczowe falbanki niknęły, dodając mi motywacji do dalszej pracy nad ciągle za dużym ciałem. Pewnie przyczynił się do tego pośpiech, bo ostatnio miałam tak dużo zajęć, że ledwie zdążałam z jednego miejsca w drugie, oraz coraz większa sympatia do ćwiczeń, zarówno z trenerką, jak i tych domowych. Przede wszystkim jednak nie myślałam o jedzeniu, bo każdą wolną chwilę poświęcałam na rozmyślanie o jednym i tym samym –

o Maksie.

Stałam na wadze, którą zabrałam do swojej garderoby, i doznałam szoku.

– Mamo! – krzyknęłam. – Mamo!

Matka pojawiła się z wystraszoną miną.

– Co się stało? – zapytała, a widząc, że stoję na wadze, odetchnęła z ulgą. – Kasieńko, nie strasz mnie. Myślałam, że coś ci się stało, że coś złamałaś... No, sama nie wiem.

– Cholernie schudłam! – zaświergotałam przeszczęśliwa.

– Że co? – zapytała, nie dowierzając.

– Schudłam, mamo! Osiemdziesiąt dwa kilogramy! – zawyłam jak wilczyca do księżyca.

– Osiemdziesiąt dwa? O, rety! Kasieńko, to cudownie! Nie nadążę ze zmniejszaniem ciuchów – dodała radośnie i podeszła uścisnąć mnie.

Zeskoczyłam z wagi i zaczęłam wykręcać piruety, nie przestając śmiać się i wiwatować.

– O co chodzi? – zapytał ojciec, stając w drzwiach.

– Schudłam! – zakomunikowałam.

– Skoro ci na tym zależało? – powiedział, niby od niechcienia, i odwróciwszy się, skierował się w stronę swojej sypialni.

– Tato! – zawołałam rozpromieniona.

Ojciec przystanął, spojrzął na mnie i wykonał gest sugerujący, że mam mówić. Chciałam krzyknąć w jego stronę: „Ależ, ojcze, twa dobroć nie ma końca! Dzięki wielkie za twoje przyzwolenie!”, ale zamiast tego wyrzuciłam z siebie zlepek słów, okraszony dość pretensyjnym tonem.

– Zależy mi na tym! Chcę schudnąć, wiesz?

Nie miałam pojęcia, jak na taki zuchwały ton zareaguje mój ojciec. On jednak wysilił się zaledwie na drobny grymas twarzy i jęknięcie:

– Taaa...

Cały ojciec. Zero zainteresowania, zero wsparcia, zero entuzjazmu.

– Brawo, kochanie, brawo! – powiedziała matka, chcąc najwyraźniej zatuszować niezbyt entuzjastyczną reakcję ojca. – A może załóż ten nowy komplecik, co? Idziecie przecież dziś do teatru.

Matka kupiła mi nowy zestaw z okazji pozbycia się pierwszych

piętnastu kilogramów. Był oszalamiający: cieniutka bluzka w amarantowym kolorze, lekko połyskujące, granatowe spodnie i zwiewna narzutka, zasłaniająca pośladkowe krągłości. Nigdy ich nie przymierzyłam, bo to był komplet „wybornie optymistyczny”, dotychczas dla mnie niedostępny. Ale tego dnia pomyślałam: „Cholera, czemu nie?”.

– Będziesz cudownie wyglądała – zachęcała matka.

Wcisnęłam się w zestaw, nie bez trudu, bo pasowałby idealnie, gdybym ważyła jeszcze kilka kilo mniej, ale postawiłam wszystko na jedną kartę i niemal na bezdechu dopięłam spodnie. Stałam przed lustrem i dosłownie mnie zatkało, bo wyglądałam naprawdę świetnie. I nie chodziło tylko o ciuchy, które rzeczywiście były szalone, ale o moje lekko falujące włosy, które układały się wybornie, i o usta, które potraktowałam błyszczkiem z mieniącymi się opiłkami.

Kiedy zeszałam na dół, matka z wrażenia zaczęła się histerycznie śmiać, a ojca zamurowało.

– Ka-ta-rzy-na? – wydukał.

– Tak, tato, to ja. Dobrze wyglądam?

– Eee... Tak, dobrze – odparł i upuścił gazetę.

Musiałam zrobić na nim piorunujące wrażenie, bo jeszcze nigdy nie widziałam, żeby czemuś nadał wyższy priorytet niż porannemu przeglądowi prasy.

– Nie macie dziś lekcji? – zapytała matka.

– Dziś tylko teatr, a potem spotkanie z aktorami i reżyserką.

– A co to za sztuka?

– „Bóg mordy” – odparłam i natychmiast przywołałam w myślach Maksa.

– To coś katolickiego? – zapytał ojciec.

– Nie za bardzo.

– W takim razie to dziwny tytuł.

– Metaforyczny – dodałam, a ojciec tylko pokiwał głową.

– Na pewno będzie ciekawie – podsumowała matka, podając ojcu misternie zapakowane drugie śniadanie.

– Też tak myślę. Słyszałam... – Znowu pomyślałam o Maksie i o naszej rozmowie o tej sztuce. – ...że jest genialna.

– Genialna to była Margaret Thatcher, nikt poza nią – wtrącił ojciec, zaskakując nas swoją ripostą.

* * *

Pojawiłam się w teatrze w nowym wdzianku, sprawiając, że Zoche zatkało.

– O, szlag! – podsumowała. – Wyglądasz odłotowo!

– Dzięki – odparłam, przeglądając się w wielkich lustrach, których było sporo w długim holu.

– Mów mi, co się działo wczoraj! – rozkazała na wstępie, pomijając, jak to miała w zwyczaju, zbędne ceregiele.

Gdy wszystko jej opowiedziałam, pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Trochę to popieprzone.

– Trochę?

– Nieco. Nie zmienia to faktu, że, do cholery jasnej, musisz z nim w końcu pogadać. Wyjaśnić, kim ta blondyna jest albo kim ona nie jest. Porozmawiasz, dowiesz się i będziesz wiedziała, na czym stoisz.

Nienawidziłam tych wywodów Zochoy, bo zazwyczaj miała rację. Wiedziałam, że muszę to zrobić, że nie ucieknę przed tym, bo inaczej będę się zadrećzała w nieskończoność. Kiedy byłam w takim bojowym nastroju, nie wiadomo skąd przy moim boku zjawiała się „Chuda Anka”.

– Czego?! – warknęłam, całkowicie ją zaskakując.

– Ehm... Byłaś rano w ciucholandzie czy co? – gruchnęła sztucznym śmiechem, a za nią ryknęły pozostałe „plastikowe”.

Nie wyprowadziła mnie tym z równowagi. Było to niemożliwe, bo poczucie mojej wartości rosło w szalonym tempie.

– Nie bądź taka skromna – odparłam sarkastycznie, wydymając usta. – Korzystamy z tego samego dostawcy, zapomniałaś?

– Uważaj! – syknęła.

– To ty uważaj. Mam w dupie twoje zagrywki. Szukaj sobie innych ofiar.

Anka zapowietrzyła się. Spojrzała na swoje towarzyszki, jakby szukała wsparcia. Te puste żoły były jednak na tyle nierozgarnięte, że za cholerę nie potrafiły czegokolwiek sensownego wymyślić.

Ucieszyłam się, że po raz kolejny dałam sobie radę z prześladowczyniami, które pastwiły się nade mną przez ostatnie lata. Jeszcze chyba nie przywykły do tego, że się zmieniałam, że nie daję już sobą pomiatać i całkiem skutecznie potrafię się odgryźć.

– Odpierdolcie się ode mnie, bo moja cierpliwość się kończy! – dodałam, powodując chwilowy bezruch zarówno wśród „plastikowych”, jak i u Zochy.

– Lepiej ci teraz nie podskakiwać – skwitowała moja przyjaciółka.

* * *

Sztuka okazała się fenomenalnym komediodramatem, rewelacyjnie zagranym przez czwórkę aktorów. Byli niesamowici, co dało się odczuć również po tym, jak cała widownia, złożona z zazwyczaj zblazowanej młodzieży, wstała na koniec z miejsc, bijąc gromkie brawa. Nie mniej ciekawe było spotkanie po spektaklu, na którym aktorzy opowiadali o żmudnych próbach, technice uczenia się tekstu, o sztuczce z wymiocinami i o współpracy z całą grupą teatralnych fachowców. Na końcu odezwała się drobna blondynka, o finezyjnie przyciętych włosach, w czerwonych okularach i w seksownej czerwonej sukience. Wszyscy faceci zwrócili na nią uwagę, bo bardziej wyglądała na wychodzącą na imprezę studentkę niż na potrafiącą poskromić aktorów reżyserkę.

– Choć sama nie należę już rocznikowo do waszej cudownej grupy... – Zaczęła mówić, zupełnie niepasującym do jej wyglądu, dojrzałym i chrypliwym głosem. – ...czego, oczywiście, niesamowicie żałuję, nadal czuję się tak, jakbym miała dziewiętnaście lat. Czasami zresztą zarzuca się mi zbyt niedojrzałe podejście do teatru. Ja jednak uważam to za wielką zaletę. Mam po prostu taki styl. Transformuję dialogi pisane na słowo mówione w sposób niepozbowiony młodzieńczej pasji, beztroski, a nawet szczypty szaleństwa.

Mówiła jeszcze chwilę na temat samej sztuki, a potem odpowiadała na pytania. Robiła to z wielkim wdziękiem i nonszalancją zarazem.

– Ciekawe, ile ma lat? – zapytała mnie Zocha.

– Pewnie nie dziewiętnaście – zażartowałam.

– Jest świetna.

– No.

– Chciałabym tak wyglądać – szepnęła moja przyjaciółka.

– Wyglądasz lepiej niż ona – odparłam, a Zocha prychnęła. – Tylko załóż czerwoną obcisłą sukienkę i szpilki, rozpuść włosy i zrób sobie makijaż, to zobaczysz.

– Taaa...

Kiedy ludzie rozeszli się po spektaklu, usiadłyśmy z Zośką w zaułku przed teatrem, aby pogadać. Traktowałyśmy to jako swoisty klub dyskusyjny i pielęgnowałyśmy rytuał przy każdej teatralno-kinowej sposobności. Tym razem nie zdążyłyśmy nawet rozpocząć sporu o to, który aktor był bardziej przekonujący, a który mniej, gdyż niespodziewanie stanął przed nami Mateusz, nazywany w bandzie boskiego „Lopeza” – „Big Mat”. Odpowiadał za siłowe rozwiązywanie spraw, co w zasadzie nie dziwiło, gdyż gabarytami przypominał Arnolda Schwarzeneggera z lat jego świetności.

– Cześć, Kaśka – zaczął tubalnym głosem, pasującym do jego masywnej budowy ciała.

– Cześć – odpowiedziałam, nieco zaskoczona faktem, że znał moje imię.

– Idziemy dziś do kina. Kupię ci bilet – oświadczył, sprawiając, że uniosłam ze zdziwienia brwi.

Zastrzeżił mnie tą propozycją. Szybciej spodziewałabym się tekstu w stylu: „Daj odpisać referat na biole” albo nawet „Nieźle dowaliłaś „Chudej Ance”. Też nie cierpię tego ścierwa”. Oferta pójścia do kina była gdzieś hiperdaleko, poza moimi najśmielszymi przypuszczeniami. Spojrzałam na Zochę, która starała się być powściągliwa, ale widziałam po jej twarzy, że jeszcze chwila, a wybuchłaby śmiechem.

– Kupisz... mi... bilet? – Nie dowierzałam.

– Na ósmą. Bądź za dziesięć – odparł jak gdyby nigdy nic.

– Pocięło cię?! – wypaliłam. „Big Mat” spojrzał na mnie z oburzeniem. – Nigdzie nie idę. To znaczy na pewno nie z tobą.

– Mała, więcej razy nie powtórzę. Bądź za dziesięć ósma – rzekł groźnie.

– Posłuchaj mnie! Ja nigdzie nie idę! – powtórzyłam głośno.

– Jak to, kurwa, nie idziesz?

„Big Mat” zdenerwował się. Jego twarz przybrała buraczaną barwę, a na czole pojawiły się kropelki potu. Wystraszyłam się. Nerwowo spojrzałam na Zoche, która wyraźnie pobladła.

– Po prostu – odparłam, starając się, aby mój głos nie zdradzał ogarniającego mnie przerażenia.

Zaczynałam panikować, bo nie miałam pojęcia, do czego ten monstrualny chłopak był zdolny. Oprócz Zochy nie widziałam też w pobliżu nikogo, kto mógłby pomóc, gdyby „Big Mat” zaczął mi grozić nie tylko słownie.

– Słuchaj... – zaczął i mocno złapał mnie za ramię. Jego uścisk bolał jak cholera. „Big Mat” przeraził mnie nie na żarty. Próbowałam wyrwać swoje ramię, ale na nic zdały się moje próby. – ...masz być, bo jak nie...

– Zostaw ją! – usłyszałam za sobą męski głos.

Odwrociłam głowę i zobaczyłam Maksa. Nie był to jednak ten sam Maks, którego dotychczas znałam. W jego twarzy zamiast subtelności i tajemniczości odnalazłam wściekłość, a nawet furję. Wyrwał moje ramię z żelaznego uścisku Mateusza, wprawiając go tym w niemałe zaskoczenie.

– O co ci chodzi? – burknął „Big Mat”.

– To jest moja dziewczyna. Odpieprz się! – odparł Maks.

Maks przesunął mnie za siebie, a sam stanął oko w oko z osiłkiem. Był nieco wyższy od niego, ale zdecydowanie szczuplejszy, co przy siłowej konfrontacji zapewne nie działałoby na jego korzyść. Jednak groźny wyraz twarzy Maksa powalił „Big Mata” na łopatki.

– To twoja dziewczyna? – zapytał, a Maks kiwnął głową.

– To zabieraj sobie tę lesbę – dodał i klnąc siarczyście, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Maks odprowadził go wzrokiem.

– W porządku? – zapytał mnie po chwili.

– Tak – odparłam, choć nadal byłam w szoku po tym, co się wydarzyło.

– Na pewno nic ci nie jest? – dotknął mojego ramienia dokładnie w tym samym miejscu, w którym jeszcze przed momentem czułam dojmujący uścisk natręta.

– Tak, w porządku.

– Dzięki – odezwała się w końcu Zocha. – To jakiś oszołom!

Dobrze, że się zjawiłeś. Jezu, myślałam, że coś nam zrobi! – trajkotała, nie przypominając już w ogóle wystraszonej dziewczynki, jaką była jeszcze przed momentem.

Maks patrzył to na mnie, to na Zoche, obdarzając mnie zdecydowanie dłuższym i bardziej przenikliwym spojrzeniem. Robiło mi się coraz goręcej.

– Żeby była jasność... – Przerwałam Zośce. – Dzięki za to przed chwilą, ale pamiętaj, że nie jestem twoją dziewczyną – podkreśliłam.

Zocha wybałuszyła na mnie oczy.

– Wiem. Możemy porozmawiać? – zapytał.

– Nie mamy o czym.

– Słuchajcie – wtrąciła Zocha, wstając – muszę już iść. Śpieszę się.

– Nigdzie nie idziesz! – odparłam, sadzając Zoche z powrotem na ławce.

Maks spojrzał na mnie, nieznacznie uśmiechając się.

– A ponoć nie jestem maniakiem...

– Nie jesteś.

– Tylko oszustem, tak? – zapytał, lekko marszcząc kruczoczarne brwi.

Po plecach przebiegł mi dreszcz, ale nie ze strachu, tylko z ekscytacji.

– Dokładnie – odparłam, przetykając ślinę.

– Porozmawiajmy.

– Nie mamy czasu – wydukałam, zupełnie tracąc pewność siebie.

– Nigdzie się nie śpieszymy – wtrąciła Zocha, a ja poczęstowałam ją wściekłym spojrzeniem.

– Przed chwilą mówiłaś, że się śpieszysz – stwierdziłam.

– Ale to było przed chwilą, teraz to już nieaktualne – dodała, robiąc figlarną minę.

Spojrzałam Maksowi prosto w oczy, koniecznie chcąc doszukać się w nich jakiegoś fałszywego znaku, jakiejś zdradzieckiej iskierki, która podpowiedziałyby mi, że ma w stosunku do mnie złe zamiary. Znalazłam w nich jednak tylko czyste emocje: trochę ciepła i trochę smutku.

– Naprawdę jestem ci wdzięczna, ale daj mi spokój.

Nie czekając na jego reakcję, odwróciłam się na pięcie i bojąc się, że serce wyskoczy mi z klatki piersiowej, odeszłam. Zocha jednak została. Gadała o czymś z Maksem.

„Co ona robi?” – pomyślałam i przystanęłam.

– Zocha! – krzyknęłam, ale ona kiwnęła na mnie ręką, abym poczekała.

Patrzyłam, jak Maks coś do niej mówił. Na koniec dotknął jej ramienia tak, jakby ją o coś prosił, a ona nieznacznie skinęła głową.

„O czym oni gadają?” – dręczyłam się w myślach.

Z dziwnym uśmiezkiem Zocha zmierzała w moją stronę. Maks natomiast spoglądał na mnie do czasu, aż z bocznych drzwi teatru nie wyszła reżyserka spektaklu. Rozejrzała się dookoła i widząc mojego wybawcę, przywołała go gestem dłoni.

„Oni się znają...” – pomyślałam, przyglądając się drobniutkiej, niemal o połowę mniejszej od Maksa kobiecie, która zabierając go, odjechała czarnym porsche cayenne.

– Mów! – powiedziałam do Zośki, kiedy w końcu stanęła naprzeciwko mnie.

– Głupia jesteś!

– To ci powiedział? – zapytałam, niedowierzając.

– Naprawdę jesteś głupia!

– Nadawaj, Zocha, bo zwariuję!

– Trzeba było z nim pogadać, a nie uciekać. Przed momentem wybronił cię z kłopotu, a ty co? Ten idiota „Big Mat” to jakiś psychol, nie wiadomo, co by ci zrobił.

– Podziękowałam mu przecież – odpaliłam, choć poczułam się podle.

– To były twoje podziękowania? Mogłaś z nim pogadać!

– Nie mogę z nim gadać!

– Jesteś głupia!

– Wiem, ale nie chcę się wplątać w czyjś związek.

– Przecież nawet nie wiesz, czy on jest w związku, Jezu!

– Tak? Czyli że niby ślepa jestem?

– Cholera, Kaśka, nie wiem, co mam ci powiedzieć, ale skoro nie

możesz o nim zapomnieć, to może powinnaś z nim porozmawiać, co? Tym bardziej że on też chce z tobą pogadać. Powiedziałabym nawet, że dość desperacko tego chce.

– I niby co miałabym mu powiedzieć?

– Może prawdę?

– Czyli że co? Że myślę o nim cały czas i że... że wszystko mi go przypomina i że każdej nocy wściekam się na siebie za to, że wściekam się na niego?

Zośka zamilkła.

– Kaśka? Czy ty... czy ty wiesz, co właśnie powiedziałaś?

Spojrzałam na nią pytająco.

– W ten swój pogmatwany, cholernie pokręcony sposób powiedziałaś, że go kochasz – odparła, a ja przygryzłam dolną wargę i głęboko westchnęłam.

– Wiem. Zakochałam się, jak jakaś głupia szczeniara. Najgorsze, że nie mogę przestać o nim myśleć.

– To zacznij z nim rozmawiać!

– Nie chcę, naprawdę. Obiecałam sobie, że nigdy nie stanę się kością niezgody w jakimkolwiek związku, przecież wiesz.

– Kaśka, ale to jest zupełnie coś innego.

– Jest identycznie jak z moją matką, ona też była tą trzecią. Rozbiła związek mojego ojca z jakąś kobietą, którą, jak się ostatecznie okazało, kochał bardziej niż moją matkę, ale ze względu na to, że się pojawiłam, nie miał odwagi od nas odejść. Nie chcę być taka nieszczęśliwa jak ona. Muszę zapomnieć o Maksie.

– Prosił mnie, abym cię przekonała do sprawdzenia skrzynki mejlowej.

– Już ją zlikwidowałam – skłamałam.

– Nie wierzę ci.

– Słowo. Moje wirtualne alter ego o imieniu „Key” nie ma już konta – brnęłam w kłamstwie, pragnąc jak najszybciej uciąć wątek.

– Muszę założyć sobie nowe.

– Ale wiesz, że on się tak łatwo nie podda? Powiedział mi, że we wtorek znowu spróbuje z tobą porozmawiać.

– Jezu, o co mu chodzi?

– O co? Ty naprawdę jesteś idiotką czy tylko taką udajesz? On się po prostu w tobie zakochał!

– Zakochał?

– Jak cholera!

– Nie wierzę!

– Mów, co chcesz, ja tam wiem swoje. Jak facet się tak desperacko zachowuje, to o czymś to świadczy.

Było mi wszystko jedno, co działo się dookoła. Zupełnie nie przeszkadzały mi podmuchy zimnego wiatru i drobny deszcz ze śniegiem, którym częstowało nas szarzące niebo. Nie zwracałam uwagi na przechodniów, którzy dziwnie na mnie patrzyli, kiedy zamiast zwiewać przed niezbyt przyjemną pogodą, na dobre rozsiadłam się na ławce, w dodatku w rozpiętym płaszczu. Nie mogłam uwierzyć w to, co zakomunikowała mi przed chwilą Zocha. Jasne, że wcześniej wiele razy o tym myślałam, a raczej marzyłam, aby okazało się, że Maks obdarzy mnie jakimś romantycznym uczuciem i przyjedzie do mnie na białym koniu, z wiązanką czerwonych róż. Koniem, oczywiście, mógł być nawet i tramwaj, a zamiast wiązanki róż bez mrugnięcia przyjąłabym skromnego tulipana. Ale przecież Maks miał dziewczynę i był studentem, który niedługo zacznie karierę zawodową, podczas gdy ja, oprócz nadmiaru kilogramów, nie oferowałam mu nic więcej. Byłam zwykłą, niczym niewyróżniającą się dziewczyną, o przeciętnej wiedzy i całkowicie przeciętnych umiejętnościach.

– Ale co on we mnie widzi? – Spojrzałam na przyjaciółkę, wykrzywiając usta w grymasie.

– A skąd mam wiedzieć? Zapytaj go, po prostu.

– Łatwo ci mówić.

– I łatwo zrobić. Słuchaj, kobieto o durnych postanowieniach, gdybyś nie była moją Kaśką, dawno posłałabym cię w cholere, bo denerwują mnie takie rozedrgane emocjonalnie dziewczuchy, co niby chcą, ale nie chcą. Normalnie mdli mnie na ich widok, a jak słyszę o ich frustracjach, o tym, czy ktoś je kocha, czy nie, czy ktoś na nie spojrzał bykiem, czy jak na top modelkę, to po prostu słabnę. Zbierz się i pogadaj z nim, bo jak dla mnie on jest całkiem w porządku. Coś jest na rzeczy z tą blondyną, bez dwóch zdań, ale skoro on się upiera, to może dowiedz

się, o co mu chodzi? – Zośka westchnęła. – Aha, i prosił, abym ci powiedziała, że przeczytał „Angielskiego pacjenta”. Słuchaj, skoro facet poświęca swój czas i czyta coś, co uwielbiasz, to nie wydaje ci się, że o czymś to świadczy?

24. Nocny gość

Szłam już spać, bo na cyfrowym wyświetlaczu zegarka gromiły mnie cztery niebieskie cyferki – 23:52.

– Jutro znowu nie wstanę – sapnęłam i zaczęłam się pakować na rano, na basen.

Byłam zmęczona, bo piątki zaliczałam do wyjątkowo wyczerpujących. Choć tamtego dnia zamiast szkoły do późna był teatr, to po południu leciałam jeszcze na fitness z Anią, trenerką, która wyciskała z nas siódme poty. Nieraz chciałam uciec z jej zajęć, bo miałam kolosalne problemy z wytrwaniem do końca, ale, zaskakując nawet samą siebie, nie odpuszczałam. Anka, piękna, filigranowa blondynka, była bardzo ostra i dyscyplinowała nas bez skrupułów. Nie

wrzeszczała jednak ani nie poniżała nas w żaden sposób, tylko po prostu motywowała okrzykami typu: „Dajesz!”, „Jeszcze tylko kilka powtórzeń” czy „Samo się nie zrobi!”. Na mnie to działało doskonale. Uwielbiałam ją i uwielbiałam patrzeć na jej gibkie ciało, które, od kiedy ją poznałam, było dla mnie ideałem pod każdym względem.

Lubiłam te zajęcia i w sumie chodziłam na nie bez przymusu. Matka, pomimo zapewnień, nie do końca jednak w to wierzyła i pilnowała, aby moja frekwencja utrzymywała się na wzorowym poziomie. Kiedy tylko mogła, czekała na mnie po zajęciach, pod przykrywką w stylu: „Byłam w pobliżu” lub „Wpadłam zobaczyć, jak ci idzie”. Z czasem przestało mnie to irytować, bo zrozumiałam, że w ten sposób zagłuszała wyrzuty sumienia, które obudziłam w niej 19 października 2013 roku.

Spojrzałam na komputer. Kusilo mnie, aby sprawdzić choć tego ostatniego mejla od Maksa, tego jednego, jedyne, o którym wspomniał w swoim SMS-ie. Nie zrobiłam tego jednak. Walnęłam się do łóżka, z myślą przeczytania „Szeptem”, którą podrzuciła mi Pola na ostatniej sesji, świergocząc, że to książka o trudnej miłości. Uznałam, że z tą tematyką było mi wówczas jak najbardziej po drodze.

Kiedy wybiła północ, zadzwonił mój telefon.

– Co jest? – zapytałam.

– Pomóż! – Usłyszałam drżący, zbolący głos Zochy i poczułam, jak napinają mi się mięśnie.

– Co się stało?

– Nic... – wydukała.

– Pobił cię?! – wrzasnęłam, powodując, że w drzwiach pokoju zjawił się mój ojciec z rozjuszoną miną. Musiał przechodzić obok moich drzwi.

– Katarzyno! – krzyknął, na co ja, nie wiedząc czemu, odwróciłam się do niego tyłem.

Nie widziałam jego twarzy, ale byłam pewna, że musiał doznać głębokiego szoku, bo drugi raz się nie odezwał, tylko stojąc w swoim codziennym domowym uniformie, milczał.

– Pobił cię? – ponowiłam pytanie.

– Nie bardzo.

- Co to znaczy? Co znaczy „nie bardzo”?
- Pomóż... – wycedziła.
- Ale jak? – spytałam, spanikowana.
- Otwórz drzwi.
- Co? Jakie drzwi?
- Siedzę pod twoimi drzwiami.
- Jezu!

Omijając ojca, którego najwyraźniej zamurowało, i całkowicie zdezorientowaną matkę, która stała tuż za nim, zbiegłam do drzwi frontowych i otworzyłam je.

Na schodkach, wciskając się w barierkę, siedziała Zocha. Cała dygotała z zimna i chyba z emocji. Przytuliłam się do niej, najmocniej jak potrafiłam, całując ją w lodowate czoło, po matczynemu. Śmierdziała piwem i papierosami, jak stara meliniara, choć wiedziałam, że ani nie piła, ani nie paliła.

– Możesz wstać? – zapytałam po chwili.

– Tak. – Podniosła się i spojrzała na mnie. Wtedy zobaczyłam spore zaczerwienienie na jej twarzy i rozciętą wargę. Musiał ją niezłe uderzyć. Co za gnój!

Moi rodzice patrzyli na nas, nie wydając z siebie ani słowa.

– Zocha zostaje na noc – zakomunikowałam.

– Będą się o ciebie martwić – powiedziała po chwili matka, gdy wciągnęłam już zmarzniętą przyjaciółkę do środka. – Trzeba komuś powiedzieć, gdzie jesteś.

– Moja babka... – wydukała Zośka, telepiąc się. – ...ona wie.

Zocha nie miała ochoty na rozmowę, a ja nie czułam się upoważniona, aby o cokolwiek ją wypytywać. Pomogłam jej za to się wykąpać, bo pomyślałam, że chciałyby pozbyć się libacyjnego zapachu. Uczesałam jej długie włosy i napiłam miętową herbatą, którą przyniosła moja spanikowana matka. Położyłam ją do swojego łóżka, a sama rozłożyłam obok materac i klnąc w myślach, najokrutniej jak tylko potrafiłam, zasnęłam dopiero wtedy, gdy usłyszałam jej spokojny oddech.

* * *

Obudziłam się kilka minut po ósmej. Zocha leżała z otwartymi oczyma i wpatrywała się we mnie.

– Jesteś taka słodka, jak nie mlaskasz swoim jęzorem – powiedziałam, uśmiechając się delikatnie.

– Ja też cię kocham.

Zocha zeszła z łóżka i położywszy się obok mnie, zaczęła płakać.

– Ja...

– Wiem, wiem... – Gładziłam ją po pięknych długich włosach, które pachniały moim ulubionym jabłkowym szamponem. – Nie płacz, nie warto.

– Dzięki – wydukała, pociągając nosem. – Za wszystko...

Było mi jej strasznie żal. Jakbym na chwilę przerodziła się w wielkiego osiłka, poszłabym do jej domu i natrzaskałabym ojczymowi, aż zacząłby błagać o litość. Co za gnój! Nienawidziłam znęcania się nad innymi, a już na pewno nad takimi chudzinami jak Zośka.

– Co powiesz na to, że poleniuchujemy dziś u mnie? Cały dzień?

– Masz przecież basen.

– Basen nie ucieknie. Pójdę później na siłownię.

– Byłoby super.

– Pooglądamy telewizję, posłuchamy muzyki, pogadamy.

– A twoi rodzice? Nie będą źli? Przecież naszłam was w środku nocy?

– Byli w szoku. Pewnie nadal są. Nic nie powiedzą, nie martw się.

– Jesteś cudowna.

– Wiem kochana, wiem.

* * *

O dwunastej zeszłam na siłownię, zostawiając Zochę sam na sam z komputerem. Kiedy wróciłam, zastałam ją w tej samej pozycji, tylko nieco bledszą.

– Coś się stało? – zapytałam, zaniepokojona, kreując w głowie obraz krwawego finału wczorajszej libacji w domu Zośki.

– Tak – powiedziała poważnie, a ja skamieniałam.

– Coś z twoją mamą?

- Moją mamą? – Obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem.
- A czemu?
- Myślałam, że coś przeczytałaś, no, wiesz... w jakichś wiadomościach.
- Nie, nie chodzi o moją matkę. Chodzi o ciebie.
- O mnie? – Spojrzałam na swoje spocone ciało. – Wiem, że może wyglądam, jakbym miała zaraz dostać zawału, ale zapewniam cię, że to tylko przejściowe – zażartowałam. – Zaraz wrócę do normy.
- Zośka zupełnie nie zareagowała na moją dowcipną ripostę.
- Powiedziałaś, że zlikwidowałaś swój stary adres mejlowy, ale, oczywiście, wiedziałam, że tego nie zrobiłaś. Za dobrze cię znam.
- I...? – zapytałam, zdając sobie sprawę, do czego zmierzała.
- I sprawdziłam twoją pocztę – powiedziała spokojnie, jakby podawała mi przepis na lasagne, a nie przyznawała się do naruszenia mojej prywatności.
- Co zrobiłaś? – Nie dowierzałam temu, co usłyszałam.
- Sprawdziłam... twoją... pocztę... – odparła, wyraźnie podkreślając każde wypowiedziane słowo.
- Ale... jak to?
- Normalnie, kliknęłam tu i tam, i poszło. Ktoś musiał to przecież zrobić. – Zośka spojrzała na mnie badawczo. – *Hello?* W porządku z tobą?
- Co? Taaa...
- Nie zapytasz, co tam znalazłam?
- Nie interesuje mnie to – odparłam cicho, bez przekonania, bo w środku aż wyrywałam się, żeby wrzasnąć: „Mów, co znalazłaś! Mów!”.
- A powinno! – Zośka uśmiechnęła się kusicielsko.
- Niby dlaczego?
- Poprawiła się na krześle, jakby mościła sobie miejsce na dłuższą nasiadówkę i odchrząknawszy, zaczęła czytać.
- „Rozumiem już, dlaczego mnie unikałaś. Pewnie zachowałbym się tak samo. Ale to nie jest takie proste i to, co widziałaś, nie znaczy tego, na co wyglądało. Nie jestem z nikim w związku”.
- Zdębiałam. Nie bardzo łapałam, o co chodziło.

– Nie znaczy tego, na co to wyglądało? – zapytałam.

– Trochę to poplątane.

– Nie jestem z nikim w związku? – znowu zadałam pytanie, dukając słowo po słowie.

– Tak. To też wydaje się dziwne, ale się wyjaśni. Słuchaj dalej: „Nie chciałbym, abyś przede mną uciekała, nie o to chodzi. Jesteśmy dorośli. Chciałbym porozmawiać... Tak normalnie. Mógłbym ci wtedy wiele wytłumaczyć, Kasiu. Pewnie nie odpowiem na wszystkie twoje pytania, bo przed samym sobą nie jestem jeszcze w stanie tego zrobić, ale bardzo chciałbym spróbować”.

Opadłam na miękką pufę, mając mroczyki przed oczyma. Zocha spojrziała na mnie i pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Trzymasz się? Bo teraz mam najlepsze: „Dasz mi szansę, Kasiu? Nie jestem oszustem, no w każdym razie na pewno nie w stosunku do ciebie. Oszukuję sam siebie, to mogę potwierdzić. Pierwszy raz od pięciu lat czuję, że coś mi ucieka, że wymyka mi się coś pięknego, jedyne w swoim rodzaju. Nie chcę do tego dopuścić. Zależy mi na tobie, Kasiu. Bardzo”.

Zośka spojrziała na mnie i zobaczywszy, że z oczu ciekły mi łzy, podleciała i starannie zaczęła je ocierać. Uśmiechnęłam się do niej, roniąc kolejne krople smutku, radości, a może wzruszenia...

– Nie rycz, głupia.

– Nie ryczę... – stęknęłam. – ...nie panuję nad tym.

– Musisz się z nim spotkać.

– Wiem – odparłam, ciężko wzdychając.

– Kaśka, jakie to boskie!

Nic nie odpowiedziałam, tylko odtwarzałam w myślach ostatnie słowa: „Zależy mi na tobie, Kasiu. Bardzo”. Myślałam o tym, co dla Maksa znaczyło słowo „zależy”? Czy odnosiło się do bycia koleżanką, przyjaciółką, czy... dziewczyną...? Głowa mnie rozbolała.

– Przestań myśleć i zacznij działać! – Przerwała mi Zocha, jak zawsze spostrzegawcza i rozsądna zarazem. – Od tego twojego myślenia są same problemy. Zdaj się na instynkt.

– Ale ja chyba go nie mam.

– Każdy go ma. Umów się z nim. Po prostu!

– Co?

– Kaśka, obudź się, bo zwieje ci świetny chłopak! Myślisz, że będzie na ciebie czekał całe życie? Tacy bywają cierpliwi, ale nie aż tak!

Patrzyłam na nią, czując się tak, jakby ktoś mnie potraktował obuchem. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

– Czy ciebie coś popieściło, że taka sztywna się zrobiłaś?

– Nie – odparłam automatycznie.

– Nie wytrzymam! Kaśka, na randkę się z nim umów! I to jeszcze dziś!

– Na randkę?

– A na co? Na spacer do muzeum? Jasne, że na randkę. Przecież sam ci to zaproponował.

– Myślisz?

– Błagam cię, gadasz jak potłuczona. A co ci przed chwilą przeczytałam? – Spojrzała na mnie, ale musiałam wyglądać na totalnie nieobecna, bo ciągnęła dalej: – Chce się spotkać i pogadać. Zależy mu na tobie, i to bardzo. Jak myślisz, wybitna znawczyni literatury, o czym to świadczy? O tym, że chce od ciebie pożyczyć książkę czy że chce ją z tobą poczytać?

Popatrzyłam na Zośkę. Była nakręcona, jak w transie. Zupełnie nie pasowała do nocnego wizerunku, kiedy zwinięta w kłębek, bez pazurków, które przed chwilą pokazała, zjawiła się przed moim domem. O tym, co ją wczoraj spotkało, świadczył zaledwie brązowiejący ślad na policzku i strup na wardze.

– Muszę się wykapać – powiedziałam i wstałam, najszybciej jak to było możliwe.

Kiedy wróciłam, byłam już inną Kaśką: rozpromienioną, energiczną, zupełnie pozbawioną zszokowanego wyrazu twarzy, który jeszcze przed chwilą mi towarzyszył.

– Muszę przeczytać wszystkie jego mejle – zakomunikowałam.

– Od zeszłego czwartku. Dużo ich jest?

– Trochę – odparła Zośka, okazując zaskoczenie nieoczekiwaną zmianą nastawienia.

– Przeczytałaś wszystkie?

– Aha.

- No to zmiataj! Teraz moja kolej.
- A potem? – zapytała.
- A potem napiszę do niego.
- No! Taką to ja ciebie ubóstwiam, ty moja chudzinko. Dobrze wyglądasz w tych dzinsach, wiesz?
- Wiem. – Zaśmiałam się zuchwale. – I czuję w nich luz!
- No, brawo! A teraz siadaj już!

* * *

Po przeczytaniu wszystkich wiadomości w myślach kłębiło mi się od znaków zapytania i wykrzykników. Nigdy nie czytałam tak emocjonalnych mejli. Musiałam przyznać, że nawet w powieściach listy kochanków bywają mniej poruszające. Maks był niesamowity. Potrafił tak dobierać słowa, tak nimi żonglować, że czytając jedną linijkę, pragnęłam czytać kolejną. Podkreślał temperaturę uczuć na skraj możliwości. Czułam, jakbym nagle znalazła się w innej krainie, jakbym była w swoim świecie, gdzie rzeczy nierealne, niemożliwe i niewyobrażalne są na wyciągnięcie ręki. Doświadczałam czegoś, o czym tylko czytałam, o czym słyszałam i wiedziałam, że istnieje, ale nigdy nie przypuszczałam, że spotka to właśnie mnie.

– Muszę mu odpisać – powiedziałam.

– Ano musisz.

Usiadłam i zaczęłam kleić słowa w list, przesączony rozterkami.

@ 18.01.2014, 14:05

Od: Key

Do: Max

Temat: OK, porozmawiajmy.

Maks,

To dla mnie trochę irracjonalna sytuacja, bo, szczerze mówiąc, nie zakładałam, że jeszcze do ciebie napiszę. Nie chodzi o to, że nasze rozmowy były nudne, głupie czy puste. Nic z tych rzeczy! Były przecież pełne tak niesamowitych przemyśleń, którymi zazwyczaj nie dzielę się z nikim, no, czasami może z Zośką.

Nie chciałam do ciebie pisać, gdyż zaczęłam czuć, iż coś, na co oboje przystaliśmy, wymknęło się z ram mejlowego koleżeństwa, a ty

nie możesz zaoferować mi tego, co byłoby wyjściem poza te ramy.

Napisałeś, że to, co widziałam, nie jest takie, na jakie wygląda.
A jakie jest? Wytłumaczysz mi?

Mnie też zależy na ~~tobie~~ naszej znajomości, ale obiecałam sobie, że nigdy nie rozbiję niczyjego związku, więc jeśli jesteś w nim szczęśliwy, nie rezygnuj, tylko o niego zawalcz.

Chciałabym ci napisać o wielu rzeczach, ale jakoś tak słów mi brak.

Key

PS Czy upór to twoja dominująca cecha? ~~Jeszcze nie wiem, czy mam ci za nią dziękować, czy cię przeklinać.~~

– Napisałam – oświadczyłam Zośce, kiedy wysłałam wiadomość.
– Chcesz przeczytać?

– Nie muszę – odparła. – Wiem, co napisałaś.

– Ciekawe skąd?

– Wystarczy, że na ciebie patrzyłam, jak obmyślasz, jakich słów powinnaś użyć, żeby coś tam ukryć czy podkreślić. Znam cię, zapomniałaś?

– Och, ty okropna, wszystkowiedząca, przemądrzała Zofio!

– Jesteś taka sama, Katarzyno, tylko do tego uparta, na dodatek, jak osioł!

Zaczęłyśmy się głośno śmiać, jakby ktoś właśnie zaczął testować na nas jakąś specjalną pigułkę szczęścia.

– Ciekawe, czy dzisiaj ci odpisze? – zapytała Zośka, kiedy już nieco ochłonęłyśmy.

Nie zdążyłam jednak uzewnętrznic swoich przypuszczeń, bo usłyszałam sygnał przychodzącego mejla.

– Już?

– Nie wiem – bąknęłam, szybko sprawdzając, co otrzymałam.

– Zocha! Od niego!

Pełna napięcia otwierałam wiadomość.

@ 18.01.2014, 14:18

Od: Max

Do: Key

Temat: Nareszcie!

Droga Kasiu!

Nawet nie wiesz, jaką sprawiłaś mi radość! Jem właśnie rodzinny obiad i dziwnie wyglądam, kryjąc pod stołem narzędzie zbrodni, nazywane telefonem. Ale co tam?!

Nie wiedziałem, że można tak się ucieszyć z powodu wirtualnego listu!

Jesteś cudowna!

Spotkajmy się dziś wieczorem! Albo nie, do wieczora strasznie daleko, o 16.00 w Cafe 32. Pasuje?

Maks

PS Upieram się tylko wówczas, kiedy na czymś mi bardzo zależy i gdy jestem przekonany, że naprawdę warto.

Zośka przeczytała i szturchnęła mnie w ramię.

– Jezu, ty to masz szczęście!

– Ja?

– No, a kto? Może ja? To ciebie zaproszono właśnie na randkę do najmodniejszej kafejki w mieście.

– Myślisz, że powinnam iść?

– Nawet mnie nie denerwuj! Idziesz, bez gadania! Zresztą sama cię odprowadzę, żeby mieć pewność!

Kiedy stałyśmy już przed futurystyczną windą, prowadzącą do Cafe 32, obleciał mnie strach.

– Zocha...?

– Przestań zachowywać się jak rozhisteryzowana dwunastolatka – odparła, wyczuwając w moim głosie przerażenie. – Nic nie tracisz, a dużo możesz zyskać. A już na pewno możesz się dowiedzieć, o co mu tak naprawdę chodzi. Super wyglądasz, jesteś mądra, a krzywdy nie dasz sobie zrobić, więc nie masz co pękać! Rozumiesz?

– Dzięki – odparłam i przytuliłam zmarzniętą chudzinę. – Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć.

– Wiem i jestem z tego dumna! – stwierdziła, szczerząc się do mnie.

– Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miała cię zobaczyć... – powiedziałam.

– Idź już, wariatko! To tylko randka.

– Aż randka...

Nigdy wcześniej nie jechałam windą o szklanych ścianach, na dodatek wjeżdżającą na wysokość niemal stu metrów, więc kiedy dotarłam na odpowiednie piętro, byłam nieco oszołomiona. Te wszystkie dachy, które znajdowały się gdzieś dużo, dużo niżej, te ulice, spotykające się na rondach, którymi upstrzone było nasze miasto, te samochody, które z tej wysokości jawiły się jako pudełka od zapalek... To wszystko odurzało tak bardzo, że trudno mi było oderwać wzrok od zjawiskowego widoku. „Czemu ja tu jeszcze nigdy nie byłam?”

Znacznie większego szoku doznałam, gdy znalazłam się na progu Cafe 32, bo niesamowity kawowo-waniliowy wystrój robił piorunujące wrażenie, a usytuowany na środku głównej sali biały fortepian kazał osobom nieobytym, czyli takim jak ja, z wrażenia otworzyć szeroko usta.

Nie zauważyłam Maksa, więc zajęłam miejsce przy wskazanym przez kelnera stoliku. Zamówiłam wodę mineralną, choć cudownie wyglądające torty, ciasta i lody, które wystawiono w designerskich ladach, kusily mnie niezmiernie.

Kiedy wybiła szesnasta, zaczęłam się nerwowo rozglądać. Po tych

wszystkich naleganiach Maksa na spotkanie wątpiłam, że zdezerterował, choć drobny niepokój również zawitał w mojej głowie. Pięć minut później wstałam, chcąc obejść kawiarnię dookoła, i wówczas usłyszałam męski głos, który sprawił, że ciarki przeszły mi po plecach. Natychmiast skierowałam swoje kroki w jego stronę, błagając w myślach, abym się myliła. Nie byłam jednak w błędzie. Przy stoliku siedział Maks i... blondyna, która dziś wyglądała wyjątkowo niedbale. Włosy miała w nieładzie, ubrana w spodnie dresowe, z podkrążonymi oczyma i poszarzałą cerą, jawiła się jako zupełnie przeciętna dziewczyna. Daleko jej było do laski w kusej spódniczce, wysokich szpilkach i perfekcyjnym makijażu. Trzymała Maksa za dłonie i patrząc na niego błagalnie, coś mu tłumaczyła.

Wystarczyło mi zaledwie krótkie spojrzenie, aby zdecydować, że powinnam stamtąd zwiać jak najszybciej. Wtedy jednak Maks mnie zauważył i poderwał się.

– Kasiu, poczekaj!

Ja jednak nie odpowiedziałam, tylko najprędzej jak potrafiłam odwróciłam się od widoku czegoś, czego za żadne skarby świata nie chciałam w tamtej chwili oglądać. Na pewno nie w momencie, kiedy znów obudziłam w sobie niezdrowe uczucia.

– To ona? To o nią ci chodzi? O tę małą? – Usłyszałam drwiący ton głosu blondyny.

Nie wiedzieć dlaczego, cofnęłam się do ich stolika. Maks patrzył na mnie prosząco, za to ona wręcz mordowała mnie wzrokiem.

– Nie, nie chodzi o mnie – powiedziałam dobitnie. – To on ma problem.

– Kasiu, proszę, poczekaj – rzucił za mną Maks, ale ja już zmierzałam do swojego stolika.

Zabrałam rzeczy, zapłaciłam zdeorientowanemu kelnerowi i udałam się w stronę windy, która jak na złość wlokła się na trzydzieste drugie piętro nieprzyzwoicie długo. Gdy w końcu znalazłam się w środku i nerwowo wciskałam zero, na progu windy pojawił się Maks. Stał tuż obok i wlepiając we mnie swoje błękitne oczy, czekał na zasunięcie się drzwi. Patrzyłam na niego, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Nie miałam gdzie uciekać, bo przecież zamknięta byłam w szklanej

klatce, która sunęła w dół. Wpasowałam się w narożnik i czekałam na to, co się stanie. Cała jeszcze drżałam od emocji, od tego, czego przed chwilą doświadczyłam, od złości...

Minęliśmy dwudzieste piąte piętro, a my nadal trwaliliśmy w ciszy, wpatrując się w siebie nawzajem. Nie byłam w stanie wydusić ani słowa, choć cisnęły mi się różne, nawet te bardzo jadowite. Po minięciu dwudziestego drugiego piętra Maks wcisnął STOP. Winda zawisła w pionowym korytarzu, utrzymując nas wysoko ponad ginącymi w lekkim półmroku dachami kamienic. Nie miałam pojęcia, dlaczego to zrobił, ale byłam zbyt zszokowana, aby zapytać. Maks zmrużył oczy, przetarł twarz dłońmi, przeczesał włosy, jakby starał się ułożyć niesforne pasemka w przykładną fryzurę, i spojrzał na mnie w taki sposób, że po plecach przeszedł mi dreszcz.

– Pokochałem cię od pierwszej chwili, od pierwszego momentu, kiedy się pojawiłaś – powiedział, a ja, zupełnie zaskoczona, jeszcze bardziej wcisnęłam się w narożnik. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Czegoś tak intensywnego, czystego i wspaniałego. Nie mogłem spać ani racjonalnie myśleć, bo cały czas przed oczami miałem tylko ciebie – ciągnął, a ja odnosiłam wrażenie, że za chwilę zemdleję. Po prostu zaczynało brakować mi tchu. – To, co wtedy poczułem, co czułem potem za każdym razem, kiedy się pojawiałaś, to... Nie potrafię nawet tego opisać, ale to było coś, czego wcześniej nie znałem.

– Uśmiechnął się nieznacznie i powędrował wzrokiem gdzieś ponad moją głowę. – Całkowicie się w tym wszystkim pogubiłem.

– W czym? – zapytałam otumaniona.

– W tym, co się ze mną działo. Nie mogłem normalnie funkcjonować, nie mogłem jeść, moje myśli uciekały tylko w jedną stronę... Nie byłem sobą. Sam siebie się bałem, więc zacząłem cię unikać.

– Dlaczego?

– Aby chronić cię przed sobą.

– Co?

– Bałem się, że mógłbym cię skrzywdzić – szepnął, stojąc już całkiem blisko mnie.

– Bo prędzej czy później odszedłbyś ode mnie?

– Bo nigdy nie pozwoliłbym ci odejść od siebie.

Głośno przełknęłam ślinę i nagle coś do mnie dotarło.

– Nie rozumiem... jak możesz o tym mówić, kiedy nadal masz dziewczynę.

– Nie mam, to skończone – odparł szybko i stanowczo, jakby chciał uciąć niewygodny temat.

– Przecież dopiero co się z nią widziałeś – nie dawałam za wygraną.

– To nie tak... – Na jego twarzy malował się dziwnie niepasujący do niego ból. Zmarszczył czoło.

– To powiedz mi jak?

– Ona... Karolina czekała przed moim domem i przyjechała tu za mną. Śledziła mnie – wycedził, a ja od razu zrozumiałam, dlaczego wyglądała tak niechlujnie.

– Śledziła cię? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Rozstaliśmy się już jakiś czas temu, ale ona nie chciała przyjąć tego do wiadomości, nie pozwalała mi odejść. Groziła, że się zabije. Cały czas pojawiała się przy moim boku.

– Wiem, widziałam.

– Wiem, że widziałaś.

– Nie wyglądaliście, jakbyście się rozstali.

– Ale to prawda. – Przybliżył się do mnie jeszcze bardziej i wpatrywał się we mnie swoimi zaskakująco poważnymi błękitnymi oczyma. – Wiele razy z nią rozmawiałem, również w czwartek. Tłumaczyłem, że to koniec. To skomplikowane... – westchnął. – Kasiu, jesteś jedyną, z którą chcę być.

– Jej pewnie też tak mówiłeś? – zapytałam, czując gorycz swoich słów.

– To... to, co mnie łączyło z Karoliną, to... – dukał – ...to było zupełnie coś innego. Nie chcę tego porównywać, bo ją szanuję, ale od chwili, w której poznałem ciebie, wiedziałem, że chcę być tylko z tobą.

Gardło ścisnęło mi się niewyobrażalnie. Nerwowo zaczęłam pocierać dłońmi twarz i klatkę piersiową, jakbym podświadomie chciała zmusić się do powiedzenia czegokolwiek. Żadne słowo nie wydobyło się jednak z moich ust. Zamiast tego Maks najpierw delikatnie musnął moją

rękę, a nie wyczuwając we mnie odrazy czy niechęci, pazernie oplótł moje dłonie swoimi, czyniąc mnie całkowicie bezbronną. Był tak blisko, że bez trudu dojrzałam w jego źrenicach konstelację kreseczek i kropeczek, tworzących oszałamiająco błękitne plamki. Nie to było jednak najważniejsze, a uczucia i emocje, które znalazłam w odbiciach jego duszy – bezgraniczne ciepło i siłę oraz coś magicznego, czego nie potrafiłam nawet nazwać. Moje serce zalała nieznana mi dotąd fala emocji. Maks patrzył uważnie i jakby uspokoiony moją reakcją uśmiechnął się subtelnie, po czym ujął moją twarz w swoje ciepłe dłonie.

– Kocham cię – szepnął i pocałował mnie delikatnie w usta, sprawiając, że cały mój świat zawirował.

26. Viola

Nie miałam pojęcia, co robić, jak się zachować, nawet co powiedzieć, kiedy wyszliśmy z windy, będącej jedynym świadkiem pierwszego w moim życiu prawdziwego pocałunku. Czułam się jak sierotka Marysia, zagubiona w leśnej gęstwinie, która na darmo wypatrywała kierunkowskazów. Wydawało mi się, że u Maksa poziom niezdecydowania w tamym momencie oscylował wokół zera, bo

zachowywał się nadzwyczaj pewnie, tak jakby wszystko przewidział, jakby wszystko działo się zgodnie z wymyślonym przez niego scenariuszem. Kiedy jednak złapał mnie za dłoń, a potem musnął ustami po knykcjach, wyczułam w nim niepewność i chyba strach.

– Przejdźmy się – szepnął.

Szliśmy dobrą chwilę w milczeniu, ale w tym momencie wyjątkowo mnie to nie krępowało.

– Jesteś bardzo spięta – powiedział w końcu.

– Yyy... Ty też.

– To prawda.

Znajdowaliśmy się już w parku Żeromskiego, najromantyczniejszym zakątku naszego miasta. Pełno w nim było ustronnych zakamarków, ławeczek i miejsc wręcz wymarzonych dla par, szukających skrawka wyłącznie dla siebie. Tylko pora roku nie bardzo sprzyjała, bo zima nie gwarantowała zielonych kurtyn, za którymi zakochani mieliby odrobinę intymności.

– Tak bardzo zależało mi na tym, aby niczego nie schrzanić.

Aby... – przerwał, bo jakiś rowerzysta upomniał się o przejazd.

– Aby? – zapytałam dociekliwie, pragnąc, by dokończył swoje wyznanie.

– Aby wyszło dobrze... Abyś nie uciekła, abyśmy porozmawiali.

– Cóż... nie uciekłam... – Uśmiechnęłam się nieśmiało.

– No, nie powiedziałbym – odparł, a ja zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście chciałam zwać.

– Niech ci będzie. Nie uciekłam, chociaż próbowałam.

– Tak, to jest bliższe prawdy.

– No, ale jeśli chodzi o rozmawianie... nie powiedziałabym, żebyśmy porozmawiali.

– No tak... ale czasami więcej można usłyszeć bez słów. Na pewno o tym wiesz – dodał i patrząc mi głęboko w oczy, znowu mnie pocałował.

Choć zrobił to bardzo delikatnie, po całym ciele przebiegł mi dreszcz. Poczułam się tak dziwnie słabo, jak nigdy dotąd. Natychmiast się usztywnił.

– Coś się stało? Coś ci jest? – zapytał, szczerze zaniepokojony.

– Nic, nic... To nic wielkiego – miotałam się, szukając wyjścia z sytuacji. – Mieliśmy porozmawiać. Może więc zacznijmy... Powiedz mi coś o niej.

– O niej?

– Tak, o tej boskiej blondynie.

– Boskiej? – zdziwił się.

– No, nie mów mi, że byłeś z nią dla jej intelektu – powiedziałam prześmiewczo.

– Ani dla intelektu, ani dla urody.

– Więc z jakiego powodu?

– To naprawdę skomplikowane.

– Myślę, że jakoś zdołam to ogarnąć.

– Pięć lat temu miałem poważny wypadek. – Głęboko westchnął. – Ledwo się z niego wywinąłem. Leżałem w śpiączce i nie dawali mi wielkich szans, a ona, Karolina, pomogła mi stanąć na nogi.

– Pomogła?

– Przychodziła do mnie codziennie i rozmawiała ze mną. Nawet gdy inni wątpili, ona trwała przy swoim. Kiedy już się wybudziłem, pilnowała, aby moja rehabilitacja przebiegła zgodnie z ustaleniami. Walczyła o każdą minutę masażu, wyciskała zgody od lekarzy na dodatkowe zabiegi, pilnowała, abym wszystkie leki dostawał na czas. Była wtedy zmorą dla całego personelu, a dla mnie – zbawieniem. Będę jej za to do zgonu wdzięczny.

– I dlatego ją kochasz?

Maks przystanął i spojrzał mi w oczy. Nabrał w płuca powietrze i powoli je wypuścił.

– Szanuję ją za to, co dla mnie zrobiła, ale chyba nigdy nie kochałem jej tak naprawdę. Jest dla mnie ważna i zawsze będzie, bo nikomu tyle nie zawdzięczam, co jej. Ale to nie jest prawdziwa miłość. Już dawno chciałem od niej odejść, jednak była uparta, do czasu...

– Do czasu aż co...? – Zadrżałam.

– Aż zobaczyłem, usłyszałem i poznałem ciebie. Wtedy wszystko zrozumiałem.

Jego słowa zrobiły na mnie tak piorunujące wrażenie, że aż rozchyliłam usta. Maks najwyraźniej dostrzegł to, bo delikatnie

uśmiechnął się, a następnie palcem wskazującym obrysował moje wargi. Potem spojrział na mnie przenikliwie i bez najmniejszego zawahania pocałował mnie bardzo żarliwie, tuląc moją twarz w dłoniach.

Zupełnie nie wiedziałam, co się ze mną działo. W głowie mi wirowało, w podbrzuszu szalał tajfun, a nogi drżały, jakbym co najmniej przebiegła kilka kilometrów, i to pod górkę. Kiedy w końcu oderwał się ode mnie, byłam totalnie skołowana i nie mogłam z siebie wydobyć słowa, choć w myślach wiwatowałam na cześć kolejnego prawdziwego, najprawdziwszego pocałunku i to z fizycznie obecnym przy mnie mężczyzną.

– Wszystko okej? – zapytał, widząc moje zakłopotanie.

„Okej? Jezu! Jest bosko!!!”.

– Tak – odparłam zdawkowo.

– Nie uraziłem cię? – zapytał, widząc, że nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Nie, nie, skąd.

Maks pocałował mnie w dłoń, po czym ruszyliśmy dalej. Kiedy przeszliśmy kilkadziesiąt metrów bez słowa, za tło mając skrzypienie butów i szum gałęzi pozbawionych liści, nagle przestałam bujać w obłokach i gwałtownie wróciłam na ziemię.

– Skoro wiedziałeś, że to nie jest prawdziwa miłość, dlaczego byłeś z nią?

– Z szacunku, z przyzwyczajenia. Nie wiem... Ty mi uzmysłowiłaś, że muszę to zakończyć.

– I jak mnie poznałeś, próbowałaś od niej odejść?

– Wcześniej też próbowałem, ale jak się zjawiłaś, wiedziałem, że to już nieuniknione. Pisałem ci o tym, że muszę rozwiązać trudną sytuację.

– To była ta trudna sytuacja, w której nie mogłam ci pomóc?

– Tak. Przede wszystkim dlatego, że Karolina nie przyjmowała do wiadomości, że chcę być z tobą – powiedział i patrząc mi głęboko w oczy, dotknął opuszkami palców grzbietu mojej dłoni, a po chwili musnął to miejsce ustami.

Moje ciało przeszły dreszcz, sprawiając, że odkryłam jakieś mroczne miejsca w swoim ciele, o których istnieniu do tej pory nie miałam pojęcia. Było to dziwnie przyjemne i zaskakujące. Zaciągnęłam

się rześkim powietrzem.

– Coś się stało? – zapytał Maks, a ja, zawstydzona, pokręciłam głową.

Uśmiechnąłem się. Nie wiedzieć dlaczego, w tej błogiej chwili znów pomyślałam o Karolinie, o jego związku, który trwał, bagatela, pięć lat!

– Byłeś z nią szczęśliwy? – wystrzeliłam.

– Na swój sposób. Powiedziałbym, że byłem do niej przywiązany i poniekąd wdzięczny za to, że pomogła mi wyjść z wypadku.

– Co to był za wypadek?

Maks zagryzł wargi i zmarszczył czoło.

– Samochodowy, ale nie chcę o tym rozmawiać. To temat zamknięty – powiedział nad wyraz stanowczo, tonem przypominając mi mojego ojca. Zmroziło mnie, co nie uszło jego uwagi. – Wybacz, ale ten wypadek... to najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła.

– Rozumiem – odparłam, czując w jego słowach mnóstwo skomplikowanych emocji. – To może ja ci coś opowiem?

– Cudna jesteś – odparł i pocałował mnie swoim ciepłym pocałunkiem, sprawiając, że moim ciałem ponownie wstrząsnął dreszcz.

– Znowu drzysz. Zimno ci? Dać ci kurtkę?

– Nie, nie o to chodzi...

– A o co? – zapytał, a ja poczułam, że wyznanie mu prawdy mogłoby wszystko zepsuć. Mogłoby sprawić, że straciłabym w jego oczach to, co w jakiś przedziwny sposób pozyskałam.

– To naprawdę nic – powiedziałam, subtelnie się uśmiechając.

– Ale to nie przeze mnie? Nie przez ten pocałunek?

– Tak... To znaczy nie... – palnęłam i od razu poczułam, jak narasta we mnie wściekłość za nieprzemyślaną odpowiedź.

Maks usiadł na pobliskiej ławce, którą zapewne niedawno odrestaurowano, bo metalowe zdobienia w ogóle nie były skorodowane ani zabrudzone. Nikt nawet nie zdążył wydrapać na nich inicjałów w chwili uniesienia. Łapiąc mój podbródek w swoje delikatne palce, wyszeptał czule:

– Powiedz mi, Kasiu, proszę.

Gardło mi się ścisnęło, oddech przyspieszył, a serce tak galopowało, że pomyślałam, iż za chwilę najnormalniej w świecie

zemdleję.

– Ale nie będziesz się śmiał?

– A będzie z czego? – zapytał z szelmowską miną.

– Tak. Ze mnie.

Spoważniał.

– Z ciebie nigdy. Z tobą zawsze.

Rozbroił mnie tymi słowami.

– Jesteś...

– Tak?

– Moim pierwszym chłopakiem... – wyszeptałam, prawie niesłyszalnie, ale on zrozumiał. Uśmiechnął się. – Powiedziałeś, że nie będziesz się śmiał! – rzuciłam, wrywając swoją brodę z jego palców.

– Jezu, Kasiu! To nie tak! To... to cudownie! Nie wiem, co powiedzieć. Uśmiechnąłem się, bo... Chyba ze szczęścia się uśmiechnąłem! – Wydawał się mówić szczerze. Wydawał się poruszony moim niespodziewanym wyznaniem. – Nie przypuszczałem... Nie, ja po prostu się nad tym nie zastanawiałem.

Patrzyłam na płaczącego się Maksa z coraz większym zdumieniem i zaskoczeniem.

– Nie miało to dla mnie znaczenia, bo liczyłaś się tylko ty.

– Pocałował mnie w dłoń, wędrując gdzieś rozbieganym wzrokiem.

– Kasiu, jak w ogóle mogłaś choćby pomyśleć, że chciałbym się z tego śmiać?

– Nie wiem... Faceci wolą dziewczyny, no, wiesz... bardziej doświadczone.

Maks zbliżył swoją twarz do mojej. Pocałował mnie w policzek, potem spojrzał mi głęboko w oczy i nie widząc w nich sprzeciwu, obsypał moją twarz drobnymi pocałunkami, na końcu zanurzając się w moich ustach. Kiedy się ode mnie oderwał, przymknął oczy i westchnął.

– Nikogo nigdy tak nie kochałem... – powiedział, mocno ściskając moje dłonie. – A te twoje drżenia... To najcudowniejsze drżenia, z jakimi w życiu się spotkałem.

– Przestań!

– Serio.

– Nie nabijaj się!

– W tych sprawach zawsze jestem śmiertelnie poważny – dodał i uśmiechnął się łobuzersko, sprawiając, że i ja się uśmiechnęłam.

– Pewnie jest ci zimno.

– W ogóle – odparłam, choć nie do końca była to prawda.

– Chodźmy. Spacer dobrze nam zrobi. Lubisz spacerować?

– W zasadzie nieczęsto spaceruję. Mówiłam ci... – Maks znowu musnął moją dłoń swoimi ustami, a ja wyczułam w tym drobnym geście coś jakby wdzięczność i radość zarazem. – No, chyba że miałabym brać pod uwagę obowiązkowe marsze na zlecenie Penelopy i spacerować z Zośką. Z nią ciągle się gdzieś szlajam.

– To twoja najlepsza przyjaciółka?

– Jedyna.

– Jest chyba w porządku?

– I to bardzo, a na dodatek to ona mnie cały czas cisnęła, żebym się z tobą spotkała. Nie wiem dlaczego... – Prychnęłam teatralnie. – ...ale w jakiś dziwny sposób cię polubiła.

Maks uśmiechnął się serdecznie i kilka razy pokiwał głową.

– Jeszcze będziesz żałował, że mnie poznałeś. A może już żałujesz?

– Żałuję, że poznałem cię tak późno – odparł, obrzucając mnie tajemniczym spojrzeniem.

– Wiesz, kiedyś wszystko potoczyłoby się inaczej. Kiedyś byłam inna. Tak miało być, że natknęliśmy się na siebie właśnie teraz.

– Pewnie masz rację – powiedział. – No, ale nie zmienia to faktu, że cieszę się, że trafiłaś właśnie do mojej grupy. Już chciałem zrezygnować z praktykowania u Penelopy, bo nie za bardzo widziałem siebie w roli terapeuty i, szczerze mówiąc, nadal nie widzę, ale wtedy właśnie się zjawiłaś.

– I...?

– I postanowiłem zostać.

– Zostałeś przeze mnie? – zapytałam z niedowierzaniem, nie rozumując, jak mogłam wyrzucić na kogoś aż takie wrażenie.

– No... tak – odrzekł ciszej, poluzniając uścisk dłoni.

Popatrzyłam na niego uważnie. Jego połyskujące oczy straciły na

chwilę swój blask, a on uciekł całym sobą gdzieś daleko. Nie miałam pojęcia, co w tej krótkiej chwili tak bardzo go rozkojarzyło, co sprawiło, że zniknęła aura błęgiego zauroczenia moją osobą.

– Coś się stało?

– Nie – odparł po chwili. – Wspomnienia czasami są dręczące.

– Wspomnienia o mnie?

– O tobie? – spytał i zaśmiał się, pozwalając wrócić zakochanemu Maksowi na miejsce. – Wspomnienia o tobie to jedne z fajniejszych, jakie mam.

W odpowiedzi odwzajemniłam uśmiech.

– To jakie wspomnienia nazywasz dręczącymi?

– Takie, o których nie chciałbym z nikim rozmawiać, a już na pewno nie z tobą.

Kiedy to powiedział, coś ukłuło mnie pod sercem.

– Nie ufasz mi?

– Nie... nie o to chodzi.

– To o co? – zapytałam, nieco rozgoryczona.

– Nie chciałbym dzielić się z tobą czymś, co nie jest miłe i przyjemne. Na to na pewno nie zasługujesz... – wycedził z trudem.

Korciło mnie, aby jeszcze raz zapytać go o to, czym jest to dręczące wspomnienie, czego ono dotyczy, ale widząc jego strapioną twarz, czułam, że nie miał najmniejszego zamiaru cokolwiek mi zdradzić, a ja kolejnym pytaniem sprawiłabym mu tylko ból. Zamiast tego mocno ścisnęłam jego dłoń i rozbijałam nasze ręce.

– Znam to miejsce! – wypaliłam, ni stąd, ni zowąd, widząc wyłaniający się spośród wiekowych dębów i kasztanowców Teatr Polski.

– Gdy tu byłam ostatnim razem, taki jeden wyratował mnie z niemałej opresji. – Zaśmiałam się, próbując ocieplić atmosferę.

– Aha – westchnął, nie ciągnąc tematu.

– A ta kobieta, reżyserka, z którą wtedy odjechałeś? – zagadnęłam.

– To... – Zawahał się, jakby nie miał pewności, co powiedzieć.

– To Viola.

– Viola?

– Moja matka.

– O! – stęknęłam, czując, jak obleciał mnie strach.

Nie wiedzieć z jakiego powodu, natychmiast wyobraziłam sobie, jak znajdując się w towarzystwie tej szczupłej kobiety, piję herbatę i odpowiadam na jej wyrafinowane pytania.

– Ale nie będę musiała się z nią na razie spotykać? Nie żebym miała coś przeciwko, ale... No, po prostu... Rozumiesz...

Maks najwyraźniej wyczuł mój lęk.

– Viola jest w porządku i nie martw się, nie zamierzam organizować żadnych spotkań, jeśli tego nie będziesz chciała.

– Dzięki – wyszeptałam, czerwieniąc się.

– Ale chciałbym, żebyś z nią kiedyś porozmawiała. Ona na pewno byłaby zadowolona.

– Myślisz?

– Jasne! Zresztą sama się przekonasz.

Byłam pewna, że zrobiłam z siebie kompletną idiotkę! Po co ja w ogóle o tym wspominałam?! To była nasza pierwsza randka, a ja myślałam o rozmowie z jego matką! Beznadzieja!

Maks zaśmiał się i przybrał tajemniczą minę.

– Chciałbym nadmienić, że odpadają piątki, bo wtedy dokonujemy rytualnych obrządków picia ludzkiej krwi i gości raczej nie zapraszamy.

Wybuchliśmy śmiechem, który nadspodziewanie łatwo oczyścił napiętą atmosferę i spowodował, że trudne tematy zniknęły na dobre z horyzontu tego magicznego popołudnia.

27. Powroty babci Zuzy

Nasze wędrówki trwały ponad trzy godziny, trzy najcudowniejsze godziny w moim życiu, trzy godziny spędzone sam na sam z facetem, któremu, z zupełnie niezrozumiałych dla mnie względów, bardzo na mnie zależało.

Nie czułam nóg, gdy dotarliśmy do mojego domu, ale nie uskarżałam się. Drzwi otworzył mój ojciec. Spojrzał na mnie, potem na Maksa i znowu na mnie, jakby nie dowierzał, że mogłam zjawić się w domu w męskim towarzystwie.

– Ka... Katarzyna? – zapytał, jękając się.

Przez ułamek sekundy wpatrywałam się w niego zaskoczona, bo TAKIEGO ojca, zmieszanego ojca, po prostu nie znałam.

– Dobry wieczór, ojciec – odparłam cicho.

Zmierzył nas wzrokiem i zatrzymał się na wysokości naszych splecionych palców, co spowodowało, że natychmiast wysunęłam dłoń z uścisku.

– Dobry wieczór – powiedział Maks, poważnym i zarazem spokojnym głosem.

Odniosłam wrażenie, że gdy tylko zobaczył mojego ojca, zorientował się, że rozmawiając z nim, powinien używać właśnie takiego tonu.

– To Maks – dodałam, a widząc cierpki wyraz twarzy ojca, który miał problem z akceptacją imion w ich nieoficjalnym czy zdrobniałym brzmieniu, natychmiast się poprawiłam: – Maksymilian.

– Dobry wieczór – odrzekł, niby grzecznie, a niby od niechcenia.

Nigdy nie starał się okazać, że mu na czymś zależało, chyba że ktoś podejmował polityczne tematy. Wówczas jego twarz nabierała kolorów, a oczy wręcz skrzyły się od emocji.

W drzwiach pojawiła się moja matka.

– A co tu się... – Urwała, widząc nas na progu.

Maks przywitał się uprzejmie, a ja przedstawiłam go mojej coraz bardziej zaskoczonej matce.

– Mi... yyy... Miło cię poznać – wydusiła z siebie, okazując totalną konsternację. – No, wejdźcie do środka. Na dworze chłód.

– Dziękuję, ale ja już będę się zbierał – odparł, a ja poczułam, jak ogarnia mnie dojmujące zimno.

To było najcudowniejsze popołudnie i najwspanialszy wieczór w moim życiu i wcale nie chciałam, aby się skończył. Marzyłam o tym, aby Maks został przy mnie, abyśmy porozmawiali, posłuchali muzyki, pooglądali jakiś film czy nawet pograli w jakąś grę. Było mi obojętne, co

mielibyśmy robić, ale chciałam, aby to, co tak niedawno się zaczęło, nadal trwało.

– Na razie – powiedziałam, czując na sobie krępujący wzrok rodziców.

– Do zobaczenia, Kasiu – powiedział. – Do widzenia państwu – dodał, czym sprawił, że moja matka z zachwytu aż się zapowietrzyła.

– Do widzenia – odparła po chwili.

Ojciec zaledwie kiwnął głową i odwróciwszy się na pięcie, wrócił do salonu, gdzie zapewne zajął się lekturą pasjonującego go od wczoraj thrillera politycznego.

– Zmykaj, jest naprawdę zimno – powiedział, kiedy odwrócił się i zobaczył, że nadal stoję w progu. – Do jutra.

Gdy zamknęłam drzwi, serce nadal waliło mi jak szalone. Nic mnie nie obchodziło, nie zwracałam uwagi na to, że matka stała tuż obok i wbijała we mnie natarczywe spojrzenie. Nie było to dla mnie ważne, bo czułam się tak, jakbym płynęła gdzieś wysoko, bezwiednie przeskakując z jednej chmurki na drugą. Zaczęłam radośnie tupać nogami, a zaraz potem wydałam z siebie okrzyk szczęścia spowodowany zapewne nagromadzonymi endorfinami, o których istnieniu do niedawna nie miałam bladego pojęcia. Matka podeszła do mnie i czule mnie przytuliła.

– Przystojny – szepnęła cicho, obawiając się zapewne, aby ojciec nie usłyszał.

Nic nie odpowiedziałam, ale w myślach kołatały mi się różne epitety: boski, cudowny, wspaniały!

– To twój... chłopak?

„Jakie to krępujące...” – pomyślałam, a głośno odparłam:

– Tak.

– Nic nie mówiłaś.

– Nie było okazji.

– Fajny jest?

– Bardzo – rzekłam, przywołując w myślach jego ciepłe słowa, ciepłe spojrzenia i ciepłe dłonie, którymi głaskał moje ręce i twarz.

– Tylko uważaj – dodała, rujnując mój romantyczny nastrój.

– Mamo, proszę cię. Jestem dorosła.

– Ale uważać musisz.

– Mamo!

– I tak będę ci przypominała.

– Nie chcę tego słuchać! – rzuciłam buntowniczo.

– Kasieńko... – powiedziała spokojnie, łapiąc mnie za rękę, nim jeszcze zdążyłam się odwrócić. – Widziałam, jak na niego patrzyłaś. I widziałam, jak on na ciebie patrzył. Wolałabym, abyś nie popełniła jakiegoś błędu, którego później będziesz żałowała.

– Czy ty żałujesz, że mnie masz? – rzuciłam kąśliwie, czując, że ranię ją dotkliwie. Zrobiło mi się trochę głupio, a ona się zmieszała.

– Nie mów tak! Nigdy, przenigdy nie żałowałam, że ciebie mam! Żałowałam tego, że nie mogłam ci dać wszystkiego, co powinnaś mieć!

– Czyli czego?

– Normalnej matki, kochającej, uśmiechniętej i radosnej.

Zupełnie mnie zamurowało. Takiego wyznania w ogóle się nie spodziewałam. Matka, która mówiła, że nie była kochająca, uśmiechnięta czy radosna, była czymś bardzo zaskakującym.

– Co? – zapytałam.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Gdyby nie babcia Zuza, nie wiem, co by było z tobą, nie wiem, co by było ze mną, z nami.

– Co wy tu wyprawiacie? – zapytał ojciec, który niespodziewanie pojawił się w korytarzu.

– Nic! – fuknęła matka.

– Małgorzato!

– Robercie, wracaj do swoich spraw, bardzo proszę! – rzekła dobitnie.

Pierwszy raz w życiu zobaczyłam ojca, który poddał się nakazowi mojej matki, bez mrugnięcia okiem, bez zająknięcia, bez najdrobniejszego komentarza. Po prostu odwrócił się i podreptał do salonu. Matka spojrzała mi głęboko w oczy, westchnęła i przytuliła się do mnie.

– Jesteś dla mnie najważniejsza – wyszeptała. – Do końca życia będę dziękowała za moment, w którym zaczęłam być tego świadoma... Tak ślicznie wyglądałaś tego dnia, miałaś dwie kiteczki, różową sukienkę od cici Eli, a w uszach nowiusieńkie kolczyki.

– Ósme urodziny? – zapytałam nieśmiało.

– Tak. Ostatnie chwile babci Zuzy. I ostatnia awantura, jaką wywołała. Zmusiła mnie wtedy, żebym się pozbierała, żebym w końcu zobaczyła, jakim skarbem jesteś. Cały czas mówiła mi, że umiera, że jej dni są policzone, że nie doczeka świtu... Pamiętam, jak na nią patrzyłam z niedowierzaniem, ale pamiętam też, że tamtego wieczora coś we mnie pękło. Położyłam się spać razem z tobą i do późnych godzin gładziłam twoje włosy... Babcia Zuza nigdy się nie myliła. Tej magicznej nocy ona przeszła na tamtą stronę, a ja z tamtej strony wróciłam.

– Mamo... – szepnęłam.

– Pilnuj się. Tylko tyle – powiedziała i jak gdyby nigdy nic cmoknęła mnie w policzek. – Chodź coś zjeść. Przygotowałam zapiekana cukinię.

Nie znosiłam tych jej zmian nastroju. Nie miałam pojęcia, jak się wtedy powinnam zachować.

– Zaraz będę – odparłam, jeszcze nieco skołowana.

Poszłam do pokoju się przebrać, rozmyślając o tym, co przed chwilą wyznała matka. Wiedziałam, że miała problemy sama ze sobą, wiedziałam, że długo leczyła się na depresję, ale nigdy jakoś nie docierało do mnie, że moja zażyłość z babcią Zuzą spowodowana była brakiem prawdziwych uczuć ze strony mojej matki. Boże... Przez dłuższą chwilę siedziałam jak osłupiała, próbując wyrwać się z dziwnego stanu. Tęskniłam za babcią Zuzą. Pamiętałam ją jako osobę o ciepłym usposobieniu i energii, która wręcz ją rozpierała. I gdyby nie choroba, która ją trawiła, pewnie nadal biegałaby skoro świt po parku. I na pewno polubiłaby Maksa! O tym byłam przekonana.

Nagle zaczęła wibrować moja komórka.

– Pewnie Zośkę zżera ciekawość – powiedziałam do siebie.

Kiedy jednak zobaczyłam, że to wiadomość nie od mojej przyjaciółki, ale od Maksa, serce podskoczyło mi do gardła.



To był cudowny, wspaniały, jedyny w swoim rodzaju popołudnio-wieczór. Dziękuję, Kasiu. Maks.

„Co ja takiego dobrego zrobiłam dla tego świata, że pozwolił mi spotkać takiego faceta?” – pomyślałam. Szybko odpisałam:



Maks, mam nadzieję, że jutro cię zobaczę i znowu będzie tak jak dzisiaj i nie okaże się, że to wszystko, co staram sobie teraz poukładać w głowie, nie było tylko jakimś marzeniem sennym. Kasia.



Kasiu droga, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, abyśmy spędzili niedzielę razem, ale właśnie dowiedziałem się, że dziś w nocy wylatuję z ojcem do Rzymu i wracam w poniedziałek przed sesją. Napiszę, gdy tylko będę mógł. Maks.



Rozumiem. W takim razie do poniedziałku. Kasia.



Tylko nigdzie nie uciekaj! Maks.



No nie wiem...



Chcesz, żebym błagał?



Može...



Blagam...



Zgoda:)



Cieszę się. Już cię nie zadręczam. Do poniedziałku, Kasiu.

„Nie zadręczasz mnie!” – pomyślałam, marząc, aby to jeszcze trwało.



Miłej nocy, Maks.

Gdy odłożyłam telefon, poczułam mrowienie w żołądku i zdałam sobie sprawę, że nie chodziło tu o głód, ale po raz kolejny o te słynne motyle, o których nasłuchiwałam się ostatnio. Uśmiechnęłam się do siebie i położyłam się na łóżku, szczęśliwa jak nigdy dotąd.

– Kasieńko! – usłyszałam i przypomniałam sobie, że matka czekała na mnie z kolacją.

28. Blisko, coraz bliżej

W poniedziałek, po pełnej nieoczekiwanych wrażeń sobocie i spędzonej bez Maksa niedzieli, czułam się totalnie skołowana. Raczej trudno było mi się skupić na jakiegokolwiek lekcji, tym bardziej że Zocha co chwilę mnie zagadywała. Cały czas przewijał się w moich myślach i słowach temat Maksa i nic nie było w stanie tego zmienić. Nie reagowałam nawet na wstrętne wytyki „plastikowych”, które w tym dniu wyjątkowo żarliwie szukały zaczepki.

– Palnij im coś, bo ja to zrobię – powiedziała w końcu Zocha, nie wytrzymując kolejnych inwektyw, jakimi obrzucała mnie „Chuda Anka”.

– Nie zwracaj na nie uwagi. To durne małpy są – odparłam, zaskakując Zośkę swoim opanowaniem.

Kiedy dostałam jednak od niepisanej liderki klasowych małpisonów infantylny liścik: „Kaśka i locha – obydwie tłuszcz kocha”, nie wytrzymałam i odpisałam jej: „A więc jesteśmy w jednej drużynie, kochana, bo o ile mi wiadomo, «locha» to twój pseudonim, przynajmniej w grupie „Lopeza”. I nie chcę się powtarzać, ale wyjdzie ci na zdrowie, jeśli zmienisz obiekt swoich drwin”. Gdy czytała mój liścik, wyraźnie pobladła. Nie stroiła już tych prześmiewczych min, które jeszcze przed momentem nie schodziły jej z twarzy. Uwierzyła moim słowom, idiotka! Była po prostu za głupia, żeby wpaść na to, że ją wrabiam, bo o spytaniu „Lopeza”, czy napisałam prawdę, nie mogło być, oczywiście, mowy.

Po tym incydencie „plastikowe” na chwilę odczepiły się ode mnie, przerzucając swoje parszywe macki na Bogu ducha winną Michalinę, która szokowała swoją chudością i nosiła szkła korekcyjne grube jak denka od słoików, co było dla nich wystarczającym powodem, aby stać się obiektem do szykanowania.

Po lekcjach poleciałyśmy z Zochą do biblioteki, aby przygotować materiały do prezentacji dotyczącej dokonań polskich himalaistów. Jako

zagorzałe zwolenniczki promowania kobiecych osiągnięć, bez dyskusji zdecydowałyśmy się na historię Wandy Rutkiewicz.

– Nie dam rady się skupić – powiedziałam w końcu, gdy już dłuższą chwilę próbowałam streścić jeden z rozdziałów „Uciec jak najwyżej”, traktujący o tragicznej wyprawie na Kangczendzongę. – Nie dziś. Błagam... – Posłałam do Zochy proszące spojrzenie.

– Dobra. Masz szczęście, że cię uwielbiam, zołzo. Sama to przygotuję wieczorem.

– Kocham cię!

Zdałam sobie jednocześnie sprawę, że wyszeptanie tych słów do Maksa nie chciało mi w ogóle przejść przez gardło. Powiedzieć do długowłosego chudzielca „Kocham cię” – proszę bardzo, ale do faceta, o którym nie mogłam przestać myśleć, na którego patrzyłam jak na dar niebios – nie da rady.

– Idziemy?

– Aha – odparłam. – Do Eko Baru, na sałatkę. Muszę coś zjeść, żeby nie padła od nadmiaru emocji.

Zocha zaczęła się śmiać.

– Będzie dobrze, przestań.

– Wiem, że będzie, ale i tak mam stracha.

* * *

Zośka odprowadziła mnie pod Vinci Tower. Panował tam dziś spory ruch. Pełno było obcokrajowców, którzy przemieszczali się, głośno dyskutując na tematy związane z konferencją międzynarodową, której baner rozstawiony był przed wejściem.

– Chcę luknąć na Leonarda – zakomunikowała moja przyjaciółka, gdy stanęłyśmy przed obrotowymi drzwiami.

– Spodobał ci się?

– A czy taki wymuskany gość może się babkom nie spodobać?

– Facetom też może się podobać – odparłam automatycznie.

– Cholera, o tym nie pomyślałam! On przecież może być gejem! Jest słodki jak cukierek.

– Lenny mi mówił, że jest gejem, ale nie wiem, czy to pewne.

– Nie żeby miał coś przeciwko gejom, ale szkoda byłoby

marnować taki odjazdowy materiał genetyczny. – Zaśmiała się.

– Właśnie idzie ten twój „reproduktor” – szepnęłam.

Dzisiejszy ubiór Leonarda Lwa nie budził, oczywiście, najmniejszych zastrzeżeń: nieskazitelny biały garnitur, wykończony błękitną lamówką, koszula jak spod igły, biało-błękitne dodatki i białe mokasyny ze srebrnymi klamerkami. Na nienagannej fryzurce pojawiło się kilka jaśniejszych refleksów, które sprawiły, że recepcjonista wyglądał jak wschodząca gwiazda Hollywood.

– Witam! – powiedział niezwykle uprzejmie.

– Dzień dobry – odparłam, szturchając zastygłą Zośkę w bok.

Uśmiechnęła się do niego głupio.

– Do Szkoły Latania – dodałam.

– Pamiętam. Koleżanka wyda pani identyfikator. Proszę przejść do kontuaru. – Wskazał doskonale mi znaną kolistą ladę.

– Jasne.

Kiedy po chwili miałam już w dłoni plakietkę z napisem „Vinci Tower. Najlepszy widok na biznes”, skierowałam się w stronę wind.

– To do jutra, mała – powiedziałam do Zochy, która jednak wcale na mnie nie patrzyła.

Nie patrzyła też na Leonarda, który w tej chwili prowadził do kontuaru jakiegoś skośnookiego mężczyznę w rogowych okularach. Gdy dojrzałam, co tak bardzo przykuło jej uwagę, zdębiałam. W tym samym pomieszczeniu dla gości, co ostatnio, na białej skórzanej kanapie, siedział Maks i trzymając za dłoń Karolinę, o czymś z nią rozmawiał.

– Co on, do cholery, robi?! – warknęłam i odważnym krokiem ruszyłam w ich stronę.

Zośka podreptała za mną, nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku.

Karolina nie wyglądała tego dnia aż tak niechlujnie jak ostatnio, jednak bez makijażu, czadowych ciuchów i seksownych kozaków spokojnie można ją było zaliczyć co najwyżej do grupy średniaków.

Kiedy stanęłam obok nich, Maks zaniemówił, puścił dłoń Karoliny i wstał.

– Kasiu... – zaczął, ale nie pozwoliłam mu dokończyć.

– To jest jakieś chore! Zdecyduj się!

– On już się zdecydował! – usłyszałam od Karoliny.

Na jej twarzy pojawił się wredny uśmieszek. Maks popatrzył na nią w osłupieniu. Wyglądał, jakby się czegoś wystraszył.

– Przestań! Rozmawialiśmy o tym! – powiedział cierpko.

– O czym niby rozmawialiście? – palnęłam z przekąsem. – Może o tym, że powiedziałaś, że mnie kochasz, i o tym, że się całowaliśmy? I może o tym, że jestem dziewczyną, z którą chcesz być, że jestem dla ciebie ważna?

Maks zbliżył się do mnie i spojrzał mi prosto w oczy. Chciał złapać mnie za rękę, ale nie pozwoliłam mu na to.

– Dokładnie o tym rozmawialiśmy – odrzekł spokojnie.

– Mówiłem Karolinie, że kocham ciebie i że się całowaliśmy. O tym, że jesteś dla mnie ważna, bardzo ważna, też jej powiedziałem.

– Co? – stęknęłam.

– O wszystkim jej powiedziałem.

– To dlaczego tu jesteś? Z nią?

– Bo mnie kocha bardziej, ty...! – warknęła Karolina.

– Przestań! – Maks przerwał jej stanowczo.

– Ale przecież to prawda! Nie możesz kochać bardziej jakiejś...

– Obrzuciła mnie nienawistnym spojrzeniem. – ...kogoś, kogo poznałeś miesiąc czy dwa miesiące temu. Nie znasz jej! To mnie przecież znasz! Mnie!

Ostatnie słowa niemal wykrzyczała, sprawiając, że znajdujący się w pobliżu ludzie zwrócili się w naszą stronę. Nawet Zocha była w lekkim szoku. Moja przyjaciółka, mieszkając w takiej, a nie innej dzielnicy, była świadkiem wielu awantur, pyskówek i kłótni, ale tego typu najwyraźniej jeszcze w swoim życiu nie zaliczyła.

Maks przeczekał kilka sekund, po czym pomimo moich protestów złapał mnie za rękę.

– Nie raz ci powtarzałem, że jesteś dla mnie ważna i nic ani nikt tego nie zmieni. – Zwrócił się do Karoliny, a ja poczułam ukłucie zazdrości. – Prawdą jest to, że ciebie znam, a Kasię dopiero poznaję.

– Kłucie w piersi stało się jeszcze bardziej bolesne. – Ale prawdą też jest, że nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo jak ją. – Pocałował moją dłoń, a ja znowu zadrżałam.

– Nie, nie, nie! – Karolina zaprotestowała piskliwym głosem.

Wystraszyłam się nie na żarty. Maks najwyraźniej także, bo natychmiast podszedł do wyglądającej demonicznie blondyny. Głośno dyszała, jakby dopiero co skończyła trening siłowy. Maks złapał ją za rękę, szepcząc coś do niej.

– Czy coś się stało? – zapytał Leonard Lew, pojawiając się z nienacka. – O, pan Maksymilian. Pomóc w czymś?

– Nie – odparł. – A w zasadzie tak. Potrzebuję taksówki.

– Na naszym postojku stoją dwie – odparł. – Wezwać kogoś?

– Nie, sam sobie poradzę.

Leonard kiwnął głową i oddalił się o kilka kroków, mając nas jednak cały czas na oku.

– Proszę, poczekaj przy windach – wyszeptał Maks do mnie.

– Zaraz przyjdę.

Kiwnęłam głową, bo byłam zbyt zszokowana, aby cokolwiek z siebie wydusić. Odprowadziłam wzrokiem Maks, kroczącego do wyjścia z wtuloną w niego Karoliną.

– Co za szurnięta małpa! – powiedziała Zośka, gdy Maks zniknął nam z pola widzenia. – Ona jest nienormalna!

– I przerażająca!

– Mało powiedziane...

– W co ja się wpakowałam...? – stęknęłam, zdając sobie sprawę, że znalazłam się w niełasce nieobliczalnej i chyba niezrównoważonej emocjonalnie Karoliny, niechcącej za nic w świecie pozwolić odejść facetowi, który akurat zawładnął moim sercem.

– Kaśka, to jest najbardziej zajebisty facet, jakiego w życiu widziałam! Wcale się nie dziwię, że ona nie chce go wypuścić.

– Co?

– Jako to co? On jest niesamowity! Przecież przed chwilą powiedział, że cię kocha! I powiedział to prosto w twarz tej blondynie! Widziałaś, jak się wściekła?!

– Trudno było nie widzieć! Ona jest straszna!

– Nie pękaj! Z „plastikowymi” sobie poradziłaś.

– Nie porównuj pustych licealistek z wyrachowaną Karoliną!

– A ty po prostu o niej nie myśl. Skup się na Maksie! – westchnęła.

– Jak ja bym chciała spotkać takiego faceta!

Znalazłyśmy się przy windach, przy których rozpoznałam kilka osób, zmierzających do Szkoły Latania. Stanęłyśmy obok nich i przez krótką chwilę na siebie patrzyłyśmy.

– Hej! – Usłyszałam za sobą znajomy męski głos.

Odwrociłam się i spojrzałam w błękitne oczy. Zośka, widząc Maksa, natychmiast machnęła na pożegnanie w moją stronę i skierowała się do wyjścia.

– Przepraszam... – powiedział i delikatnie dotknął mojego ramienia. – Nie chciałem tego.

Nadjechała jedna z wind, do której weszły dwie szczupłe brunetki, ubrane w klasyczne mini. Choć dziewczyny obdarzyły Maksa prowokującym spojrzeniem, on cały czas wpatrywał się we mnie, delikatnie dotykając mojej dłoni.

– Chodź! – zaordynował, kiedy zjechała winda numer sześć.

Za nami zmierzały jeszcze dwie kobiety.

– Przepraszam, ale chcemy być sami – oznajmił, wprawiając je w osłupienie. Mnie zresztą też.

Gdy winda ruszyła na dwudzieste drugie piętro, Maks wcisnął guzik STOP. Poczułam, że zaschło mi w gardle. Już raz zrobił coś takiego i wtedy... Wtedy zrozumiałam, co to znaczy, kiedy jest się tak blisko mężczyzny. Podszedł do mnie i zagłębiwszy dłonie w moich rozpuszczonych włosach, zaciągnął się ich zapachem, a potem musnął ustami moje ucho, sprawiając, że zadrżałam.

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. – Pocałował mnie w czoło.
– Naprawdę nie chciałem. – Pocałował mnie w brodę. – Nie wiedziałem, że tak będzie. Wszystko naprawię. – Pocałował moją dolną wargę, a po chwili łąpczywie zaczął obcałowywać moje włosy, policzki, oczy i usta.

Jego dotyk sprawiał, że cała drżałam, nie mogąc się opanować przed emocjami, które wyrażało moje oszalałe ciało. Było mi tak gorąco, że myślałam, iż wybuchnę. W pewnym momencie Maks oderwał się od moich ust i zrzucając ze mnie szal, namiętnie zaczął obcałowywać moją szyję. Miałam wrażenie, że za chwilę zwariuję. Zupełnie nie wiedziałam, co się ze mną działo, nie rozumiałam tych przedziwnych eksplozji, które w tamtej chwili mną targały.

– Maks... – szepnęłam.
– Przepraszam – powiedział, natychmiast odsuwając się ode mnie na krok.
– Nie, nie, nie! – motałam się. – Nic się nie stało – dodałam, złościąc się sama na siebie, że zepsułam ten niesamowity moment.
– Nie mogłem się opanować...
– Naprawdę nic się nie stało – wyszeptałam, choć zgodnie z prawdą powinnam powiedzieć: „Nie przerywaj, błagam!”
– Wczoraj, kiedy nie widziałem cię... To był straszny dzień. Przez cały czas o tobie myślałem, a dziś, gdy już byłeś tak blisko, nie mogłem się pohamować... – dodał i łapiąc moją twarz w obie dłonie, znowu mnie namiętnie pocałował.

Nie przestawałam drżeć i poddawałam się temu, co robił, łaknąc więcej i więcej. Nie wiem, jak długo trwalismy w tym pełnym namiętności splocie, bo zupełnie nieoczekiwanie odpłynęłam, tracąc kontrolę w momencie, gdy doświadczałam najwspanialszych emocji w swoim życiu.

– Kasiu, hej! Nie strasz mnie. – Słyszałam nad sobą Maksa, który ciepłym, ale lekko spanikowanym głosem przywoływał mnie do siebie.

* * *

Otworzyłam oczy. Nadal znajdowałam się w windzie, mając nad głową twarz okoloną czarnymi, falującymi włosami.

– Nieładnie tak się zachowywać.
– Na długo odjechałam?
– Na kilka sekund.
– Czasami mi się to zdarza, jak zapominam o oddechu.
– Mogłaś mnie uprzedzić – zażartował.
– Jasne – odparłam, podnosząc się. – Gdybym tylko wiedziała...
– Nic ci nie jest?
– Nie.

Drzwi windy otworzyły się. Szybko poprawiłam swoje roztrzepane włosy.

– Jak wyglądam? – zapytałam.
– Jak zawsze – odparł, lekko się uśmiechając.

– Nie nabijaj się!

Maks zrobił poważną minę i przesadnie gestykulując, zaprosił mnie do środka.

* * *

– Pracujecie po piętnaście minut w każdą stronę. Dopytujecie do skutku. W razie czego będę na sali – powiedziała Penelopa, gdy podzieliła nas już w pary.

– Fajne ćwiczenie – zagadnęłam Michała, który był ze mną w parze.

– No – odparł.

Zadanie pod nazwą „Gdybyś był na łożu śmierci, co chciałbyś o sobie móc powiedzieć” wydawało mi się wręcz genialne. Tyle że za partnera zdecydowanie wolałabym Maksa, a nie niezbyt rozgadanego i mało interesującego Michała. Ile fascynujących rzeczy mogłabym dowiedzieć się o facecie, który przed chwilą doprowadził mnie do omdlenia...?

„Ciekawe, co Maks by powiedział...?” – pomyślałam, patrząc zazdrośnie na czarnowłosego mężczyznę, który nad wyraz swobodnie rozmawiał z moją imienniczką.

– Może ty zacznij – powiedział Michał, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Ja? – Ocknęłam się. – Jasne – odparłam, powracając wzrokiem do Michała, który, wyraźnie ucieszony moją zgodą, westchnął z ulgą.

Choć na początku nie było mi łatwo skoncentrować się na rozmowie, z każdą chwilą stawało się to prostsze. Małomówny Michał okazał się bowiem całkiem sympatycznym towarzyszem. Pod koniec sesji zauważyłam nawet, że przestałam odruchowo szukać Maksa, tylko oddałam się słuchaniu Michała – przyszłego architekta, rozprawiającego o tym, jak na łożu śmierci zamierza szczyścić się nie zaprojektowaniem najwyższego budynku świata czy najdłuższego mostu, ale posiadaniem wspaniałej, kochającej się rodziny. Ujął mnie tym tak bardzo, że pomimo zakończenia sesji ciągnęliśmy dalej naszą rozmowę.

– Może pójdziemy na kawę? – zaproponował, kiedy wyszliśmy już z sali.

- Kawę? – zapytałam, jakbym nie rozumiała, o co mu chodziło.
- Albo herbatę. Nie wiem, co wolisz.

Słowa Michała nie zdążyły do mnie dotrzeć, kiedy tuż przy nas pojawił się Maks.

– To co? Idziemy? – Maks zapytał mnie niby bez troski, ale jego wyraz twarzy zdradzał napięcie.

Przyjrzałam mu się z ciekawością i niedowierzaniem jednocześnie, dostrzegając w jego zachowaniu zazdrość. Moje ciało przebiegł dreszcz ekscytacji.

– A... tak. Idziemy. Dziś nie mogę, Michał. Następnym razem – dodałam.

Oddaliliśmy się w ciszy, dając się wyprzedzić innym.

– Nie będzie następnego razu – powiedział Maks szeptem, pół żartem, pół serio.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

– Przestań!

– To ty przestań!

– A czy ja cokolwiek zrobiłam?

– Dajesz nadzieję innym.

– Nadzieję na co?

– Na spotkanie.

– A coś mi broni tego?

– Jasne, że tak!

– Jesteś zazdrosny – parsknęłam.

– Jestem – szepnął.

Spojrzałam na niego, nic nie odpowiadając.

– Masz czas? – zapytał.

– Tak. – Pokiwałam głową, czując wiwatujące serce.

– Herbata?

– Aha.

Gdy znaleźliśmy się przy wejściu do windy, doszła do nas Penelopa.

– Maks, chciałabym, abyś poprowadził sesję w piątek. Muszę wyjechać. Pasuje ci?

– Ten piątek?

– No przecież nie za miesiąc – rzekła sarkastycznie. – Ten piątek.
– Nie ma sprawy – odpowiedział, choć w jego głosie nie wyczuwałam zbytniego entuzjazmu.
– Co tam u Tomaso? – zagadnęła, a ja spojrzałam z zaciekawieniem na Maksa, nie mając pojęcia, o kim mowa.
– W porządku – bąknął, rozczarowując mnie zdawkową odpowiedzią.
– Pozdrów go ode mnie!
– Dzięki, pozdrowię tatę.
„Czyli jego ojciec ma na imię Tomaso... No tak, włoska rodzina... To wszystko tłumaczy”.
– Aha... – Zwróciła się do mnie, gdy winda otwierała się na poziomie zero. – Czy możemy przełożyć naszą solówkę na jutro?
– Nie ma problemu – odparłam.
– Jacy wy zgodni jesteście! – podsumowała i z uśmiechem na twarzy odeszła, zarzucając poły kremowego płaszczyka, opasanego chabrową wstążką.

29. On nie jest dla ciebie, gówniaro!

Indywidualne sesje zwyczajowo zaczynałyśmy analizami moich zapisów w planerze oraz dokładnymi pomiarami.

– No, skrupulatnie prowadzisz notatki. Muszę przyznać, że jestem zadowolona. Co się zaś tyczy twoich pomiarów, tu sytuacja wygląda przerażająco.

Wydawało mi się, że było dobrze, bo chudłam z tygodnia na tydzień. Trochę wolniej niż na początku, ale jednak chudłam.

– Naprawdę? – zapytałam.

– Naprawdę. Twoje wymiary są... przerażająco dobre, za dobre – dodała i roześmiała się.

– Jak dostanę zawału, będziesz mnie miała na sumieniu.

– Trochę za szybko chudniesz. W ciągu ostatnich dwóch tygodni sześć kilo. Hmm... – Przejrzała dokładnie moją kartę. – Za szybko. Czy coś specjalnego się ostatnio wydarzyło?

– Chyba nie – skłamałam, choć w myślach wirowała mi jedna odpowiedź: „Maks, Maks, Maks!”.

Tyle razy słyszałam, że jak się jest zakochanym, to się chudnie. Jednak dopiero po osobistym doświadczeniu miłości mogłam przekonać się o prawdziwości tych słów i poczuć, że coś, a raczej ktoś, może zajmować więcej czasu niż jedzenie. I ten ktoś może sprawić, że chce się ucziwiej ćwiczyć, że nie chce się jeść i spać, że chce się myśleć tylko o nim...

– Nie ćwiczyłaś więcej? – Pokręciłam głową. – Nie jadłaś mniej?

– Może troszkę – stwierdziłam. – To przez myślenie o maturze.

Trochę się stresuję.

– No tak, rozumiem. Ale na pewno nie brałaś żadnych przyspieszaczy?

– Wiesz, że nie – odparłam, a Penelopa mruknęła.

– No, to znaczy, że twój organizm przyspieszył i mamy dziś niewiarygodne osiągnięcie: siedemdziesiąt dziewięć kilo.

– Ile? – Wytrzeszczyłam na nią oczy, będąc szczerze zaskoczona liczbą, która zaczynała się siódmką.

– Siedemdziesiąt dziewięć! Trudno uwierzyć, co?

– Przecież to aż niemożliwe! To ponad... – zaczęłam liczyć w myślach.

– Według moich pomiarów równo dwadzieścia pięć kilo mniej! To naprawdę imponujący wynik! Zjawiałaś się przecież jakieś trzy miesiące temu, więc jest czego gratulować. – Penelopa uścisnęła mnie serdecznie. – Lepiej się czujesz w swoim nowym ciele?

– O niebo lepiej! – odparłam.

– To mi się podoba. – Podała mi dłoń i potrząsnęła nią bardzo oficjalnie, jakby robiła to na oczach ogromnej widowni. – Tylko nie przestawaj.

– Nie zamierzam – powiedziałam, myśląc jednocześnie o tym, że w tej chwili miałam tak dużą motywację do schudnięcia, że o zaniechaniu diety, ćwiczeń, a już na pewno sesji nie było mowy.

„Sesje... Właśnie... – kotłowało mi się w głowie. – Jak mamy się na nich zachowywać...? Co robić...? Penelopa musi się w końcu dowiedzieć...”

– Czy ja ci nie przeszkadzam? – zapytała lekarka, a ja natychmiast zwróciłam się w jej stronę.

– Nie, sorry, zamyśliłam się.

– No, widzę. – Spojrzała na mnie podejrzliwie. – Coś jednak ukrywasz. Czuję to od kilku sesji.

– Nie... – odparłam cichutko.

– Wiesz, że ci ufam. Skoro mówisz, że nic nie ukrywasz, to na pewno tak jest – podsumowała przekornie.

Sposób, w jaki to powiedziała, dawał jasno do zrozumienia, że mi nie wierzyła. Nie potrafiłam jednak wyjawić jej prawdy, nie mogłam, choć przecież nie była ona trudna czy druzgocąca, nikogo nie raniła ani nie ośmieszała. Tak naprawdę była czymś cudownym, najcudowniejszym, co mi się przytrafiło i chociażby dlatego powinnam się nią dzielić z innymi, a z moją wybawicielką w szczególności. Wiedziałam jednak, że nie mogłam nikomu o tym mówić, dopóki Maks się na to nie zgodzi.

„Terapeutom nie wolno utrzymywać kontaktów prywatnych z członkami grup” – pojawiły się w mojej głowie słowa Maksa.

– Jest jedna rzecz – wydukałam. – Ale nie mogę ci na razie o tym powiedzieć.

– Rozumiem – odparła Penelopa z satysfakcją w głosie, wyraźnie okazując zadowolenie, iż kolejny raz przeczucia jej nie myliły.

– Ale...

– Powiesz mi, kiedy będziesz mogła.

– Jasne – obiecałam, głośno wypuszczając powietrze.

Penelopa znowu uśmiechnęła się i zagała rozmowę dotyczącą mojej diety, a raczej zaleceń do menu, jakie przygotowała mi dietetyczka na kolejne dwa tygodnie.

Sesja skończyła się szybciej niż zwykle, ale i tak trwała prawie

godzinę. Najlepsza pod słońcem terapeutka anonimowych grubasów wymęczyła mnie tego dnia dyskusją nad wpływem sytuacji stresowych na nieuzasadnione modyfikacje w żywieniu. Jak dla mnie był to nadzwyczaj trafiony temat, bo od zawsze zajadałam stres, i to najczęściej słodyczami.

W czasie sesji Penelopa dbała o to, abym nie uciekała myślami do moich spraw, do spraw związanych z Makssem, ale po opuszczeniu progów Kliniki przy Leśnej 13 bujałam już w obłokach i z napięciem czekałam, aż zbawienny sygnał nadchodzącego SMS-a o treści: „Jestem” sprawi, że serce przyspieszy rytm.

Wyjęłam komórkę i dokładnie sprawdziłam, czy działała. Chciałam mieć stuprocentową pewność. Na wszelki wypadek, gdyby się zawiesiła, zresetowałam ją i na nowo włączyłam, czym uspokoiłam samą siebie. Zadowolona, schowałam ją do kieszeni i oparłam się o filar przy wejściu do kliniki. Czekałam, aż pojawi się Maks. Szybciej skończyłam sesję, dlatego wiedziałam, że mam jeszcze kilka minut na zatopienie się w swoich myślach. Nie zdążyłam jednak tego zrobić, gdyż naprzeciw mnie stanęła... Karolina.

– Niech pan poczeka – rzuciła do taksówkarza, który ją tu przywiózł.

Wyglądała znacznie gorzej niż ostatnio. Oczy miała podkrążone, włosy rozczochrane, a twarz obsypaną dziwnymi plamami. Ubrana niechlujnie, w kurtkę moro, przydługie bojówki i buty sportowe, bardziej przypominała dziewczynę z śródmiejskiej meliny niż zadbaną i elegancką kokietkę, jaką jeszcze do niedawna była.

Zbliżyła się do mnie. Przygryzłam wargi, zastanawiając się, po co ona tu w ogóle przyszła i skąd wiedziała, gdzie mnie szukać. Poczulałam alkohol i odsunęłam się. Zmierzyła mnie pogardliwym wzrokiem. Była wyższa ode mnie o dobrych dziesięć centymetrów i szczuplejsza niemal o połowę. Podeszła bardzo blisko, na krok.

– Odpierdol się od niego, zrozumiałaś?! – rozkazała, a mnie dosłownie zamurowało. – On nie jest dla ciebie, gówniaro!

– Tego... tego nie wiesz – odpowiedziałam niepewnie.

– A co? Ty niby myślisz, że z taką tłustą dupą mu się spodobałaś?!

– Czułam, że robi mi się słabo. – Że mu czymś zaimponowałaś?!

– Może.

– Nie bądź śmieszna! Wypieprzaj z naszego życia, bo pożałujesz! – warknęła. – Nie oddam ci go!

– Zostaw ją! – Usłyszałam za sobą głos Maksa, pozbawiony ciepła, a przepełniony goryczą i złością.

– To ty ją zostaw! Przecież ona jest nikim! Ona cię nie zna tak jak ja. Ona jest nikim! Rozumiesz, nikim!

– Przestań!

– Nie pozwolę ci odejść! – krzyknęła łamiącym się głosem.

– Nigdy!

Maks podszedł do niej, złapał ją za łokieć i powiedział na ucho coś, co najwyraźniej ją usatysfakcjonowało. Blondyna przeszła kilka kroków, po czym odwróciła się w stronę Maksa.

– Ona nigdy nie pokocha cię tak jak ja! Ona nie poświęciłaby się dla ciebie tak jak ja, słyszysz?!

– Odejdź, proszę cię. Wróc do taksówki – powiedział chłodno, a następnie podszedł, odgarnął moje włosy i pocałował mnie w koniuszek ucha. Pomimo wielkiego zdenerwowania na ułamek sekundy przymknęłam oczy i zadrzałam.

Myślałam, że Karolina wyciągnie z kieszeni coś ostrego, jakiś nóż, śrubokręt czy nożyczki i rzuci się z tym na mnie, gdyż wyraz jej twarzy sugerował najgorsze zamiary. Wykonała jednak nerwowy obrót i oddaliła się, ale nie wyglądała na taką, która łatwo się podda.

– Przepraszam – szepnął Maks i jeszcze raz cmoknął mnie w ucho.

– A tak w ogóle to dzień dobry. – Uśmiechnął się.

– Cześć – odparłam, nieco oschle, czując się jeszcze skołowana sytuacją sprzed chwili.

– Pięknie wyglądasz – rzekł, ale jego komplement jakby wcale do mnie nie dotarł.

– Co jej powiedziałaś na ucho? – wystrzełam.

Maks spojrzał na mnie przenikliwie.

– Że do niej przyjadę.

Poczułam, jak narasta we mnie złość.

– Przecież nie chcesz z nią być. – Siliłam się na spokojny ton, choć czułam, że zaraz eksploduję.

– Nie chcę z nią być, ale muszę z nią porozmawiać.
– Musisz? – zapytałam, nie mogąc pojąć, po co chciał się spotkać z dziewczyną, która ciskała we mnie piorunami.
– Inaczej nie da mi spokoju. Nie da NAM spokoju.
– A myślisz, że po takiej rozmowie coś się zmieni?
– Mam nadzieję.
– Masz nadzieję?
– Kasiu, proszę, zaufaj mi. Karolina jest strasznie uparta. Nigdy nie dawała za wygraną. Jestem pewny, że tak łatwo nie odpuści. Ale...
– Ale co?
– Ale ja też nie odpuzczę. Nie mogę cię stracić. Nie chcę...
Trudno było mi przyjąć jego tłumaczenie, szczególnie po tym, co przed momentem usłyszałam z ust Karoliny.
„Nie mogę cię stracić” – odbiło się w moich myślach echem, ale po chwili zupełnie wyraźnie dotarło do mnie coś innego.
– Ona cię kocha.
– Na swój sposób.
– Kocha cię i jest zaborcza.
– To prawda, nawet bardzo. I ma wiele innych cech. Jest na przykład opiekuńcza, porywcza, ciepła i zarazem bardzo zdystansowana, ale nie rozmawiajmy o niej, proszę cię. Powiedz, jak ty się czujesz?
– Teraz czy w ogóle? – zapytałam, dając mu do zrozumienia, że emocje związane ze spotkaniem jego były diametralnie zmieniły mój dzisiejszy nastrój.
– Teraz i w ogóle.
– A więc teraz... – Wzięłam głęboki wdech. – ...czuję się nieco zaskoczona i może odrobinę zszokowana, zła, rozbita i zdezorientowana, a w ogóle... w ogóle jestem jakoś... przeraźliwie zaskoczona i skołowana.
– Hmm... Zaskoczona i skołowana?
– Tak.
– Czyli?
Nie bardzo wiedziałam, jak miałam mu wytłumaczyć, że w moim przypadku bycie zaskoczoną i skołowaną oznacza totalne szaleństwo na jego punkcie. W dzień i w nocy, niezależnie od okoliczności

i towarzystwa, w jakim się znajdowałam, nie mogłam uwolnić się od myślenia o nim. Jezu...

– Trudno to wyjaśnić.

– Może spróbuj? – nalegał.

– Wiesz, nie bardzo pojmuję, co się teraz dzieje. Nigdy czegoś takiego nie doznałam i boję się, że zaczyna mi się wszystko mieszać.

Maks objął mnie i pocałował w czubek głowy.

– Nie pozwolę ci się zagubić – wyszeptał.

„Kocham cię” – powiedziałam w myślach, bo nie miałam sił, aby wydusić z siebie te proste słowa.

– A ty? – Spojrzał się na mnie pytająco. – Jak się czujesz?

– Teraz czy w ogóle? – Zaśmiał się.

– Może i jedno, i drugie?

– Cóż... – westchnął – ...niezależnie od tego, co przed chwilą się działo, cały czas czuję się bosko... – Maks cmoknął mnie w dłoń.

– ...dzięki tobie.

W kłiwym spektaklu teatralnym zapewne zemdlałabym, opadając w szerokie ramiona mężczyzny, szepczącego czułe słówka, sprawiające mi przyjemność, o której istnieniu dotychczas nie miałam bladego pojęcia. Jednak w scenerii obskurnego parkingu, pozbawionego nawet jednego małego drzewka, nawet jednej drobnej krzewinki, jedyne, na co było mnie stać, to westchnienie i przygryzienie dolnej wargi.

– Nie wydaje ci się, że to jest zbyt piękne...? – zapytałam po chwili, przerywając cudowną ciszę, w której trwaliśmy, obejmując się.

– Nie – odparł bez chwili namysłu.

– A jak według ciebie można nazwać to, co się z nami dzieje?

Co się wokół nas dzieje?

Maks pogłaskał mnie po policzku i lekko zmrużył oczy. Wyglądał tak... kusząco. Jezu, nigdy nie myślałam o żadnym facecie w taki sposób! Poczułam, jak dreszcz przebiegł po moim ciele. Kiedy on go również poczuł, natychmiast się uśmiechnął.

– No właśnie tak.

Mruknęłam i wtuliłam się w jego ramię. Zwątpienie całkowicie ustąpiło.

– To jest cudownie autentyczne i prawdziwe.

– Nigdy tak się nie czułam.
– Ja też nie – odparł, wprawiając mnie w zakłopotanie.
– Nigdy?
– Nigdy.
– A z Karoliną...?
– To było coś zupełnie innego.
– To znaczy? – drażylałam, choć bałam się, że rozzłoszczę go swoją dociekliwością. On jednak spojrział na mnie z wyrozumiałością.
– Już ci mówiłem, że to bardziej przywiązanie. Nigdy tak naprawdę jej nie kochałem. – Serce z wrażenia podskoczyło mi do gardła. Choć to głupie, chciało mi się wiwatować i krzyzczeć: „Tak, tak, tak!”. – Szanowałem ją, traktowałem po partnersku, ale to nie była prawdziwa miłość...

Nie dałam rady wydusić z siebie ani słowa. Byłam pod tak wielkim wrażeniem tego, co dopiero usłyszałam, że aż zastygłam.

– Nic nie powiesz? – zapytał po chwili obustronnego milczenia.
– A co chciałbyś usłyszeć?
– No nie wiem, może jakieś miłe słówko? – zapytał nieco ironicznie.
– Yyy... – zająknęłam się, myśląc, że oczekuje ode mnie jasnej deklaracji.

– Czyli nie... Hmm. Może jak zaproszę cię na dobrą herbatę z miodem, staniesz się dla mnie słodsza?

– Może... – odparłam, czując wyraźną ulgę.
Zmierzałyśmy do Kawiarni pod Platanami, usytuowanej w ponadstuletniej piwiarni, od lat przyciągającej mieszkańców i turystów do swoich eleganckich wnętrz.

Babcia Zuza zapraszała nas tam w swoje urodziny. Uwielbiała tę kawiarnię. To tam poznała swojego pierwszego męża, Olgierda, który potrafił ponoć przyrządzić najlepszą kawę w mieście.

– Lubię to miejsce – powiedziałam.
– Ja też.
– Bywasz tu?
– Czasami.
– Ja byłam tu ostatni raz ponad dziesięć lat temu.

– Czyli dobrze trafiłem z wyborem. – Uśmiechnął się, wprowadzając mnie przez centralne wejście.

Uderzył mnie słodki zapach cynamonu, miodu i jabłek. Poczułam się błogo.

– Ale zapach – stęknęłam.

– Podoba ci się?

– Tak. Lubię cynamon.

– To dobrze.

Ciemnowłosy kelner, ubrany w elegancki czarny uniform, od razu zwrócił uwagę na Maksa i okazując zadziwiająco duże zainteresowanie, wskazał mu ustronne miejsce w Sali Bukietowej.

– Stolik już czeka.

Dziwnie się poczułam, bo Maks został potraktowany jak jakiś gwiazdor, który zaszczycił swoją osobą lokal o nazwie „Kawiarnia pod Platanami”.

– Stolik już czeka? – powtórzyłam słowa kelnera, gdy ten udał się po menu.

– Doskonałą obsługę tu mają, to prawda.

– Chyba przesadnie doskonałą. – Maks uśmiechnął się, rozbijając mnie tym. – Świetny stolik – powiedziałam, patrząc na widok, który roztaczał się za oknem.

Choć była zima, wąskie alejki parkowe wyglądały uroczo. Okolone szpalerem monstrualnych platanów i oznaczone wątym światłem archaicznych latarni, uderzały tajemniczością.

– Wiedziałem, że ci się spodoba.

– I dlatego mnie tu ściągnąłeś? – powiedziałam żartobliwie.

– Tylko dlatego.

– Sporo się tu zmieniło – westchnęłam, gdy usiedliśmy.

– Ty się zmieniłaś – odparł.

– Kiedy ma się osiem lat, świat wygląda inaczej, masz rację.

– Jest większy – zaśmiał się.

– No tak.

– Czego się napijesz? – zapytał, gdy kelner położył przed nami karty.

– Obojętne.

– Hmm... Podajecie dziś napar z byczych włosów łonowych?
– Co?! – wyrwało mi się.
– No skoro wszystko ci jedno? – Zachichotał szyderczo.
– Ale nie aż tak.
– Wobec tego earl grey z miodem. Może być? – Pokiwałam głową.
– Dwa razy.

– Oczywiście. Coś z karty?
– Kasiu? – zapytał mnie, ale ja potrząsnęłam głową. Wiedziałam, że w jego obecności nie byłabym w stanie niczego przełknąć. Liczyłam na to, że z herbatą, pomimo trzęsących się dłoni, jakoś zdołam sobie poradzić. – Nie dzisiaj. Dziękujemy.

– Bardzo proszę.

Kelner przyjął zamówienie i zwinnym krokiem skierował się do baru. Kiedy po kilku minutach powrócił, z pękatymi dzbankami ze śnieżnobiałej porcelany, Maks właśnie opowiadał o jakiejś dobroczynnej imprezie, którą tu ostatnio organizowała jego matka. Nie mogłam się jednak w ogóle skupić.

– O czym myślisz? – zapytał nagle, gdy zorientował się, że byłam nieobecna.

Zrobiło mi się głupio, ale postanowiłam wydusić z siebie to, co mnie dręczyło.

– Powiedz, w czym jestem lepsza od Karoliny.

Zamurowało go. Tego na pewno się nie spodziewał.

– Lepsza? Kasiu, proszę...

– Muszę to wiedzieć. To dla mnie bardzo ważne.

– Nie wiem, w czym jesteś lepsza – odparł enigmatycznie.

„I po co pytałaś? A jak powie, że w niczym? A jak potem pomyśli, że w sumie ta superlaska jest o niebo lepsza? Ale jesteś durna!”

– Po prostu jesteś inna.

– Inna? – wymamrotałam, czując, jak tracę grunt pod nogami.

– Niesamowicie inna. Wystarczy, że się uśmiechniesz, a ja już czuję się inaczej. To znaczy... lepiej. – Maks złapał mnie za dłoń.

„Może nie będzie tak źle?”

– A kiedy mówisz, to biją od ciebie tak niesamowite emocje! Mógłbym cię słuchać godzinami. Nic nie mówić, tylko słuchać. I te

twoje oczy...

– Ale nie wyglądam tak jak Karolina – chlapnęłam i od razu przeklełam się w myślach.

– Jezu! Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś wspaniała? – Pocałował mnie w dłoń. – Nie mógłbym wymarzyć sobie piękniejszej od ciebie!

– Przestań! Nie wyglądam tak jak Karolina!

– Całe szczęście.

– Całe szczęście? Przecież ona ma boską figurę, a ja?

– Ty masz swoją figurę, po prostu. Dla mnie jesteś atrakcyjna.

„Ja jestem atrakcyjna?” – pomyślałam, ale w porę opanowałam się przed zadaniem mu tego pytania.

– Kasiu, przypomnij sobie tych wszystkich facetów, co się za tobą oglądają.

– Nie ma takich!

– Nie ma? A Karol?

– Z terapii?

– Tak. Pożera cię wzrokiem na każdej sesji.

– Wydaje ci się...

– Żadne wydaje mi się. A Michał?

– Jaki Michał?

– Pomyśl dobrze.

– Kolejny gość z terapii, tak?

– Tak.

– I on niby też jest we mnie zapatrzony? – Zachichotałam.

– Tak, i na dodatek tylko z tobą rozmawia. Nie zauważyłaś? Masz na niego zbawienny wpływ.

– Przesadzasz.

– Nie przesadzam, jestem dobrym obserwatorem.

– To zwykły zbieg okoliczności. – Udałam, że się złoścę.

– Masz śliczne dołeczki w policzkach, kiedy się denerwujesz.

Chciałam zrobić obrażoną minę, ale niefortunnie zerknęłam na niego, a on po prostu rozbroił mnie swoim spojrzeniem.

– To nie fair – skwitowałam, zagryzając wargę.

– No, tu się wyjątkowo z tobą nie zgodzę. Gram z tobą w całkiem

otwarte karty i nie kłamię.

– Tylko naginasz prawdę.

– Niczego nie naginam. Dlaczego ty mi w ogóle nie wierzysz?

– Bo to, co mówisz, jest trochę irracjonalne.

– Tak? A ten spod teatru?

– Nawet o nim nie wspominaj! To było coś innego – rzuciłam, udając oburzenie.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział zawadiacko. – On i trzech pozostałych próbowało cię poderwać. Nadal uważasz, że nie jesteś atrakcyjna?

Jego dziwne teorie zupełnie mnie nie przekonywały, może trochę bawiły, cieszyły też, bo nikt mnie nigdy tak nie chwalił, ale w sumie trudno mi było przyjąć jego słowa za prawdziwe. Byłam przecież osiemnastolatką na terapii odchudzającej, co samo przez się skazywało mnie na damsko-męski niebyt.

– Coś mi tu nie pasuje. Doliczyłam się trzech niby-podrywaczy, a ty mówisz, że jest jeszcze czwarty. Zdradzisz mi może tożsamość tego tajemniczego gościa?

– Nie domyślisz się sama?

– Raczej nie.

– Hmm... Mam podać rysopis?

– Jeśli nie możesz zrobić tego prościej.

– Jest brunetem, powiedzmy, że wysokim...

– Ma kwadratową głowę i pochodzi z Marsa?

– Kwadratową na sto procent, ale co do Marsa nie byłbym taki pewny.

Maks ujął moją dłoń i patrząc mi prosto w oczy, złożył na niej kilka delikatnych pocałunków. Zrobiło mi się niewyobrażalnie gorąco, a moim ciałem znowu wstrząsnął dreszcz. Byłam wściekła na to, co się ze mną działo, na te nieprzewidywalne dreszcze, zdradzające moje emocje.

– Cudna jesteś, taka... autentyczna. – Nachylił się do mojego ucha i wyszeptał chyba najciszej jak potrafił. – Kocham cię!

Zamknęłam oczy i w myślach odważnie wymówiłam te same słowa. Kiedy ponownie na niego spojrzałam, gardło mi się ścisnęło

i szansa choćby na wydukanie najbardziej romantycznego wyznania zniknęła. Zrobiło mi się głupio, ale po prostu nie byłam w stanie tego powiedzieć i w tym jednym momencie zdałam sobie sprawę, że nigdy nikomu nie wyznawałam miłości, że nigdy nie znajdowałam się w takiej właśnie sytuacji.

Kiedy wychodziliśmy z kawiarni było już grubo po dwudziestej.

– Późno już – powiedziałam.

– Weźmiemy taksówkę, nie martw się.

– Nie jeździsz samochodem? – zapytałam.

Wyczułam, że Maks nagle zeszywniał i pomyślałam, że wstydzi się, że nie ma prawa jazdy.

– Nie – wycedził.

– Nie masz prawka?

– Mam, ale nie jeżdżę – powiedział całkowicie niepasującym do niego głosem, zimnym i zarazem smutnym.

Chciałam zadać kolejne pytanie, ale w porę ugryzłam się w swój dociekliwy język, bo przypomniałam sobie, jak mówił o ciężkim wypadku, który przeżył. Zrobiło mi się głupio.

– Lubię taksówki – stwierdziłam beztrąsko, czując, jak jego ciało się rozluźnia.

– Jakieś preferencje? Marka, kolor?

– No, powiedzmy, że chciałabym przejechać się czerwonym mercedesem.

– Niech będzie.

Maks wyciągnął komórkę i wybrał numer telefonu.

– Na pewno czerwony? – W jego głosie wyczułam niesmak.

– Zdecydowanie czerwony – odparłam przekornie.

– Czy macie dostępnego czerwonego mercedesa? – zapytał, dodzwoniwszy się do jakiejś korporacji taksówkowej. – Nie? No trudno.

– Rozłączył się. – Nie mają – wyjaśnił mi i wybrał kolejny numer.

– Potrzebuję na teraz czerwonego mercedesa. Zielony mnie nie interesuje. Biały? – Spojrzał na mnie, a ja pokręciłam przecząco głową.

– Biały też nie. No nic, dziękuję. – Rozłączył się. – Wymagająca jesteś.

– Wiem – odparłam, ale poczułam się nieswojo, sprawiając mu kłopot. – Po prostu wezwij taksówkę. Obojętne jaką.

– Znajdziemy czerwonego mercedesa, nie martw się. – Wybrał kolejny numer. – Szukam czerwonego mercedesa. Macie? Świetnie. Poproszę do Kawiarni pod Platanami. – Puścił do mnie oko. – Zaraz będzie twój czerwony mercedes. Widzisz? Jeśli czegoś pragniesz, to znajdujesz to. Też bym tak chciał.

– Co byś chciał?

– Dostawać to, o czym marzę.

– A o czym marzysz?

Maks zawahał się.

– O tobie – powiedział, a ja natychmiast zadrżałam. – Błagam, nie rób tego!

Spojrzałam na niego pytająco.

– Zupełnie tracę zdolność racjonalnego myślenia, kiedy wyczuwam te twoje drżenia.

– Przepraszam – wydukałam.

Maks objął mnie i pocałował w skroń, ale ja w jakiś zupełnie niezamierzony sposób skierowałam swoje usta w jego stronę. Nasze oczy się spotkały. Bił z nich ogień. W sumie nie wiedziałam, z których większy, ale byłam pewna, że w tym właśnie momencie pragnęłam poczuć jego ciepłe usta na swoich.

– Jesteś taka cudowna... – wyszeptał i ujął moją twarz w dłonie.

„Tak! Tak! Pocałuj mnie!” – krzyczałam, podekscytowana, czując, jak budził się we mnie śpiący od osiemnastu lat wulkan namiętności. Przymknęłam oczy, czekając na pocałunek pełen pasji lub choćby zmysłowe muśnięcie, kiedy... nadjechała taksówka. „Jasna cholera! – przeklełam. – Że też tego dnia trafił się punktualny taryfiarz! Gdyby poczekał minutkę lub dwie... Ale nie, on przyjechał minutkę czy dwie, ale przed czasem”.

– Jest nasza taksówka – poinformował Maks, odrywając ode mnie swoje ciepłe dłonie. – Czerwony mercedes, zgodnie z życzeniem.

– Super – odpowiedziałam zdawkowo, nadal czując łomotanie serca.

Gdy podjechaliśmy przed dom, nie miałam najmniejszej ochoty na rozstanie.

– Wejdiesz? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nie powinienem. Dla twoich rodziców pewnie jest za późno.
– Ale dla mnie nie jest.
– Naprawdę nie powinienem. Zobaczymy się jutro?
– Tak – odparłam bez przekonania, spuszcżając głowę.
– Hej! – Uniósł moją brodę. – Nigdzie nie znikam. Jutro znowu się spotkamy.

– Wiem, ale...
– Ja też nie chcę się rozstawać, Kasiu, ale wiesz, że mam jeszcze dzisiaj jedną sprawę do załatwienia.

Zupełnie zapomniałam o tym, że obiecał Karolinie spotkanie. W tej jednej chwili magia wieczoru gdzieś uleciała, dając się zastąpić jakiemuś potężnemu uczuciu, którego nigdy wcześniej nie znałam. To była najprawdziwsza zazdrość.

– Oprócz przeszłości nic mnie z nią nie łączy, pamiętasz?
– Tak...
– Mało przekonujące, ale niech ci będzie.
– Będę tęskniła – wydusiłam z siebie, całkowicie go zaskakując.
– Rety! Wiesz, że pierwszy raz powiedziałaś cokolwiek o swoich uczuciach? Cudna jesteś! – podsumował i wyjął z kieszeni drobne zawiniątko. – To dla ciebie.

– Co to jest?
– Spodoba ci się. Wiesz... – Przerwał, bo w drzwiach frontowych pojawiła się moja matka.

Nie mogłam uwierzyć, że zrobiła to w takim momencie, w takim niesamowitym momencie... Obrzuciłam ją rozgoryczonym spojrzeniem.

– A, to wy! – zagaiła, udając zaskoczenie, choć wiedziałam, że doskonale zdawała sobie sprawę z naszej obecności. – Wejdźcie do środka. Zimno na dworze.

– Dobry wieczór, ja już uciekam – powiedział Maks, okraszając to firmowym uśmiechem, należącym do tych, co doprowadzają starsze panie do palpitacji serca. – Dobranoc pani.

– Dobranoc – odrzekła moja matka.
– Do jutra, Kasiu.
– Do jutra – stęknęłam, odprowadzając go wzrokiem.
Kiedy znalazłam się w domu, usłyszałam sygnał SMS-a.

Spojrzałam na wiadomość:

Już tęsknię!

Szybko wystukałam odpowiedź:



Ja bardziej.

Gdy dotarłam do pokoju, zaczęłam rozpamiętywać wieczór minuta po minucie, próbując przywołać z pamięci każde słowo, każdy szept i gest. Miałam jednak z tym wielki problem, bo moje myśli były potwornie zafiksowane na jednym punkcie, na punkcie Maksa.

„Prezent!” – przypomniałam sobie nagle. Wzięłam do ręki malutkie zawiniątko. Nie miałam pojęcia, co to mogło być. Obstawiałam jakiś bibelocik, bo jego piórkowa waga kazała mi tak właśnie myśleć. Kiedy rozerwałam starannie zapakowaną niespodziankę, moim oczom ukazało się malutkie, krwistoczerwone MP4 z wygrawerowanym

miniaturowym napisem: „Dla Key, aby zawsze była Kasią”. Dosłownie zaparło mi dech w piersiach i, nie wiedząc dlaczego, przytuliłam tę drobinę do serca.

„Zaraz, skoro mi to dał, musiał coś na niej nagrać...” – zaczęłam kombinować i szybko wetknęłam do uszu słuchawki. Głęboko nabrałam powietrza do płuc, gdy dotarły do mnie pierwsze takty muzyki z „Angielskiego pacjenta”, jednak kiedy odkryłam, że następna melodia pochodziła z ukochanego przeze mnie „Marzyciela”, o którym przecież nigdy nie rozmawialiśmy, zaniemówiłam.

– To niemożliwe – wycodziłam.

Dalej odkryłam mnóstwo doskonałych kawałków muzyki filmowej. Był „Gladiator”, „Whalerider”, mój absolutny faworyt ostatnich miesięcy – „Sherlock Holmes”, a nawet „Eragon”.

Czułam się cudownie. To było tak, jakbym słuchała naszej osobistej, jedynej w swoim rodzaju playlisty. W rytmie najbardziej kojącej muzyki, o jakiej mogłam marzyć, rozsiadłam się na fotelu, rozmyślając o tym, jak w ciągu tak krótkiego czasu moje życie diametralnie się zmieniło.

30. Ostatni list

Gdy przesłuchałam kilka utworów, zbliżyłam się do biurka. Chciałam napisać mejl do Maksa z podziękowaniami za uroczy prezent. Jednak zamiast odpalić komputer, zajęłam się czymś innym. Na blacie leżała sporych rozmiarów kremowa koperta z odręcznie nakreślonym moim imieniem i nazwiskiem. „Co tym razem wymyśliłeś, Maksymilianie?” – zapytałam bezsłownie, niecierpliwie rozrywając kopertę.

Kiedy jednak zobaczyłam jej zawartość, wszystkie cudowne emocje umknęły. Rozprostowałam zgiętą wpół kartkę i zaczęłam czytać nakreślone na niej słowa.

Wynoś się z naszego życia! Nic o nim nie wiesz, nigdy nie wiedziałaś i nigdy się nie dowiesz. To ja jestem tą jedyną, a tobie od niego wara! Czy myślisz, że taki facet, jak Maksymilian Vinci mógłby obejrzeć się za grubą, brzydką i pochodzącą znikąd Katarzyną Laską?

Tylko ja jestem jego kobietą! Ty nie masz nic! On jest mój! Tylko mój! Jest ze mną od pięciu lat i tak już pozostanie. Rozumiesz? Wysyłam ci kilka zdjęć, żeby twój mózg przyjął do wiadomości, gdzie jest twoje miejsce, suko! Nie chcę cię więcej przy nim widzieć! Namieszalaś mu w głowie, ale koniec z tym!

Maks na pewno nie zdążył ci powiedzieć, ale jesteśmy zaręczeni i spodziewamy się dziecka! Obejrzyj zdjęcia i wypieprzaj!

Czułam się, jakby ktoś wylał na mnie kubeł grenlandzkiej wody i na dodatek zostawił ciężkie drewniane wiadro na mojej głowie. Trwałam w takim odrętwieniu dobrą chwilę, po czym zabrałam się za przeglądanie zdjęć, które jeszcze bardziej mnie dobiły.

Karolina i Maks obściskiwali się na nich, tańczyli, leżeli na plaży, popijając kolorowe drinki, zjeżdżali na nartach, pławili się w jacuzzi i całowali się. Całowali się... Nie chciałam na to patrzeć... Oboje wyglądali na szczęśliwych, na... zakochanych. Uśmiechali się i przytulali bardzo czule. Jedno zdjęcie zwróciło moją szczególną uwagę, bo Karolina się o to postarała. Obrysowała na nim swoją dłoń tak, abym zwróciła uwagę na pierścionek, który zakładał jej Maks.

– Cholera! – stęknęłam, kiedy zatrzymałam się na ostatniej fotce, przedstawiającej zdjęcie ultrasonograficzne jakiejś „fasolki”.

„Spodziewamy się dziecka – przypomniałam sobie. – Dziecko? Zaręczyny?”

Zrobiło mi się słabo. Otworzyłam okno i oparłam się o parapet. Napawałam się wieczornym powietrzem i zamknęłam oczy, mając chyba nadzieję, że kiedy je otworzę, wszystkie słowa, które przed chwilą do mnie dotarły, okażą się jakimś beznadziejnym snem. Nic z tego.

„A więc to prawda! Cholera...”

Wychyliłam się przez okno. Na moment uwolniłam się od wibrujących w głowie słów, bo dojrzałam na chodniku Franciszkę Księżopolankę w fioletowym stroju i w butach w panterkę. Wyglądała trochę jak ryba pływająca w wodzie, bo małe cekiny odbijały światło latarni, upodabniając fakturę jej stroju do łusek. Kobieta przystanąła i spojrzała w moją stronę. Zrobiła dziwny ruch głową i zwyczajowo dotknęła palcem wskazującym koniuszka nosa, sprawiając, że natychmiast zrobiło mi się lepiej.

– Pani Franciszka? – zawołałam. – Franciszka Księżopolanka?

Kobieta uśmiechnęła się dobrotliwie i nie wydobywając z siebie ani słowa, pobiegła dalej. Nim zdążyłam zawołać ją kolejny raz, zniknęła za zakrętem.

„Co ona tu robiła? – zastanawiałam się. – I w jaki sposób znowu

poprawiła mi samopoczucie? Dziwne...”.

– Katarzyno! – Usłyszałam za sobą głos ojca, skutecznie wyrrywający mnie z rozmyślań nad tym, z jakiego powodu pod moim oknem ponownie zjawiała się tajemnicza kobieta.

– Tak?

– Natychmiast zamknij okno! – zaordynował. – Ziąb w całym domu!

Wykonałam jego polecenie, choć ja wcale nie czułam chłodu. Gotowało się we mnie od emocji. Chciałam jednak, by jak najszybciej zniknął z mojego pokoju.

Przeczytałam liścik kolejny raz i uderzyła mnie w nim jeszcze jedna rzecz. Karolina podała pełne imię i nazwisko Maksa – Maksymilian Vinci. „Czyżby Maks był synem tego słynnego Tomaso Vinciego? Właściciela Vinci Tower i dobroczyńcy Szkoły Latania? No tak, przecież kiedyś Penelopa wspominała o Tomaso, o ojcu Maksa. Ale dlaczego Maks to ukrywał...? Dlaczego nie był wobec mnie szczery?”.

Wzięłam głęboki wdech, aby dodać sobie odwagi w ponownym przeglądaniu zdjęć. Wolałabym je podrzeć, spalić, zniszczyć, ale czułam, że muszę je obejrzeć raz jeszcze, i to bardzo dokładnie. Chciałam przyjrzeć się pierwszemu mężczyźnie, którego pokochałam, chciałam znaleźć w jego twarzy cokolwiek, co powiedziałoby mi, że jego obecność u boku blond laski jest całkiem przypadkowa. Rozpaczliwie pragnęłam dostrzec w jego zniewalająco błękitnych oczach choć odrobinę zniechęcenia czy obojętności. Niczego takiego jednak nie dojrzałam. Jedyne, co malowało się na jego twarzy, to szczęście, radość i... miłość. Każdy jego gest, każde jego spojrzenie emanowały taką czułością i oddaniem, że nikt nie powinien mieć najmniejszych wątpliwości, co do towarzyszących mu emocji. Ja też nie miałam.

Na kilka chwil ukryłam twarz w dłoniach. Przed oczami od razu pojawił się Maks, szepczący: „Kocham cię”.

– Cholera... To złe... – mruknęłam.

Włączyłam pocztę mejlową. Od razu znalazłam tam list od Maksa, który bez czytania natychmiast skasowałam. Otworzyłam okno nowej wiadomości i zaczęłam pisać.

@ 22.01.2014, 21:56

Od: Key

Do: Max

Temat: To złe

Max, ~~Najdroższy,~~

Choć nigdy tego nie powiedziałam, to doskonale wiesz o tym, że bardzo cię kocham. I chyba nic nie może tego zmienić. Kocham cię, po prostu. Nawet to, że masz narzeczoną i że spodziewacie się dziecka, że ona cię bardzo kocha, a ty wyglądasz, jakbyś kochał ją równie mocno – nic tego nie zmieni. Kocham cię całą sobą i pragnę, abyś ujął moją twarz w swoje dłonie, przyciągnął do siebie i pocałował swoimi gorącymi ustami. Niczego innego nie pożądam...

Wiesz, moje marzenia nigdy się nie spełniały, więc w sumie nie jestem zdziwiona. To, co gdzieś tam sobie wyimaginowałam, rzeczywiście pozostanie w sferze moich pragnień. Żałuję, ale tak po prostu musi być. To moja świadoma decyzja. Pewnie przez jakiś czas będę jeszcze o tym usilnie myślała. Może mi się przyśnisz i wtedy przez chwilę pobędę z jakąś namiastką ciebie? Może...

Nie żałuję tego, co się stało, bo czas spędzony z tobą był dla mnie najcudowniejszym w moim życiu. Tyle dobrego mi dałeś i za to ci dziękuję! I nigdy tego nie zapomnę.

Proszę, nie kontaktuj się ze mną i pozwól mi zapomnieć. Chcę ułożyć sobie wszystko od nowa.

Nie możemy być razem, na pewno to wiesz. To byłoby złe, cholernie złe, a ja z natury jestem dobra...

K.

PS Zawsze przekonywałeś mnie o swojej szczerości, a jednak nie powiedziałeś mi, że tak naprawdę nazywasz się Maksymilian Vinci... Chciałabym zapytać dlaczego, ale teraz to już bez znaczenia...

PS 2 Nie wyobrażam sobie być z mężczyzną, który zostawił swoją dziewczynę, z którą się zaręczył i która na dodatek jest z nim w ciąży.

Kiedy wysłałam wiadomość, wyłączyłam komputer oraz komórkę i położyłam się do łóżka. Było mi źle, tak źle, jak chyba jeszcze nigdy dotąd. W tej krótkiej chwili straciłam jakąś część siebie, która, znikając, zabrała też i skrzydła, pozwalające mi przez ostatnie dni na

unoszenie się wysoko ponad innymi. Położyłam się na łóżku i utuliłam w dłoniach prezent od Maksa. Włączyłam radio, w którym akurat puszczali „Wrecking ball” Miley Cyrus, i całkowicie dałam się pochłonąć destrukcyjnym myślom, pełnym smutku, żalu i łez.

KONIEC części 1

Podziękowania

Z całego serca chciałabym podziękować mężczyznom mego życia, czyli mojemu synowi Alanowi i mężowi Tomaszowi, za to, że zawsze

i o każdej porze podnosili mnie na duchu i że z wyrozumiałością wytrzymali moje długie godziny spędzone nad tekstem.

Wielkiego całusa wysyłam mojej siostrze Renacie za dopingowanie na wszystkich etapach powstawania powieści, za wskazówki, pierwsze, drugie i piąte czytanie oraz słowa: „Napisz to!”.

Ciepłe uściski przekazuję moim Rodzicom, którzy zawsze we mnie wierzyli!

Niskie pokłony kieruję w stronę Iwony Mechowskiej i Bogusia Kulbaczewskiego za konsultacje medyczne. Bez Waszej pomocy mimo wszechwiedzącego wujka Google nie wszystko byłoby takie klarowne.

Molto grazie dla Ani Piccardi za konsultacje w zakresie języka włoskiego. Nic, absolutnie nic Ci nie umknie!

Serdeczne podziękowania składam Wydawnictwu Videograf za słowa: „Chcielibyśmy wydać Pani powieść”, które przyspieszyły bicie mego serca. Jestem ogromnie wdzięczna zespołowi Wydawnictwa, który wytrwale pracował nad stroną graficzną i marketingową powieści!

Szczególne podziękowania chciałabym złożyć mojej redaktorce, Ani Seweryn-Sakiewicz, za ogrom pracy, godziny rozmów, przezabawne i celne komentarze, które pomogły mi zebrać wszystko w całość. Aniu, jesteś wspaniała!

Specjalne podziękowania ślę dla pierwszych czytelniczek: Renaty, mojej mamy Trudzi, Ani, Ani i Ani, Beaty, Moniki, Kasi, Pauliny, Krysi, Klaudii, Basi – za wskazówki, uwagi i słowa wsparcia, które utwierdziły mnie w tym, że Szkołę latania warto pokazać szerokiemu gronu Czytelników.

Bez rozmów z przyjaciółmi, krewnymi i znajomymi moja książka nie byłaby tak spójna i na pewno nie miałabym głębokiego przekonania, że robię coś naprawdę dobrego. Bardzo Wam dziękuję!

Gdyby nie zespół współpracowników z DELVE, czuwających, wspierających i działających w sposób właściwy dla osób, które wiedzą co i jak, nie miałabym tyle czasu na pisanie! Jesteście wspaniali!

Jeśli kogoś pominęłam, wybaczcie!

A teraz cieszcie się każdym dniem i pamiętajcie – siła jest w Was!

Sylwia

Przypisy

1 wł. Nazywam się Pola, jestem studentką italianistyki. Miło mi ciebie poznać.

2 wł. To mnie jest miło. Nazywam się Kaśka i podoba mi się wszystko, co jest z Włoch.

3 wł. Mój Boże!

4 wł. Mówisz biegle?

5 wł. Cudownie, że czujesz się lepiej.

6 wł. Dzięki. Czuję się lepiej, to prawda.

7 wł. Dlaczego jesteś taka nerwowa?

8 wł. Idziemy, moja droga, idziemy!

